Kraków 12 – 18 listopada 2025 nr 46 (3984) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

SENS ZAMIAST SENSACJI

Potrzebujemy imigrantów z Unii

Jak nie zostałem księdzem

Teatr z Kleczewską

Nie wstydź się wstydu

EKSTRA STRONY O HISTORII:

POLSKA–NIEMCY–POJEDNANIE

CZY CHINY OGRAJĄ USA

BOGDAN GÓRALCZYK
NA STRONACH 12–16

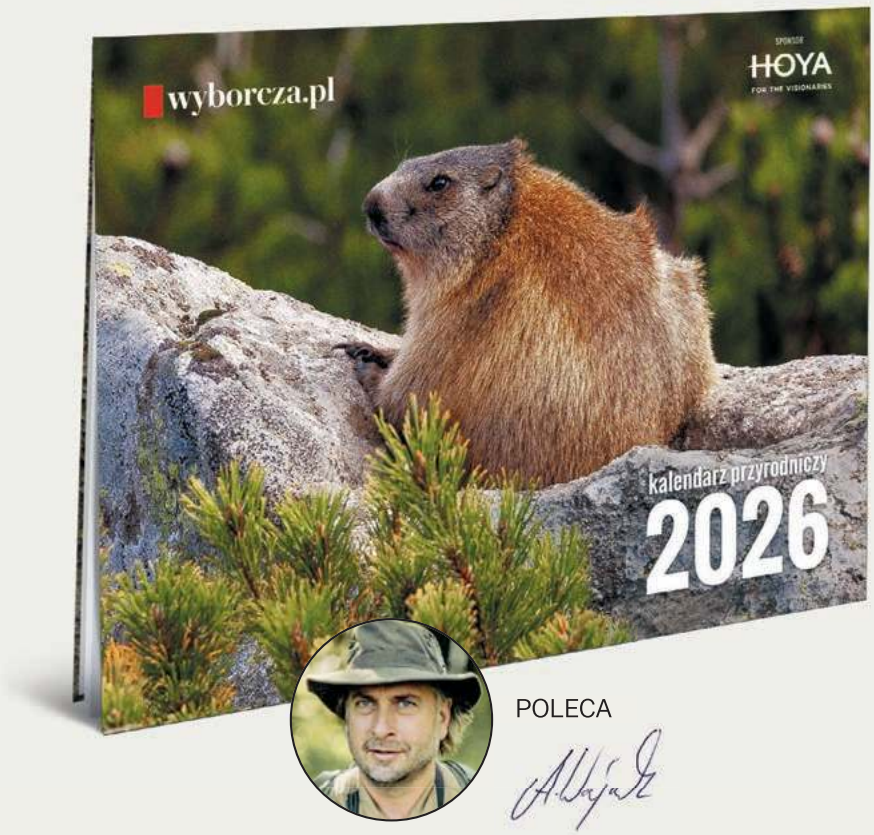


ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

We wtorek 18 listopada w „Wyborczej” wyjątkowy kalendarz przyrodniczy

Świstak, żubr, foki, bociany, jelenie i wiele innych zwierzaków
z Puszczy Białowieskiej, gór i z ujścia Wisły
na zdjęciach **Adama Wajraka**



POLECA

GAZETA wyborcza

SPONSOR

HOYA
FOR THE VISIONARIES

KS. ADAM

Boniecki: *Dzisiejsi księża i księża na jutro*

Dziś i jutro – o „wczoraj” nie piszę, bowiem jest ono dość zagmatwane. Wczorajsze metody okazały się bezsilne wobec wymagań czasu. Przed Soborem Trydenckim (1545 –1563) nie było seminariów duchownych z dydaktyką, programami wychowawczymi ani naukowymi. A wymagania wobec kandydatów do stanu duchownego i przygotowanie do życia w owym stanie były rozmaite i nie zawsze adekwatne. Powstałe później seminaria i ich programy istnieją do dziś. Są wychowawcy i profesorowie. Ale problemem zaczynają być słuchacze tych uczelni. Zaczyna ich brakować.

Za dwadzieścia, trzydzieści lat, jeśli nie stanie się coś niezwykłego, może być zupełnie kiepsko. Do tego coraz częściej zdarzają się odejścia z kapłaństwa – za zgodą Stolicy Apostolskiej lub bez tej zgody. Nie wspominając o ludziach, którzy, bez rozstania z kapłaństwem, żyją, łamiąc podjęte wcześniej zobowiązania. O pustkach w seminariach i „księżach niedoszłych” pisze w tym numerze Ignacy Dudkiewicz, stawiając pytanie, „czy to »kryzys powołań«, czy instytucji, która nie radzi sobie z przemocą i klerykalizmem”.

Tu wspomnienie: jako przełożony zakonu odwiedziłem kiedyś naszą wspólnotę setki kilometrów od Polski. Niedawno założyła ona własne seminarium, w istocie wspólnotę kilku kleryków we własnym domu przy seminarium diecezjalnym. Świetny klimat w domu, miłe relacje kleryków i przełożonych świadczyły o dobrych początkach owej inicjatywy. Ale jeden z kleryków się wyróżniał. Milczący i smutny, choć nie miał konfliktów z przełożonymi ani z kolegami. Rozmawiałem z każdym kolejno, więc z nim także. Wyjaśnił, że wiele zawdzięcza zakonowi, że czuje się obdarowany ponad zasługi, że tyle dobra zaznał, więc czuje się zobligowany do wdzięczności, bo nie może sprawić zawodu... Kiedy mu powiedziałem, że nie musi, że możliwości okazania wdzięczności będzie miał w życiu wiele, że niepotrzebnie czuje się zobligowany do trwania tu z wdzięczności, wyprostował się i odetchnął. Na drugi dzień go zobaczyłem – był autentycznie radosny i wolny.



GRAŻYNA MAKARA

Wstępowano do seminarium wcześnie. Tworzono niższe seminaria dla całkiem młodych chłopców. Oczywiście, teoretycznie zastrzegano, że taka szkoła nie nakłada żadnych obowiązków na przyszłość. Ale w niższym seminarium jakoś jednak formowano te (jeszcze) dzieci. Do nowicjatu kierowano je w wieku mocno niedojrzałym. Wiedziano, że wielu z tych chłopców po czasowych ślubach odejdzie, ale też, że część pozostanie. Tak było w zakonach. Jednocześnie – trzeba to uznać – niższe seminaria wychowały wielu wspaniałych księży. W końcu bywa, że autentyczne powołanie można odkryć u siebie bardzo wcześnie. Jednak ta forma przygotowania do kapłaństwa zanika. Niższe seminaria są nieliczne. Większe zaufanie budzą powołania odkrywane, a w każdym razie realizowane, nieco później. I jest faktem, że zbliżamy się do poważnego niedoboru księży.

A może taki jest pomysł Pana Boga, że nie wszystko muszą robić księża? Może nowa epoka Kościoła jest epoką świeckich? Może wiele czynności dotąd zastrzeżonych dla księży przejmą oni? Może struktura Kościoła, zbudowana na wzorcach bardzo ziemskich instytucji, nie w takim stanie ma być zachowana aż do skończenia świata, lecz będzie się zmieniała? I pozostanie w niej to, co pozostawił Pan Jezus. I to, co z tego rzeczywiście wynika. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”:

MAREK RABIJ
Odkrywa tajemnice zagranicznych sieci handlowych: dlaczego polscy rolnicy nie zarabiają na polskich konsumentach, i dlaczego jemy kapustę z RPA?

MONIKA BIAŁKOWSKA
Czyta i analizuje dalszą część Archiwum Tymienieckiej. Tym razem zajmie się listami, które do amerykańskiej fenomenolożki i przyjaciółki pisał kard. Wojtyła.

MARTA ZDZIEBORSKA
Rozmawia z amerykańskimi naukowcami, którzy z powodu polityki Donalda Trumpa opuszczają swój kraj.

Kiedyś argument »co ludzie powiedzą« działał przeciw odejściu z seminarium czy z kapłaństwa, a dziś to argument przeciw wstąpieniu do niego. Kiedyś to był awans społeczny, dziś coraz częściej to obciach" – gdy przeczytałem te słowa z tekstu **IGNACEGO DUDKIEWICZA** o niedoszłych księżach, wróciło do mnie kilka scen z życia ks. Jana Kaczkowskiego, którego biografię pisałem dobrych kilka lat temu (w marcu przyszłego roku minie dekada od śmierci jednego z najbardziej charyzmatycznych polskich duchownych XXI wieku).

Wczesne lata 80., dom babci na wsi. Kilkuletni Jaś zawija brata w kapę od tapczanu, do ręki wciska mu zbity z dwóch desek krzyż. Mają podpórkę pod mszał, klęcznik – idą „szpalerem" między rzędami malin, czasami dopraszając do zabawy „wiernych", czyli przyzwyczajonych już do tej ekscentrycznej zabawy dorosłych.

Pierwsza połowa lat 90., Sopot. Jan ogłasza decyzję o pójściu do seminarium, a jego matka rwie włosy z głowy. „On chyba zwariował" – zwierza się znajomym, a syna przestrzega ponoć przed „społeczną degradacją".

Druga połowa lat 90., w kopercie pismo z zakonu jezuitów, a w nim odmowa przyjęcia do nowicjatu – przez słaby wzrok. Te same względy zdecydują, że nawet gdy będzie już w seminarium, przełożeni będą się wahać: nadaje się na księdza czy się nie nadaje?

Tak, zmieniają się czasy, a wraz z nimi społeczna pozycja księdza. PRL – dziś trudno w to uwierzyć – czynił właśnie z Kościoła przestrzeń nadzwyczajnej wolności. Jeszcze w latach 90., może i wczesnych dwutysięcznych, 19-latek idący do seminarium mógł liczyć na środowiskową premię – pozostałości klerykalnego prestiżu, podziwu otoczenia (no, chyba że pochodził z liberalnej, sopockiej rodziny...). A później był krach autorytetu Kościoła, i aniśmy się obejrzeli, a w katolickiej Polsce kapłaństwo zaczyna – jak mówi ekspertka w tekście Dudkiewicza – „wiązać się nie z prestiżem, ale z ryzykiem społecznego wyobcowania".



Może to mieć i dobre strony. Np. taką, że za dwie, trzy dekady nie będzie już w Polsce duchownych, którzy sutannę założyli za karę albo licząc na nagrodę: podążając za modą, przed czymś uciekając, na coś licząc. Zostaną ci chcący – jak Jan Kaczkowski, który tapczanową kapę zamienił na sutannę wbrew wszystkiemu i wszystkim. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".



24 Jak nie my, to kto?
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
Praca bez wytchnienia. Dyspozycyjność 24 godziny na dobę. Zmęczenie i wypalenie, lęk o przyszłość. To codzienność rodziców dorosłych osób z niepełnosprawnościami.



50 Księża niedoszli
IGNACY DUDKIEWICZ
Seminaria duchowne świecą pustkami. Czy to „kryzys powołań", czy może instytucji, która nie radzi sobie z przemocą i klerykalizmem?



64 Nuda Zagłady
DARIUSZ KOSIŃSKI
Wszyscy jesteśmy sublokatorkami – świat i historia wciąż nam o tym przypominają. Męczące przedstawienie Mai Kleczewskiej jest także o tym.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // ARCHIWUM RODZINNE // LECH GAWUC / REPORTER // KAROLINA JÓŹWIAK / TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Dramat Sudanu
AGATA KAŹMIERSKA

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Europejczyku, pracuj w Polsce
STEFAN SĘKOWSKI: *Najłatwiej integrują się ludzie pochodzący z krajów Unii Europejskiej. Dlaczego tak niewielu z nich chce pracować w Polsce?*

21 Kac po umiarkowaniu
MAREK RABIJ: *Polak przegląda się w wódce*

24 Jak nie my, to kto?
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

■ ■ ŚWIAT

28 Serbski długi marsz
JULIUSZ PIELICHOWSKI: *Po dwunastu miesiącach protestów Serbowie zadają sobie pytanie: co dalej?*

31 Między rozpaczą a nadzieją
ROZMOWA Z MIESZKAJĄCYM W SERBII POETĄ MIŁOSZEM WALIGÓRSKIM

32 Coś się kończy, coś zaczyna
PATRYCJA BUKALSKA: *Brytyjczycy są rozczarowani starymi elitami. Korzysta na tym prawicowy populista Nigel Farage, najbardziej popularny dziś polityk kraju*

■ ■ WIARA

50 Księża niedoszli
IGNACY DUDKIEWICZ

53 O odpustach zwyczajnie
KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ: *Czy średniowieczna praktyka odpustów ma dzisiaj jeszcze sens?*

TEMAT TYGODNIKA



APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

12

Smok nad światem

BOGDAN GÓRALCZYK:

Gdy Ameryka Trumpa i ruchu MAGA zajęta jest sobą, miejsce globalnego hegemona zajmują Chiny. Prezydent Xi ma nie tylko atuty w postaci metali ziem rzadkich. Ma też wizję.

■ STRONY SPECJALNE ■

35 ORĘDZIE POJEDNANIA. 60 LAT PÓŹNIEJ

48 LEKCJA DLA ZACHODU

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **57** ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

58 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

60 Rafy na mieliźnie
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Koralowce przetrwały pięć wielkich ziemskich wymierań, ponieważ niektóre ich linie ewolucyjne mogły schronić się w głębinach oceanów. Tym razem będzie im trudniej*

■ ■ KULTURA

64 Nuda Zagłady
DARIUSZ KOSIŃSKI

68 Poziom mistrza
JAKUB NOWAK: *Bard peryferii i małych ojczyzn, a jednocześnie wróg Republikanów. Milioner pragnący być głosem Pasa Rdzy. Chłopak o starej duszy: Bruce Springsteen*

70 Ustka w rytmie latino
ANNA PAJĘCKA: *Nadmorskie galerie stają się ważnym punktem na mapie sztuki*

73 Polecamy

74 Słodka zemsta
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Bugonia" Yórgosa Lánthimosa*

75 Ptaki, które odleciały
LEKTOR *o tomiku Julii Szychowiak „Wyrazy współczucia"*

■ ■ PSYCHE

78 Wstydź się świadomie
ROZMOWA Z PROF. KAROLINĄ KRAWCZAK, BADACZKĄ EMOCJI SPOŁECZNYCH W JĘZYKU: *W naszej kulturze wstydzimy się rzeczy widocznych. Jeżeli osoby, na których opinii nam zależy, nie wiedzą, cośmy nabroili, raczej po nas to spłynie*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 59

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



EL TAYEB SIDDIG / REUTERS / FORUM

OBRAZ TYGODNIA

DRAMAT SUDANU

Historia sudańskiej prowincji Darfur zatacza makabryczne koło. Niektórzy twierdzą, że ma tam dziś miejsce najgorsza katastrofa humanitarna.

AGATA KAŹMIERSKA

POWYŻEJ:
Sudańczycy, którym udało się uciec z obleganego miasta Al-Faszir, witają się z bliskimi w obozie dla uchodźców w miejscowości Al-Dabba w północnym Sudanie.

NAGRANIE: DZIESIĘCIU MĘŻCZYZN SIEDZI NA POboczu piaszczystej drogi. Pucołowaty mężczyzna z dredami przeładowuje karabin i strzela, a oni osuwają się jeden po drugim. Nagranie: ten sam mężczyzna stoi wśród co najmniej 30 ciał. Miejsce przypomina piaszczysty wąwóz. Nagranie: to samo miejsce. Pucołowaty żartuje, że chce znaleźć kobietę, która pracowała dla armii. Ktoś spoza kadru zapewnia, że ona już nie żyje, jak wszyscy, którzy jej towarzyszyli.

Podobnych nagrań jest wiele. Na platformie X, TikTok-u, YouTube. To, co pokazują z bliska, widać też z kosmosu: na zdjęciach satelitarnych – udostępnionych przez Humanitarian Research Lab z Uniwersytetu Yale – widać ciała, a wokół nich „czerwonawe przebarwienia ziemi". Często w pobliżu stoją auta terenowe. Widać też ślady pożarów.

To miasto Al-Faszir w sudańskiej prowincji Darfur Północny.

OBLĘŻENIE | Dwa i pół roku temu w Sudanie wybuchła wojna domowa; jej źródłem były ambicje generałów pragnących rządzić. Naprzeciw siebie stanęły armia i paramilitarne Siły Szybkiego Wsparcia (RSF). To, do czego potem doszło, ONZ nazywa zbrodniami wojennymi, a wiele państw Zachodu, w tym poprzednia administracja USA, ludobójstwem.

Oblężone od 18 miesięcy, aż do niedzieli 26 października miasto Al-Faszir było ostatnią znaczącą miejscowością na południu Sudanu, której nie kontrolowały RSF. Już półtora roku temu oblegający odgrodzili je wałem z piasku, by nie docierała tam żywność. Zaczął się głód. Według relacji ludzie żywili się tam np. łupinami orzeszków ziemnych, pozostałych po produkcji oleju (zwykle karmiło się tym zwierzęta).

Przez ten czas Al-Faszir niemal stale było pod ostrzałem. Tak sytuację relacjonował „Guardianowi" miejscowy wolontariusz Mohamed Douda:

„Każdego ranka naszą pierwszą walką jest bezlitosny głód, a drugą nieustanny ostrzał artyleryjski. Nawet żar papierosa może zaalarmować drony przelatujące nad nami, więc nie pozostaje nam nic innego, jak tylko siedzieć w ciszy, wsłuchując się w dźwięk buczenia dronów i eksplozji".

Kilka dni temu „Guardian" podał, że Douda nie żyje.

OFENSYWA | „Wszyscy wiedzieli, co się stanie, gdy Al-Faszir upadnie. Że prócz koszmaru

oblężenia i głodu, RSF będzie dokonywać masakr ludności" – mówiła w wywiadzie dla „New York Timesa" Michelle Gavin z think tanku Council on Foreign Relations.

Pewność wynikała stąd, że RSF kierują się etnofaszystowską ideologią arabskiej supremacji, a także z faktu, iż RSF mordowały ludność niearabską od początku wojny. Tuż przed ostatnią ofensywą na Al-Faszir pojawiły się nagrania z wieców z udziałem Abdula Rahmana Dżummy, zastępcy dowódcy RSF: wzywał podwładnych, by „nie brali jeńców".

Po zdobyciu miasta istotnie nie brali. Także w szpitalu dziecięcym, gdzie zabili wszystkich: pacjentów, ich bliskich, lekarzy, razem ok. 460 ludzi.

Organizacje działające w obozach dla uchodźców z przerażeniem stwierdzają, że z Al-Faszir dociera do nich dużo mniej uciekinierów niż oczekiwały i jest wśród nich mało mężczyzn.

ZARZEWIE | W ten sposób historia Darfuru zatacza makabryczne koło. 20 lat temu rzezi na rdzennych społecznościach dokonywali tam arabscy Dżandżawidzi, milicje islamskie, z których wywodzi się RSF. Była wśród nich jednostka dowodzona przez Mohameda Hamdana Dagalo, dziś przywódcy RSF.

Dżandżawidzi walczyli wtedy w Darfurze z rozkazu ówczesnego dyktatora Sudanu, Omara al-Baszira. Międzynarodowy Trybunał Karny oskarżył go o ludobójstwo (ostatecznie Sudan sądził go sam i nie wydał). Spośród dowódców milicji przed MTK stanął tylko pułkownik Ali Kushayb. Niedawno uznano go winnym, wyrok ma zapaść 19 listopada.

Jeszcze za czasów al-Baszira milicjantów przemianowano na RSF, a w 2017 r. nadano im status „niezależnej formacji bezpieczeństwa". W kolejnych latach RSF umacniały swą pozycję państwa w państwie, m.in. dzięki przejęciu kontroli nad największą kopalnią złota w Darfurze (firma Dagalo to dziś największy eksporter złota w Sudanie).

Po obaleniu w 2019 r. al-Baszira, tymczasowe władze postanowiły wcielić RSF do regularnej armii. Ale Dagalo nie chciał się podporządkować i uznał za oczywiste, że to on powinien dowodzić całymi siłami zbrojnymi Sudanu. To było zarzewiem wojny domowej, którą wielu nazywa dziś najgorszą katastrofą humanitarną na świecie.

ROZMOWY | Różnica między koszmarem sprzed 20 lat a tym, co dzieje się teraz, polega na tym, że Dżandżawidzi poruszali się na wielbłądach, a RSF mają artylerię i drony. Mają to, bo są wspierane przez bogate Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA zaprzeczają temu zarzutowi).

20 lat temu prezydent USA George W. Bush, upominając się o sudańskich cywilów, był gotów ryzykować spięciem z Chinami, które inwestowały w Sudanie. Dziś doradca Trumpa ds. Afryki, Massad Boulos (prywatnie jego zięć), negocjuje rozejm między armią a RSF i nie wydaje się, by przeszkadzało mu, że krajami, które mają mu w tym pomóc, są Emiraty, Egipt i Arabia Saudyjska. Czyli państwa, które na różne sposoby podsycają sudański konflikt.

Wśród negocjatorów brakuje tylko Iranu i Turcji, które dostarczają broń sudańskiej armii. Ta wykazuje niewiele większe poszanowanie dla życia cywilów niż RSF.

TAKTYKA | Dzień po zajęciu Al-Faszir RSF podały, że eliminują „ostatnie bastiony terrorystów i najemników", i że chronią cywilów. Tego samego dnia pucołowaty mężczyzna z dredami, Al-Fateh Abdullah Idris (znany jako Abu Lulu), opublikował w sieci nagranie, w którym oznajmia radośnie, że zabił ponad 2 tys. ludzi.

Kilka dni potem RSF podały, że Abu Lulu jest aresztowany i trwa śledztwo. Oraz że nie był on częścią RSF, lecz dowodził „siłami koalicyjnymi". To stara taktyka: w ten sposób RSF już wcześniej próbowały dystansować się od zbrodni, o które je oskarżano. Tymczasem z analizy kolejnych zdjęć satelitarnych wynika, że w Al-Faszir powstają masowe groby. ©



Niebieska fala

MARTA ZDZIEBORSKA

W serii wyborczych zwycięstw, które na początku listopada odnieśli amerykańscy Demokraci, główną wygraną zgarnął on: 34-letni Zohran Mamdani. Przyszły burmistrz Nowego Jorku, syn imigrantów i muzułmanin, jeszcze niedawno był mało znanym członkiem stanowej legislatury. Dziś jest wschodzącą gwiazdą polityki. Mógłby być kandydatem na prezydenta, ale nie będzie, bo nie urodził się w USA, lecz w Ugandzie, co zamyka mu tę drogę. Poza tym przedstawia się jako socjaldemokrata, co w boju o Biały Dom mogłoby odstraszyć część wyborców.

Kampania Mamdaniego, bez wątpienia populistyczna, przypomniała Demokratom, że ich obóz potrzebuje liderów nowych i młodszych, którzy będą mówić o kosztach życia, a nie o wojnach kulturowych. Bo to dzięki obietnicom – niskich cen żywności, darmowych autobusów, bezpłatnych żłobków – Mamdani porwał młodych nowojorczyków. I zmiażdżył głównego rywala – centrystę Andrew Cuomo, za którym stały grube pieniądze nowojorskich miliarderów.

Ostry skręt na lewo nie byłby dobrą receptą dla Partii Demokratycznej w skali całych Stanów.

Aby wygrywać nie tylko w Nowym Jorku, potrzebuje ona także polityków centrowych. Takich jak Mikie Sherrill i Abigail Spanberger, które wywalczyły właśnie fotele gubernatorskie w New Jersey i Wirginii. Obie skupiły się na walce z wysokimi kosztami życia i podkreślały swoje doświadczenie, a to ważne dla bardziej konserwatywnych wyborców (Sherrill służyła w marynarce, a Spanberger w CIA).

Niepokojący dla Republikanów może być zwłaszcza dobry wynik, który Sherrill uzyskała w zamieszkanym przez Latynosów hrabstwie Passaic – tam, gdzie w 2024 r. Trump niespodziewanie wygrał. To sygnał, że Latynosi, coraz ważniejsi dla wygrywania wyborów w USA, mogą tracić złudzenia, iż za Trumpa będzie im się żyć lepiej. Z sondaży prowadzonych podczas tych wyborów wynika, że dla Amerykanów najważniejsze są sprawy ekonomiczne – co stawia w trudnej pozycji Trumpa, bo to on odpowiada dziś za gospodarkę.

Ale choć „niebieska fala" – tak ją nazwano; niebieski to kolor Demokratów – przetoczyła się nie tylko przez Nowy Jork, New Jersey i Wirginię (Demokraci triumfowali też w innych miejscach), nie należy jej przeceniać. Większość Amerykanów nie jest zadowolona z rządów Trumpa. Ale w sondażach to Demokraci są wciąż postrzegani przez wyborców jako bardziej odklejeni od problemów zwykłych ludzi niż Trump.

Jeśli więc politycy Partii Demokratycznej będą więcej mówić o tych problemach – a nie głównie o wojnach kulturowych – to powoli zaczną wracać na ziemię. ©

Autorka jest dziennikarką „Press", stale współpracuje z „TP".



Marszałek z przeszłości

MAREK KĘSKRAWIEC

Szymon Hołownia kończy dwuletnią misję marszałka Sejmu jako polityk przegrany. Fakt: udało mu się wpuścić do parlamentu nieco świeżego powietrza i chyba naprawdę zamierzał odmienić nasze życie publiczne zakleszczone w duopolu, ale był na polską politykę zbyt delikatny. Po klęsce w wyścigu prezydenckim w zasadzie porzucił swą partię, mimo że jej pełna nazwa brzmi Polska 2050 Szymona Hołowni. Nie on pierwszy. To już tradycja: Palikot, Petru, Gowin, Ziobro, Kukiz. Każdy z nich umieszczał swe nazwisko w logo partii i każdy ponosił z nim klęskę.

Można by te złośliwości wobec Hołowni ciągnąć, ale po co? Czy mieliśmy lepszych marszałków? Czy jednak nie zapamiętamy go po latach jako tego, który przynajmniej próbował uczynić z Sejmu izbę prawdziwej dyskusji? I najważniejsza kwestia: spójrzmy, kto go zastąpi. Włodzimierz Czarzasty, mistrz partyjnych gier, któremu udała się rzecz spektakularna – usunięcie z politycznej i społecznej pamięci związków z jednym z największych skandali politycznych pierwszego okresu III RP, czyli z aferą Rywina. To ona zatopiła SLD i stała się podglebiem, na którym wyrosła nowa scena polityczna, z dominującym dziś duopolem.

Spektakularny koniec wpływów partii będącej spadkobierczynią PZPR (na pomysł wstąpienia do niej nowy marszałek Sejmu wpadł tuż po stanie wojennym) nie był oczywiście końcem samego Czarzastego. Przeprowadził on SLD przez najgorszy, pozasejmowy czas, po czym najpierw odświeżył wizerunek lewicy, łącząc ją z kolejną efemerydą polskiej polityki, Robertem Biedroniem, a potem rozprawił się bezceremonialnie z wewnętrzną opozycją starych działaczy i przykleił do Donalda Tuska. Jako jego wierny sojusznik zajmuje właśnie najwyższe stanowisko w karierze.

Mamy się z czego cieszyć? Wątpię, biorąc pod uwagę, jaką rękę ma do ludzi. Długo i na szczęście nieskutecznie bronił swego towarzysza ze Stowarzyszenia „Ordynacka", ministra nauki Dariusza Wieczorka, odwołanego po serii skandali i dowodach na nepotyzm. Tak samo było z oskarżanym o pijaństwo i wyłudzanie kilometrówek, wiceszefem MSZ Andrzejem Szejną. Można rzec, że Czarzasty dba o swych ludzi, ale czy zadba o Polskę? ©℗

Posiedzenia Sejmu X kadencji. Warszawa, 14 listopada 2023 r.



SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Piąty dogmat

ARTUR SPORNIAK

Dykasteria Nauki Wiary pod przewodnictwem kard. Víctora Manuela Fernándeza niestrudzenie próbuje okiełznać pobożność maryjną. W maju ubiegłego roku wydała kryteria oceny objawień prywatnych – w głównej mierze właśnie maryjnych, a obecnie opublikowała obszerną notę doktrynalną „Mater Populi fidelis" („Matka wiernego Ludu") poświęconą niektórym kłopotliwym tytułom maryjnym.

Od kilku dekad w łonie katolicyzmu rozwija się ruch Vox Populi Mariae Mediatrici (Głos Ludu w sprawie Maryi Pośredniczki), który dąży do tego, by Kościół ogłosił piąty dogmat maryjny przyznający Maryi tytuł Współodkupicielki, Pośredniczki wszelkich łask i Orędowniczki. Zdaniem starających się dogmat ten uzupełniłby cztery maryjne dogmaty ogłoszone dotychczas w Kościele: o Bożym Rodzicielstwie, Dziewictwie, Niepokalanym Poczęciu i Wniebowzięciu. W ten sposób pobożność maryjna miałaby szansę osiągnąć swoistą pełnię.

Watykan traktuje poważnie te postulaty. Świadczy o tym m.in. obszerność noty (20 stron opatrzonych 195 przypisami) i jej teologiczna precyzja. Stara się ona rozróżnić autentyczną ludową pobożność maryjną od propozycji, które – jak prezentując notę pisze kard. Fernández – „nie sprzyjają właściwemu zrozumieniu harmonijnego charakteru całego przesłania chrześcijańskiego". W każdym razie w nocie podkreślono, że gdy jakieś określenie wymaga nieustannych objaśnień, by nie zostało błędnie zrozumiane, „nie służy wierze Ludu Bożego i staje się niestosowne".

Takimi wadliwymi tytułami Matki Jezusa są zarówno Współodkupicielka, jak też Pośredniczka wszelkich łask.

Grożą one zaciemnieniem jedynego zbawczego pośrednictwa Chrystusa. A oczywiście „tylko Bóg może obdarzyć łaską i czyni to poprzez człowieczeństwo Chrystusa". Najmniej kłopotliwy jest tytuł Orędowniczki, który uzasadnia modlitwy do niej. Zdaniem Dykasterii Nauki Wiary Maryję wyróżnia macierzyństwo: „Udział Maryi Dziewicy jako Matki w życiu Syna – od Wcielenia aż po krzyż i Zmartwychwstanie – nadaje Jej współdziałaniu w dziele odkupienia Chrystusa charakter jedyny i wyjątkowy". Nota poetycko zauważa: „Maryja jest pieśnią o skuteczności łaski Bożej". I dopowiada: „Nieporównywalna wielkość Maryi polega na tym, co otrzymała, oraz na Jej ufnej gotowości, by dać się napełnić Duchem. Kiedy usiłujemy przypisywać Jej czynne funkcje, równoległe do funkcji Chrystusa, oddalamy się od tej nieporównywalnej piękności, która jest Jej właściwa".

Krótko mówiąc, jedynym źródłem zbawienia jest Bóg. Człowiek może tylko pozwolić się zbawić. Maryja dała się zbawić jako pierwsza i dlatego jest dla nas wyjątkowa. ©℗

NA PUNKTY

KOMENTARZE
„Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy. Jak sam pan mawiał: »uczciwi nie mają się czego bać«" – tak Donald Tusk namawia Zbigniewa Ziobrę na powrót do Polski, gdzie b. ministrowi sprawiedliwości grozi 25 lat więzienia m.in. za kierowanie grupą przestępczą. „Żeby go w istocie zamordowano?" – pyta Jarosław Kaczyński, zwracając uwagę na fakt, iż Ziobro zmaga się z chorobą nowotworową.

KOINCYDENCJE
„Ucieczka za granicę nie wystarczy, by uciec przed polskim wymiarem sprawiedliwości" – tak obecny minister sprawiedliwości Waldemar Żurek komentuje ekstradycję z Niemiec oskarżanego o wiele przestępstw byłego freak fightera znanego jako „Wielki Bu".

KOLIZJE
Minister Żurek decyduje również o przerwaniu czynności służbowych sędziego Jakuba Iwańca, podejrzanego o prowadzenie pojazdu oraz spowodowanie kolizji w stanie nietrzeźwości. Wcześniej prawnika, zamieszanego podczas rządów PiS w tzw. aferę hejterską, dopuścił do orzekania Sąd Najwyższy. ©℗



Kryzys to nie grzech

KS. JACEK PRUSAK SJ

Intencję modlitewną na miesiąc listopad Leon XIV (na zdjęciu) poświęcił „osobom, które zmagają się z myślami samobójczymi", aby „mogły znaleźć wsparcie" we wspólnocie i „były otwarte na piękno życia". Czy to zaskakuje?

Nowością jest traktowanie zmagania się z myślami samobójczymi niezależnie od przyczyn i bez odniesienia do chorób psychicznych. Papież uwalnia takie osoby od stygmatu religijno-moralnego. Nie mówi, że myśli samobójcze wynikają z ich słabej wiary albo z uwikłania w grzeszne życie. Tylko wskazuje, że jest to cierpienie, które niesie ze sobą wysokie ryzyko utraty życia i że konieczne jest wtedy wsparcie społeczne oraz profesjonalna pomoc. Chodzi o to, by takie osoby nie zostały pozostawione same sobie, bo wiele zależy od tego, jak w sytuacji kryzysu będą się czuły w grupie.



Leon XIV wskazuje, że wszyscy, w tym wierzący, „są również podatni na smutek bez nadziei". Myśli samobójcze niekoniecznie muszą pojawić się w wyniku depresji. Mogą być reakcją na trudne wydarzenia – tak trudne, że człowiek uznaje, iż dalsze życie nie ma sensu. Może to spotkać także wierzących, którzy właśnie z powodu wiary uznają, że gdyby Bóg istniał, nie dopuściłby do takiej sytuacji.

W decyzji papieża o sformułowaniu takiej intencji modlitewnej widać, jak Kościół daleko odszedł od traktowania samobójców jako ciężkich grzeszników. Przekaz jest czytelny: przyczyny twojego cierpienia mogą być różne, ale niezależnie od nich masz prawo otrzymać pomoc.

Papieska intencja świadczy także o zrozumieniu problemu społecznego. Wzrasta liczba samobójstw. Według Światowej Organizacji Zdrowia, każdego roku odbiera sobie życie około 720 tys. osób, czyli średnio 2 tys. dziennie. Ponad połowa samobójstw (56 proc.) ma miejsce przed 50. rokiem życia. Dotyczy to szczególnie osób w wieku od 15 do 29 lat. ©

Autor jest psychoterapeutą i psychologiem.
(NOT. ASK)

GRAZIA PICCIARELLA / REX FEATURES / EAST NEWS



Koalicja nie będzie umierać za PIP

MAREK RABIJ

Nie po raz pierwszy ministrowie rządu Tuska stają w opozycji do własnych postulatów. Tym razem podzieliły ich wątpliwości, czy w dyskusji o zmianie uprawnień dla Państwowej Inspekcji Pracy stać po stronie pracowników, czy opowiedzieć się za argumentami pracodawców. Cokolwiek by jednak zrobili, komuś i tak podpadną.

Przypomnijmy: rząd zapowiedział wzmocnienie uprawnień PIP. Od nowego roku jej inspektorzy mieliby prawo w drodze decyzji administracyjnej zmieniać kontrakty B2B i umowy-zlecenia w umowy o pracę, gdyby doszli do wniosku, że charakter zlecenia nosi znamiona pracy etatowej.

Rozpętała się burza. Pracodawcy podnieśli larum, że polskiej gospodarce, w znacznej mierze bazującej nadal na niskich kosztach pracy, nowe przepisy wyrwą zęby. Organizacje pracodawców zajęły się tym, co mają opanowane do perfekcji, czyli straszeniem falą zwolnień. Do krytyków reformy przyłączyła się nawet NSZZ Solidarność, ale pozostałe związki zawodowe na propozycję wzmocnienia rachitycznej PIP patrzą przychylniej. W rządzie ich stronę trzyma szefowa resortu rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Dla jej ugrupowania, czyli lewicy, ograniczenie patologii polskiego rynku pracy, na którym od końca pandemii trwa wysyp quasi-przedsiębiorczości, to jeden z filarów programu wyborczego. W latach 2020-23 liczba zatrudnionych w Polsce na umowę o pracę wzrosła o ledwie 17,9 tys. W tym samym czasie przybyło aż 161,9 tys. samozatrudnionych. Dziemianowicz-Bąk chce więc, by przepisy o PIP weszły w życie w najostrzejszej wersji.

W trudniejszym położeniu są politycy dawnej PO. Ideologicznie daleko im do każdych regulacji, ale wiedzą też, że koalicja wisi na głosach kolegów, którzy serca mają po drugiej stronie. Rzeczywistość też skrzeczy: w kasie NFZ pustki i każde ograniczenie spektrum legalnej optymalizacji podatkowej sprzyja budżetowi. A jednak minister finansów Andrzej Domański, jak przystało wiernemu żołnierzowi Tuska, wskazuje na niedoszacowanie kosztów wprowadzenia nowych przepisów, zwłaszcza dla małych i średnich firm. ©℗



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Jolanta Sobierańska-Grenda na posiedzeniu rządu. Warszawa, 21 października 2025 r.

Resort zdrowia chce ograniczyć zarobki lekarzy. Czy uzdrowi tym NFZ?

SŁUŻBA ZDROWIA ▪ Dochodzimy do ściany – tak w rozmowie z serwisem Money.pl skwitowała sytuację finansową NFZ minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda. Mimo że wydatki znacznie przekroczą w tym roku 200 mld zł, a państwo dołożyło już w formie dotacji ponad 30 mld, to wciąż zbyt mało, by zaspokoić rosnące potrzeby zdrowotne społeczeństwa. NFZ nie ma z czego płacić, więc szpitale w całej Polsce ograniczają przyjęcia i przesuwają zabiegi na przyszły rok. Tyle że wiele wskazuje na to, iż ten wcale nie musi być lepszy – planowane wydatki NFZ w 2026 r. to niemal ćwierć biliona zł. Dobra wiadomość jest taka, że w stosunku do bieżącego roku pieniędzy będzie więcej, zła – że to wciąż za mało: co najmniej o 23 mld zł. Ministerstwo Zdrowia szuka więc oszczędności, także w kieszeni medyków. Resort przedstawił właśnie projekt ograniczenia wysokości płac lekarzy pracujących na kontraktach do maksymalnie 48 tys. zł brutto.

Ministerialny pomysł w obecnej sytuacji wydaje się jednak niefortunny. Wzbudzanie publicznej dyskusji na temat lekarskich pensji przesuwa środek ciężkości poza sedno i kieruje uwagę tylko na pracowników systemu. Tymczasem teza, że to medycy przejadają pieniądze NFZ, zantagonizuje i tak już podzielone społeczeństwo, osłabi zaufanie do medycyny i zwiększy popularność teorii spiskowych oraz medycyny alternatywnej.

Sytuacja nie jest czarno-biała. Po kraju nie grasują gangi kardiologów, neurochirurgów czy anestezjologów, którzy grożąc skalpelem dyrektorom szpitali, wymuszają podpisywanie super intratnych kontraktów. Fakt, niektóre grupy medyków zarabiają rażąco dużo w stosunku do innych pracowników ochrony zdrowia, ale dzieje się tak tylko dlatego, że takie warunki im zaproponowano. Lekarz zatrudniony na etacie zgodnie z dyrektywą UE może pracować 48 godzin tygodniowo. Lekarz-firma nie ma takich ograniczeń, może pracować w różnych placówkach non stop. Oczywiście, uprzednio odpowiednio zmotywowany. Ale jeśli dochodzi do drenowania budżetu NFZ i patologicznych nierówności w płacach, to są one spowodowane innymi patologiami – dotyczącymi kadr, ich rozmieszczenia na mapie kraju i nieadekwatnych wycen świadczeń.

Choroby nie da się wyleczyć, zajmując się jedynie jej objawami. Kiedy obraz ulega rozmazaniu, warto raczej sięgnąć do źródła. Nadwykonanie, procedura, dziura budżetowa – próżno szukać takich określeń w Konstytucji RP. Łatwo za to znaleźć artykuł 68., który gwarantuje Polkom i Polakom równy dostęp do świadczeń zdrowotnych, finansowanych ze środków publicznych. A zapewnienie tego prawa leży jednak po stronie polityków.

© JERZY DZIEKOŃSKI

Wzrok przywrócony 26 razy

OKULISTYKA ▪ W czasopiśmie medycznym „NEJM" opisano właśnie obiecujące wyniki badania klinicznego: udało się przywrócić wzrok dwudziestu sześciu osobom z niemal całkowitą utratą widzenia. We wszystkich przypadkach przyczyną było zwyrodnienie plamki żółtej (AMD) – najczęstsza przyczyna nieodwracalnej utraty wzroku. AMD zwykle zaczyna się około sześćdziesiątki, a w zaawansowanym stadium objawia się nieostrym widzeniem pośrodku pola widzenia, które może przerodzić się w całkowitą ślepotę. Przyczyną najczęstszej, tzw. suchej odmiany jest stopniowe zamieranie komórek pochłaniających światło, zlokalizowanych w tylnej części siatkówki, na tak zwanej plamce żółtej. To szczególnie kłopotliwe miejsce, ponieważ odpowiada za widzenie tego, co znajduje się dokładnie przed nami. W Polsce prawdopodobnie ok. 2 mln osób ma jakąś postać AMD; na razie nie ma żadnej naprawdę dobrej terapii.

Sytuacja może się jednak odmienić. „Tam, gdzie wcześniej była całkowicie ślepa plama martwej siatkówki, widzenie zostało przywrócone", mówił czasopismu „Nature" oftalmolog Frank Holz, jedna z osób odpowiedzialnych za nowe badanie. „Pacjenci mogą teraz czytać litery i całe słowa oraz normalnie funkcjonować w życiu codziennym" – dodawał. Testowane rozwiązanie nosi nazwę PRIMA i jest połączeniem dwóch głównych elementów. Na dnie siatkówki – tam, gdzie u chorej osoby znajduje się plamka uszkodzonej tkanki – umieszczany jest cieniutki płaski implant, mający grubość zaledwie 1/30 milimetra. Jest on skonstruowany z materiału, który pochłania światło i pobudza znajdujące się obok nerwy, działa więc w zasadzie tak samo jak zdrowe komórki siatkówki. Jest też bezprzewodowy, czerpiąc energię z tego samego światła, które trafia do oka. Sprytne, jest jednak haczyk – materiał ten reaguje tylko na światło podczerwone. Aby więc implant działał poprawnie, konieczne jest zamontowanie na okularach dodatkowego urządzenia, które „tłumaczy" ze zwykłego światła na podczerwone.

Nie jest więc to jeszcze, niestety, całkowicie samodzielne urządzenie po prostu zastępujące chorą tkankę na dnie oka: konieczne jest też noszenie kamery-projektora na jednym ze szkieł okularów. Przyzwyczajenie się do tego urządzenia zajmuje kilka miesięcy, jednak później mózg przystosowuje się i pacjenci podobno zapominają z czasem, że to, co widzą, nadaje im tak naprawdę zamontowany przed okiem projektor. Jest też niespodziewana korzyść z takiego rozwiązania: kamerą zbierającą obraz można manipulować, przybliżając i oddalając obraz, jak w aparacie fotograficznym.

© ŁUKASZ LAMŻA



MICHEL EULER / AP PHOTO / EAST NEWS

Paryż, 4 listopada 2025 r.

Laurent Mauvignier wyróżniony Nagrodą Goncourtów

LITERATURA ▪ W „La maison vide” („Pustym domu”) Laurent Mauvignier buduje wielopiętrową sagę, przedstawiając historię rodzinną na tle historii Francji i Europy. Pisze o dawnych czasach, ale też o transgeneracyjnej traumie.

We wtorek 4 listopada, chwilę przed trzynastą przewodniczący Akademii Goncourtów Philippe Claudel stanął na schodach paryskiej restauracji Drouant i ogłosił werdykt jury: zdobywcą 123. Nagrody Goncourtów jest Laurent Mauvignier, którego monumentalna powieść „La maison vide” („Pusty dom”) już w pierwszej turze głosowania otrzymała sześć z dziesięciu głosów.

Wielkim przegranym rozgrywki jest znany polskim czytelnikom Emmanuel Carrère, którego „Kolkhoze” („Kołchoz”) był faworytem, a ostatecznie nie dostał żadnego głosu jury. Nie, żeby pisarz go potrzebował – powieść o losach jego gruzińskiej matki i tak sprzedała się już w stu tysiącach egzemplarzy.

Zwycięstwo Laurenta Mauvigniera cieszy krytyków i czytelników – skromny, sympatyczny okularnik jest znacznie bardziej lubiany niż pewny siebie i nieco arogancki Carrère. Mauvignier ma co prawda na koncie już kilkanaście książek i uznanie krytyki (również zagranicznej – w 2023 r. był nominowany do Nagrody Bookera za mroczny thriller „Histoires de la nuit”; w przyszłym roku powieść tę wyda Czarne, w przekładzie Jacka Giszczaka). Ale że urodził się w robotniczej rodzinie w Turenii, a mieszka w Tuluzie, trzyma się z dala od wsobnego paryskiego światka.

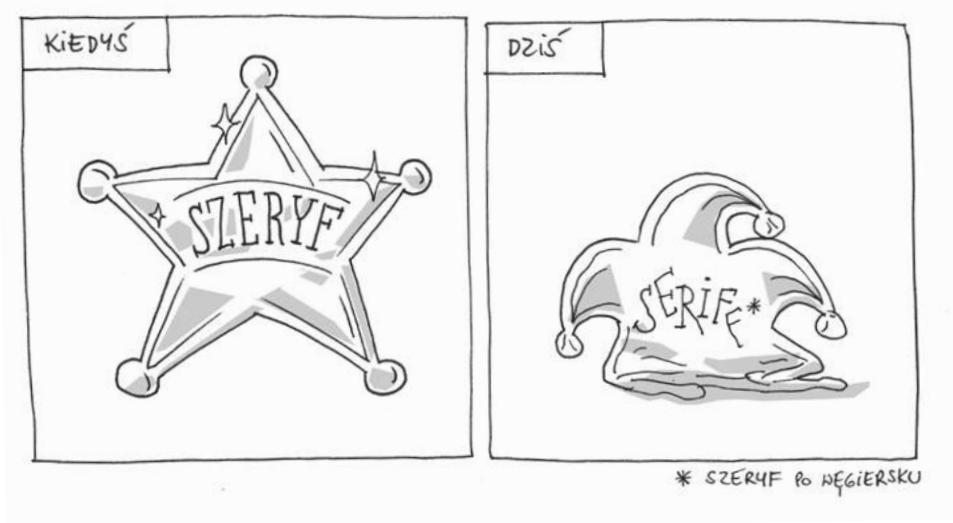
Na siedmiuset stronach powieści autor bada skomplikowaną rodzinną historię. „W 1976 roku mój ojciec ponownie otworzył dom, który odziedziczył po swojej matce, a który przez dwadzieścia lat pozostawał zamknięty. W środku znajdowały się: fortepian, komoda z wyszczerbionym marmurem, order Legii Honorowej, zdjęcia, z których ktoś nożyczkami wyciął twarz. Dom pełen opowieści, w którym spotykają się dwie wojny światowe, życie na wsi w pierwszej połowie XX wieku, ale także Marguerite, moja babcia, jej matka Marie-Ernestine, matka Marie-Ernestine i liczni mężczyźni, którzy wokół nich grawitowali. Wszyscy oni odcisnęli swoje piętno na tym domu, ale stopniowo zostali wymazani z pamięci. Próbowałem przywrócić ich do życia, aby zrozumieć, jaka mogła być ich historia i jaki wpływ miała na naszą” – tak autor sam prezentuje książkę na stronie wydawcy.

Czytelnicy i krytycy zgodnie twierdzą, że historia wciąga, czyta się ją jednym tchem. I że choć właściwie dotyczy rodziny Mauvignierów, łatwo identyfikować się z narratorem. No bo kto nie ma w rodzinnym albumie tajemnic i pustych miejsc?

Tymczasem Mauvignier odebrał symboliczny czek na dziesięć euro, a francuscy księgarze nakładają na jego książkę czerwoną opaskę i liczą na dobry utarg. Powieści laureatów Goncourtów osiągają zwykle około półmilionowe nakłady. I obok najnowszego Asteriksa to one najczęściej lądują pod choinką.

© DOROTA MALINA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



TEMAT TYGODNIKA

SMOK NAD ŚWIATEM

Gdy Ameryka Trumpa i ruchu MAGA zajęta jest sobą, miejsce globalnego hegemona zajmują Chiny. Prezydent Xi ma nie tylko atuty w postaci metali ziem rzadkich. Ma też wizję.

BOGDAN GÓRALCZYK

Fareed Zakaria nazywa to „czasem rewolucji". Stary ład nie funkcjonuje. Nowego brak. Znaleźliśmy się w geostrategicznym przeciągu, w którym pewne jest tylko jedno.

Coraz silniej wieje ze wschodu.

Metalowa pięść Pekinu

Władze Komunistycznej Partii Chin zaprezentowały właśnie założenia polityki na lata 2026-30. Na najbliższą pięciolatkę Pekin ma zupełnie inne priorytety niż dotąd. Stawia już nie na ilość, lecz na „wzrost wysokiej jakości", co jest tam teraz pojęciem używanym równie często jak „walka" (*douzheng*) – bój o swoje, i bój z innymi, począwszy od Amerykanów.

Druga kadencja Donalda Trumpa wniosła do relacji USA–Chiny nową dynamikę. Nałożone przez niego dodatkowe cła sprawiły, że władze ChRL po raz pierwszy zachowały się jak mocarstwo i skorzystały ze swojej, starannie dotąd budowanej, monopolistycznej pozycji w zakresie produkcji metali ziem rzadkich. Już 4 kwietnia, dwa dni po nałożeniu przez Trumpa ceł, wstrzymały eksport 7 z 17 tych pierwiastków, a 9 października dodały do tej listy jeszcze pięć. Zagroziły przy tym, że od 1 grudnia 2025 r. ograniczenia w dostępie obejmą wszystkie chińskie metale ziem rzadkich.

Siłę tego ultimatum wyrażają liczby. Chiny to dziś 65 proc. światowej produkcji i nawet ponad 90 proc. rafinacji, bo to obróbka kosztowna i pracochłonna. Bez metali ziem rzadkich nie powstanie żaden smartfon czy laptop. Każdy amerykański samolot F-35 potrzebuje do pół tony takich surowców, zaś nowoczesne korwety i okręty podwodne na etapie budowy pochłaniają po kilka ton.

Nic dziwnego, że z obawy o własny przemysł (w tym sektor wojskowy) Amerykanie doprowadzili do piątej już od kwietnia rundy rozmów głównych negocjatorów, szefa resortu skarbu Scotta Bessenta i wicepremiera He Lifenga. A ci w zaledwie kilka dni zaaranżowali październikowe spotkanie głów państw w południowokoreańskim Busan.

Uzgodnienia, co warto podkreślić, dotyczyły przede wszystkim metali ziem rzadkich, jesteśmy bowiem świadkami kolejnej rewolucji surowcowej. Gra światowych mocarstw nie toczy się już o paliwa kopalne, jak węgiel, ropa i gaz, lecz o alternatywne źródła energii – od solarnej, wiatrowej i wodnej, po atomową i pochodzącą z fuzji termonuklearnej. We wszystkich tych dziedzinach Chiny wyprzedzają USA, a w najbliższych latach zapowiadają jeszcze wzmocnienie pozycji.

Używając pokerowej terminologii można więc rzec, że Pekin wchodzi *all in* do świata wysokich technologii, w którym karty rozdawał dotąd Waszyngton. Prezydenci Trump i Xi w Busan rozmawiali o metalach ziem rzadkich i handlu. O Tajwanie – wcale.

W czasach globalnego szeryfa

Dynamika amerykańsko-chińskich relacji dyplomatycznych może zaskakiwać każdego, kto przez ostatnie dekady przywykł do USA w roli bezwzględnego strażnika pax americana.

Od zakończenia II wojny światowej globalną politykę definiowała doktryna MAD (Mutually Assured Destruction), czyli obawa dwóch globalnych mocarstw o wzajemne unicestwienie. Owszem, zdarzały się poważne konflikty, jak wojny koreańska lub wietnamska, ale miały wymiar lokalny. Rozpad ZSRR doprowadził jednak do „jednobiegunowej chwili" – jak to celnie ujął amerykański publicysta Charles Krauthammer. Jedynym arbitrem globalnego porządku stały się USA i choć tej roli nie zatwierdził żaden nowy Kongres Wiedeński czy Wersalski, nikt jej też nie zakwestionował. Mimo że w sensie prawnomiędzynarodowym nastał „bezład", jak głosił tytuł książki Zbigniewa Brzezińskiego, globalne porządki układano na amerykańską modłę i w zgodzie z interesami USA.

Ukształtowało się mocarstwo wręcz omnipotentne i jako takie dyktowało własne warunki. Francis Fukuyama zdefiniował tamten czas jako „koniec historii". Margaret Thatcher mówiła „TINA" (There Is No Alternative) – nie ma alternatywy: komunizm się przewrócił, jest tylko demokracja w zachodnim wydaniu i niepohamowany rynek. Nawet do Federacji Rosyjskiej zapukała wolność, a świat popadł w geopolityczną drzemkę.

Wszystko wydawało się więc być poukładane. Jest światowy policjant, jest porządek. Amerykanie podyktowali światu, w tym pokomunistycznemu, dwa pakiety: neoliberalny z ducha i litery „konsensus z Waszyngtonu", a więc nieposkromione rynki i globalizację bez granic, a zarazem wypracowany u nich model ↦

APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ demokracji, zwany *checks and balances*, równowagi i kontroli władz. W jego ramach funkcjonował nie tylko klasyczny trójpodział władzy, ale dodatkowo niezależne, szczególnie od rządu, media i społeczeństwo obywatelskie. Dla ułatwienia nazwano to liberalną demokracją, w ramach której ideowa, światopoglądowa i duchowa liberalizacja miała być równie nieograniczona, jak wolne rynki, obejmujące także swobodny przepływ kapitałów i usług, w tym finansowych czy bankowych.

Te dwa pakiety stały się aksjologicznymi fundamentami Unii Europejskiej, która powstała właśnie wtedy, w traktacie z Maastricht z 8 lutego 1992 r., a więc kilka tygodni po rozpadzie ZSRR. Tym samym nie tylko świat pokomunistyczny, lecz cała Europa podążyła za amerykańskim przykładem.

Jedynym większym podmiotem, który się amerykańskiemu dyktatowi sprzeciwił, były Chiny – ich sędziwy przywódca Deng Xiaoping odrzucił liberalizację polityczną i aksjologiczną jako „nieadekwatną" do miejscowej autokratycznej tradycji, a tym bardziej do stylu rządów Komunistycznej Partii Chin. Zamiast prorynkowego „konsensusu z Waszyngtonu" zaproponował rodakom inny model, nazwany przez wnikliwego badacza Japonii Chalmersa Johnsona „państwem rozwojowym" (*developmental state*). Jego istota polegała na tym, że niewidzialną rękę rynku w strategicznych kwestiach chwytała ręka państwa.

Amerykanie usuwali regulacje, dając wolną rękę bankom i kapitałom, Chińczycy (i tzw. azjatyckie tygrysy: Korea Płd., Tajwan czy Singapur) nadal regulowali – i kreślili dalekosiężne plany. Obok rynku stało państwo, w Chinach zawsze pierwszoplanowe.

Z Atlantyku nad Pacyfik

Pragmatyczny Deng zrozumiał, że ponieważ komunizmu już nie ma, a świat jest zdominowany przez kapitalizm, to trzeba włączyć biedny jeszcze i zacofany kraj do procesów globalizacji. Zaprosił obce kapitały, które – skuszone ogromnym i chłonnym rynkiem – przyszły, nie zważając na traumę z placu Tiananmen.

Pod koniec lat 90. Chińska Republika Ludowa zamieniła się w światową taśmę produkcyjną, a dziś, co godne podkreślenia, daje aż jedną trzecią całej globalnej produkcji towarowej (drugie w tym zestawieniu USA: tylko 14 proc.).

W ramach polityki wzajemnego zaangażowania, ale także z powodu zachłanności kapitału, który chciał „podbijać" chiński rynek, Amerykanie w 2001 r. zgodzili się na udział ChRL w pracach Światowej Organizacji Handlu (WTO). Kraj zarządzany przez partię komunistyczną wszedł na kapitalistyczne rynki jako pełnoprawny gracz.

Efekt? W pierwszej dekadzie tego stulecia Chiny rosły w tempie dwucyfrowym i już w 2010 r. wyprzedziły Japonię, stając się drugą po USA gospodarką świata. W sensie psychologicznym dla mieszkańców ChRL nastąpił szok poznawczo-psychologiczny; wyobraźmy sobie Polskę, która gospodarczo przegania Niemcy...

Amerykanie w tym czasie zaangażowali się w „misję stabilizacyjną" na terenie Afganistanu i pod hasłem „demokratycznego uniwersalizmu" wkroczyli do Iraku. Weszli w „wojnę z terrorem", której koszty specjaliści – Joseph Stiglitz i Linda Bilmes – już w 2008 r. wyceniali na 3 biliony dolarów. A równocześnie, pchani pokusą konsumpcjonizmu, coraz częściej korzystali z tanich chińskich towarów.

Biorąc na siebie zbyt dużo zobowiązań na scenie międzynarodowej, a przy tym zawierzając rynkom i powszechnie dostępnym kredytom, Amerykanie popadli w „imperialny przesyt", jak to zdefiniował historyk z uniwersytetu Yale Paul Kennedy. Chiny rosły, oni zaś się zadłużali. Do czasu, jak się okazało. W połowie września 2008 r. upadł Lehman Brothers, jeden z fundamentów ich systemu bankowo-kredytowego. Rozpoczął się kryzys, który zmusił państwo do bezprecedensowej interwencji: w celu uniknięcia pełnego finansowego krachu dofinansowano upadające instytucje.

Ten krach obnażył wady neoliberalizmu. Rynek nie okazał się być, jak zapowiadano, sprawiedliwym regulatorem. Owszem, zwiększał dobrobyt, ale zdecydowanie nierówno. Forsował interesy bankowców i bogaczy, prowadził do coraz większego rozwarstwienia. W wydanej i u nas książce „Droga do wolności" wspomniany noblista z ekonomii Joseph Stiglitz brutalnie oceniał jego dominację w gospodarce: „W praktyce neoliberalizm okazał się namiastką kapitalizmu, w której straty są uspołeczniane. A zyski sprywatyzowane".

Dalsze utrzymywanie się tych teorii, które przetrwały na Zachodzie mimo kryzysu 2008 r., jest – zdaniem Stiglitza – groźne, bo prowadzi do utraty nadziei wielu warstw społecznych, a te z kolei wynoszą na piedestał populistów i demagogów, a nawet rodzą nową falę autorytaryzmu. Cena za bezgraniczną wiarę w siły rynkowe jest więc wysoka; prowadzi też do powrotu wiary w państwo, regulacje i interwencjonizm.

Chiny, stosując inny model, naturalnie takich doświadczeń nie miały. Miały też poczucie, że wybrały lepiej. I zrozumiały, że po wszystkich tych przejściach Ameryka została osłabiona. Co więcej: cały ten proces pokazał, że dokonuje się strukturalna zmiana, w ramach której centrum gospodarcze i handlowe przenosi się z Atlantyku na Pacyfik, a równocześnie wyłaniają się ośrodki siły poza dotychczas dominującym Zachodem, począwszy od Chin, przez Indie, po Indonezję, Brazylię czy RPA.

Dowodem były nowe rozwiązania instytucjonalne, gdy grupę G-7 (największych gospodarek Zachodu plus Japonia) zamieniono w G-20, a drugie ugrupowanie ujęto w formule BRICS (Brazylia, Rosja, Chiny i Indie, a po roku także RPA). Jeszcze lepiej nowe realia ujęto świeżym terminem: wschodzące rynki (*emerging markets*). W drugiej dekadzie tego stulecia, aż do pandemii Covid-19, to one stały się główną siłą napędową światowej gospodarki, dając w latach 2009-19 ponad 80 proc. globalnego wzrostu PKB i zmieniając w ten sposób dotychczasowy układ sił.

W pułapce Tukidydesa

Na czele tego zwrotu stanęły Chiny, większe gospodarczo i handlowo niż czterej ówcześni członkowie BRICS razem wzięci. Ówcześni, bo dziś to ugrupowanie liczy już 10 członków, w tym roku weszła doń Indonezja, a niemal 30 krajów stoi w kolejce. A wszystkie są w mniejszym lub większym stopniu antyzachodnie i – oczywiście – antyamerykańskie. Na tej kanwie rodzi się obecnie jeszcze jeden nowy termin: globalne Południe.

Rosnące jak na drożdżach Chiny, pod wodzą – od 2012 r. – nowego władcy, dziś już jedynowładcy Xi Jinpinga, szybko odrzuciły mantrę Deng Xiaopinga, by bu-

dować swą potęgę w ciszy. Nowy przywódca zaproponował „chińskie marzenie", czyli wizję Chin odrodzonych i potężnych, a na świecie w rok po dojściu do władzy zaprezentował wizję projektów infrastrukturalnych, które w 2015 r. zamieniły jego kraj w eksportera kapitałów, nie tylko ich biorcy.

Ten bezprecedensowy co do skali i zasięgu, zakrojony na ponad bilion dolarów geopolityczny projekt, nazwany ostatecznie Inicjatywą Pasa i Szlaku (Belt and Road Initiative – BRI), a później wspierający go Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB), z nazwy azjatycki, ale z kiesy chiński, obudził wreszcie Amerykanów. Dopiero wówczas zrozumieli, że udostępniając swoje rynki – i uczelnie! – oraz inwestując na terenie Chin, w istocie budowali sobie rywala. Albowiem AIIB otwarcie zaczął podważać zdominowany przez Amerykanów system Bretton Woods (Bank Światowy, MFW), a władze w Pekinie pozycję amerykańskiego dolara jako waluty rezerwowej.

Projekt BRI pokazał, że mamy nowego gracza na scenie globalnej. W efekcie dopiero w 2015 r. – zdecydowanie za późno – na alarm zaczęły bić amerykańskie ośrodki analityczne i wywiadowcze, a potem akademickie. To wtedy Graham Allison z Uniwersytetu Harvarda ukuł głośny termin „pułapka Tukidydesa", na przykładzie starożytnej Grecji opisujący sytuację taką jak dziś, gdy dotychczasowy hegemon napotyka wyzwanie ze strony gwałtownie rosnącego pretendenta. Z jego diagnozy wynikało, że zazwyczaj jest to sytuacja groźna i najczęściej kończy się wojną.

Przy czym w dzisiejszych czasach nie każda wojna musi się toczyć z udziałem wojsk. Znamy wiele innych jej odmian: celna, handlowa, ideowa, aksjologiczna, medialna, cybernetyczna itd. Dwie pierwsze z nich Donald Trump rozpoczął już w marcu 2018 r. Policzył bowiem, swoim zwyczajem, ujemne saldo w handlu z Chinami i dodał do niego jeszcze straty poniesione z racji utraconych licencji czy praw autorskich. Wyszło mu, że to się nie opłaca, więc uderzył.

Ale wybitnych sukcesów na tym polu nie odniesiono. Ujemne saldo handlowe w obrotach towarowych USA z Chinami w roku ubiegłym wyniosło 295,5 mld dol. i przekroczyło 100 mld za pierwsze półrocze tego roku. Chińskie inwestycje w USA jednak niemal wyzerowano,



APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Chiński przywódca proponuje wizję nowego ładu, alternatywnego wobec dotychczas panującego, zdominowanego przez USA value-based order, opartego na wartościach, które Trump też otwarcie podważa.

a wojny handlowej nigdy nie odwołano, nawet za czasów administracji Bidena.

Jeszcze na wstępie pierwszej kadencji w stosunku do Chin Trump zmienił azymuty: w miejsce poprzedniego zaangażowania wprowadził „strategiczną rywalizację". Dotychczasowi partnerzy zamienili się w konkurentów.

Amerykańska rewolucja, chiński ład

Podczas drugiej kadencji zmiany poszły jeszcze głębiej i dalej, tak na amerykańskiej scenie wewnętrznej, jak międzynarodowej. Na tej pierwszej pojawił się ruch MAGA (Make America Great Again), sięgający po ideowe podłoże w słynnym „Projekcie 2015" prawicowo-konserwatywnego think tanku Heritage Foundation. Zakłada on nic innego, jak radykalne wzmocnienie władzy wykonawczej (prezydenta), głęboką restrukturyzację i wymianę istniejących instytucji i struktur, zamykanie granic, izolacjonizm i protekcjonizm, niechęć do imigracji i deportacje, zdziesiątkowanie służby cywilnej i zagranicznej, a przede wszystkim nowy pakiet wartości, od ochrony tradycyjnie rozumianej rodziny, ale też zmianę roli kobiety czy polityki wobec aborcji począwszy.

Mówiąc krótko: w USA mamy do czynienia z antyliberalną, konserwatywną rewolucją, świadomie podważającą wartości niegdyś, po rozpadzie ZSRR, światu proponowane lub forsowane. Narusza ona nawet dotychczasowe amerykańskie świętości, począwszy od indywidualnych wolności. Nie narusza natomiast interesów bogaczy, przede wszystkim wielkich konglomeratów technologicznych (Big Tech), wyrastających na swego rodzaju drugą administrację.

Tym samym ruch MAGA, z chimerycznym i mocno transakcyjnym w działaniu prezydentem na czele, podważa fundamenty, na jakich Ameryka jako jedyne supermocarstwo budowała swe wpływy. Jak w tym sensie rozumieć poparcie tego ruchu wyrażone przez Xi Jinpinga na spotkaniu z Trumpem? Czyżby Chińczycy uważali, że miast Amerykę umocnić, może on ją osłabić?

Nie wdawajmy się w makiaweliczne spekulacje, wystarczą fakty. A te są takie, że Chiny po pierwsze – nie chcą wojny, ale się jej nie boją, a po drugie i nie mniej ważne, trzymają się zasady nieingerencji w sprawy wewnętrzne. Ostatnio widać jednak, że chodzi im nie tylko o to.

Albowiem Xi Jinping się nie zatrzymuje: zarysował holistyczną, otwartą co do interpretacji, wizję nowego ładu światowego ujętą w tzw. Globalnych Inicjatywach: Rozwojowej (2021), Bezpieczeństwa (2022) i Cywilizacyjnej (2023). Do których teraz, we wrześniu 2025 r., dodał jeszcze jedną – Globalnego Zarządzania (Global Governance). Wszystkie cztery mają tworzyć Wspólnotę Przyszłości, czy też Wspólnotę na rzecz wspólnej przyszłości ludzkości (*renlei mingyun gongtongti*).

Jest to wizja chińskiego uniwersalizmu, nawiązująca do tradycji *tianxia*, a więc porządku pod sklepieniem Niebios (w domyśle i kontekście: pod wodzą Chin). Chiński przywódca proponuje wizję nowego ładu, alternatywnego wobec panującego, zdominowanego przez USA value-based order, opartego na wartościach, które Trump też otwarcie podważa.

Ten proponowany przez Pekin nowy ład ma być oparty na dwóch głównych źródłach: wartościach konfucjańskich, począwszy od harmonii, wzajemności, lojalności i nade wszystko hierarchii (naturalnie: z Chinami w roli głównego rozgrywającego) oraz suwerenistycznych z natury pięciu zasadach pokojowego współistnienia (*Pancha Shila*). ↦

↦ Oznacza to, że władze ChRL proponują innym partnerom, w tym ONZ i organizacjom międzynarodowym, nowy, wielobiegunowy porządek. Wychodzą jednak z własnych tradycji i sugerują budowę ładu „inkluzywnego i korzystnego dla wszystkich", opartego na zasadach wzajemnych korzyści, otwartości, sprawiedliwości i uczciwości. Zarazem apelują o poszanowanie integralności terytorialnej, wzajemną nieagresję i pokojowe współistnienie. To ostatnie nie przeszkadza jednak władzom w Pekinie stać przy agresywnej Rosji, a to z racji strukturalnego już teraz zderzenia ich interesów z amerykańskimi.

Jak widać, jest to zupełnie odmienny zestaw wartości i postulatów, zasadniczo różniący się od wypracowanego w USA systemu równowagi i kontroli władz oraz modelu demokracji liberalnej i gospodarki rynkowej skodyfikowanych w UE. W porządku proponowanym przez Chiny, zamiast wartości z ducha i litery liberalnych, zachowane zostają tylko otwarte rynki i globalizacja; liczą się relacje między graczami na scenie międzynarodowej, a nie realia wewnętrzne u każdego z nich.

Koniec wakacji

Rewolucja aksjologiczna z USA, nowa wizja światowej współpracy z Chin, znana od wieków polityka siły... Jak to celnie ujął Fareed Zakaria: „Po trzydziestoletnich »wakacjach od historii« znów żyjemy w świecie kształtowanym przez konkurencję i konflikty między mocarstwami".

Ostatnie zachowania Chin, w tym uderzenie ziemiami rzadkimi, niby wymierzone w USA, ale stanowiące zagrożenie również dla naszych wysokich technologii, np. lotnictwa i przemysłu zbrojeniowego, jest wyzwaniem także dla UE i NATO.

Ostatnie zachowania Chin, w tym uderzenie ziemiami rzadkimi, niby wymierzone w USA, ale stanowiące zagrożenie również dla naszych wysokich technologii, np. lotnictwa i przemysłu zbrojeniowego, jest wyzwaniem także dla UE i NATO. Szczyt w koreańskim Busan miał wprawdzie przynieść *Big Deal*, jak ogłosił bombastycznie prezydent Trump, faktycznie był jednak tylko zawieszeniem broni. Chińczycy ogłosili roczne moratorium na wydawanie przez nich licencji na ziemie rzadkie (pod warunkiem, że się będziemy – w ich oczach – dobrze sprawowali), a Trump nie tylko nie wprowadził zapowiadanych dodatkowych podwyżek ceł o 100 procent, ale nawet obniżył stawki z 57 do 47 (na niektóre towary nawet do 15).

Przywódcy obu mocarstw zapowiedzieli dalsze kontakty: Trump ma być w Chinach w kwietniu, a Xi Jinping we wrześniu 2026 r. poleci do USA. Nastąpiła więc deeskalacja. Zapewne chwilowa, widać bowiem, że stary ład już nie funkcjonuje. Jesteśmy w geostrategicznym przeciągu, z którego wcześniej czy później wyłoni się jakiś nowy porządek, najprawdopodobniej wielobiegunowy, z Chinami (i Indiami) jako jednymi z głównych rozgrywających.

To już nie będzie ład europocentryczny, a nawet euroatlantycki. Przy czym ten najbliżej nas wykuwa się właśnie na wschodnich frontach. Albowiem walki na obszarze Ukrainy dotyczą nie tylko jej, lecz nowej architektury bezpieczeństwa w Europie. To nie będzie obojętne, jak i kiedy ta wojna się skończy. I co z tym zrobią dwa największe mocarstwa, choć o tym w Busan nie rozmawiały.

Wakacje się skończyły. Czas wkroczyć do nowej klasy. Tyle tylko, że stare podręczniki, przynajmniej te z zakresu nauk społecznych, mocno się zdezaktualizowały. © BOGDAN GÓRALCZYK

Autor jest politologiem i sinologiem. Wykładowca w Centrum Europejskim UW, były ambasador w państwach Azji, autor wielu książek, poświęconych m.in. chińskiej transformacji ostatnich dekad.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Jacek Stawiski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)

TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

BONUS

TYGODNIK POWSZECHNY

W świecie, w którym sensacja wygrywa z sensem, wyróżniamy tych, którzy robią coś innego – dobrego, dla innych.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego" – stworzona po to, by docenić ludzi i inicjatywy, które wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo *bonus* po łacinie znaczy „**dobry**". I tak właśnie rozumiemy tę nagrodę – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

Nagradzamy tych, którzy:

- łączą zamiast dzielić
- rozmawiają zamiast krzyczeć
- tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały

Pięć kategorii, pięć przestrzeni wspólnego dobra.

Poznajmy nominowanych!

MEDIA

Nagradzamy dziennikarzy, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog zamiast sensacji i klikbajtu.

Monika Białkowska

Jędrzej Dudkiewicz

Jakub Dymek i Marcin Giełzak „Dwie Lewe Ręce"

Zbigniew Parafianowicz

Justyna Suchecka

Karolina Wigura

Zespół „Historia BEZ KITU"

KULTURA

Wyróżniamy twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych perspektyw i głosów, żadnego z nich nie uciszając.

Maria Apoleika (Maria Saktura)

Paweł Błach

Wojciech Bonowicz

Hiob Dylan

Iga Dzieciuchowicz

Dorota Ogrodzka

Daniel Rycharski

Justyna Sobczyk

Arjun Talwar

Jurij Zawadski

Maciej Zdanowicz

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Honorujemy inicjatywy, które odbudowują wspólnotę i dają przestrzeń do rozmowy mimo różnic.

Piotr M.A. Cywiński

Anja Franczak

Anna Krawczak

Cecylia Malik

Dariusz Martynowicz

Marcin Piotrowski

Wawrzyniec Smoczyński

Krystyna Święcicka

Adam Wajrak

LIDER/LIDERKA

Nagradzamy przywódców budujących dobro wspólne, inspirujących i pociągających za sobą innych.

Andrzej Andrysiak

Anna Cieplak

Agnieszka Czmyr-Kaczanowska

Basil Kerski

Bartosz Pilitowski

Magdalena Tchórznicka

Marta Titaniec

Mateusz Widłak

Jakub Wygnański

TECHNOLOGIA

Wyróżniamy innowacje, które włączają zamiast wykluczać i ułatwiają dostęp do wiedzy i rzetelnej rozmowy.

Magdalena Bigaj

Tomasz Chołast

Jakub Dębski

Krystian Jażdżewski

Mateusz Kowalczyk i Jakub Fryszczyn

Przemysław Kuśmierek

Joanna Michalska

Rafał Modrzewski

Mati Staniszewski

(nominowani w każdej kategorii zaprezentowani w kolejności alfabetycznej)

19 listopada ogłosimy **3** finalistów w każdej z pięciu kategorii

Gala wręczenia nagród
28 listopada 2025, godz. 19.00
Muzeum Manggha, Kraków

Więcej informacji:
bonus.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNER STRATEGICZNY blik
PARTNER GŁÓWNY Kraków
PATRONAT MEDIALNY Trójka Polskie Radio, tvn24

KRAJ

EUROPEJCZYKU, PRACUJ W POLSCE

Najłatwiej integrują się z naszym społeczeństwem ludzie pochodzący z krajów Unii Europejskiej. Dlaczego tak niewielu z nich chce pracować w Polsce? Co moglibyśmy zrobić, aby to zmienić?

STEFAN SĘKOWSKI



Najchętniej oprowadzam turystów po lubelskim klasztorze Dominikanów. Uwielbiam jego historię, fascynuje mnie opowieść o relikwiach Świętego Krzyża, które kiedyś tu przechowywano. Sami zakonnicy też są bardzo gościnni – opowiada mi z pasją w głosie miejski przewodnik. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że jest Holendrem.

W Polsce mieszka od 2014 roku (stąd pochodzi jego żona) i jest jednym z raptem 1233 pracujących u nas obywateli Niderlandów. Łącznie zaś mamy w Polsce 42 830 osób, które znalazły tu zatrudnienie i pochodzą z państw Unii Europejskiej (dane z sierpnia 2025 r.). Stanowią oni ledwie 3,4 proc. obcokrajowców zarabiających legalnie w Polsce i niecałe trzy promile wszystkich pracowników. Nawet jeśli uznamy, że część obywateli UE pracuje nad Wisłą „na czarno" lub dla firm zarejestrowanych poza naszymi granicami, liczba ta nie przekroczy 100 tys. osób.

To bardzo mało, biorąc pod uwagę, że wszyscy oni mogą pracować w Polsce bez specjalnego zezwolenia, a nasz kraj w obliczu katastrofy demograficznej bardzo potrzebuje imigrantów. Na to nakłada się jeszcze napięta atmosfera społeczna wokół nielegalnej imigracji z Azji i Afryki oraz często przytaczane opinie, wedle których powinniśmy namawiać do przyjazdu osoby z państw bliskich nam kulturowo. Gdy spojrzymy na wyniki badań (m.in. World Values Survey, Index on Cultural Similarity czy Indeks Koguta i Singha), najbliżsi nam ze wszystkich społeczeństw na świecie są obywatele UE. Zwłaszcza Czesi, Słowacy, Chorwaci i Rumuni.

Dwie pielęgniarki na krzyż

Ci ostatni co prawda najchętniej u nas pracują, jednak w sierpniu 2025 r. było ich tylko 7 tysięcy. Na kolejnych miejscach są Włosi (5,6 tys.), Niemcy (3,9 tys.), Francuzi (3,1 tys.) oraz Hiszpanie (2,9 tys.). Najmniej pracuje w Polsce Luksemburczyków, Maltańczyków i Cypryjczyków – tutaj sprawa jest oczywista: to małe kraje, dalekie od Polski, a w przypadku Luksemburga (24 osoby zarejestrowane w Polsce) mamy do czynienia z państwem, w którym zarabia się najwięcej w Unii Europejskiej. Nie mają potrzeby, żeby przyjeżdżać do nas za chlebem, a w razie czego można wybrać kraje bogatsze niż Polska.

Co innego Rumuni, których ojczyzna jest jednym z najuboższych państw w UE. U nas działają oni głównie w budownictwie (29 proc.) oraz w opiece zdrowotnej i pomocy społecznej (17 proc.). Osoby zatrudnione w tej branży to głównie opiekunki osób starszych i niepełnosprawnych. Bywa, że są u nas tylko zarejestrowane, a w praktyce wyjeżdżają na delegację do Niemiec.

Sytuacja ta może się zmienić, gdyż w październiku Sejm uchwalił ustawę uznającą kwalifikacje pielęgniarek z Rumunii. Pozostaje pytanie, czy dzięki samemu aktowi prawnemu staniemy się konkurencyjni wobec innych państw. Mariola Łozińska, prezeska Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych jest w tej kwestii sceptyczna.

Spośród 274 tys. pielęgniarek i położnych pracujących w naszej opiece zdrowotnej tylko 1681 ma obywatelstwo inne niż polskie, z czego 1540 – ukraińskie. Pozostałe pielęgniarki są głównie z Białorusi, Rosji i Litwy; z samej Rumunii raptem dwie. – Nie miałyśmy do tej ustawy większych zastrzeżeń, poza redakcyjnymi. Nowe prawo może ułatwić pracę w Polsce pielęgniarkom z Rumunii, jednak nie sądzę, by wiele z nich chciało do nas przyjechać. W Polsce wielką barierą jest przede wszystkim konieczność znajomości języka polskiego, ale także poziom wynagrodzenia. To na szczęście się zmienia, ale w innych krajach zarobki są wciąż wyższe – tłumaczy Łozińska.

Lizbona vs. Warszawa

Wiele emocji budzą w Polsce oddziały światowych centrów usług wspólnych oraz branża ICT (technologie informacyjno-komunikacyjne), gdzie zarabia się sporo powyżej średniej krajowej. W takich firmach zatrudnia się tylko 5 proc. Rumunów – dla porównania wybiera je aż co piąty Francuz (21 proc.), zarazem ledwie co setny przybysz znad Sekwany pracuje u nas w budowlance.

Branża informacyjna i komunikacyjna jest zresztą (obok profesjonalnej, badawczej i technicznej, do której zalicza się m.in. prawników, architektów i naukowców) najbardziej popularna wśród obywateli UE zarabiających w Polsce. Wybierają ją, obok Francuzów, głównie Portugalczycy i Hiszpanie. Skąd się biorą w Polsce, tłumaczy mi Joao Pedro Soutelo Pinheiro, który od 2010 r. pracuje u nas jako informatyk. – Za pieniądze, które w moim zawodzie zarobiłbym w Lizbonie, nie mógłbym się tam utrzymać. Zarobki w Warszawie, w stosunku do kosztów życia, są znacznie wyższe.

Pinheiro trafił do nas na raty: najpierw przyjechał zrealizować konkretny projekt swojej firmy, ale gdy poznał Polskę i zaangażował się uczuciowo, zdecydował o przeprowadzce. – Na początku było trudno, zwłaszcza ze względu na pogodę, bo przez pół roku jest tu zimno i ciemno. Jednak człowiek nie żyje samym klimatem. W Warszawie jest bardzo dobra infrastruktura, transport publiczny działa sprawnie, mamy dużo zieleni, szerokie ulice – wylicza Joao, któremu podoba się także to, że Warszawa jest miastem pełnym młodych ludzi. Sam niedawno wziął ślub, wychowuje z żoną dziecko i nie zamierza się nigdzie wyprowadzać.

W orbicie Erasmusa

Polska jest atrakcyjna zwłaszcza dla młodych Portugalczyków, gdyż ma znacznie niższe bezrobocie w grupie osób do 25. roku życia (13,4 proc. wobec 19,7). W całej UE znajdujemy się na 11. miejscu, czyli powyżej średniej, która wynosi 14,8 proc. To bardzo dobry wynik w porównaniu np. do Hiszpanii (25,6 proc. bezrobotnej młodzieży), Rumunii (24,8 proc.), ale też Szwecji (22,8 proc.).

Dr Jan Bazyli Klakla, dyrektor do spraw migracji w Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych (CASE) wraz z zespołem opracowuje właśnie dla resortu pracy i polityki społecznej projekt „Bariery, na które napotykają w Polsce pracownicy z innych państw UE". Rozmowę zaczynamy jednak od tego, co wyróżnia Polskę na plus. – To topowa destynacja dla studentów z Hiszpanii, Portugalii czy Włoch, zwłaszcza jeśli chodzi o wyjazdy w ramach programu Erasmus+. Później, gdy kończą studia, często znaczenie ma czynnik romantyczny – tłumaczy.

Biorąc pod uwagę to, że wspomniane osoby zazwyczaj pracują później w wysoko wykwalifikowanych branżach, Erasmus jako ambasador polskiego rynku pracy jest dobrą kartą przetargową. Niestety, na tym nasze zachęty się kończą. ↦

MARK BOWDEN / ADOBE STOCK

↦ – W głowach przeciętnego Europejczyka Polska w zasadzie nie istnieje, także w kategorii negatywnych stereotypów – podkreśla dr Klakla. Jego zdaniem w kwestii promocji mamy bardzo dużo do zrobienia. – Jeśli młody Hiszpan szuka pracy, wchodzi na tamtejszy portal pośrednictwa i widzi na górze zaproszenie z zagranicy, ale nie z naszego kraju. Nie inwestujemy w takie rozwiązania, nie reklamujemy się – mówi ekonomista. Tymczasem np. Estońska Agencja Przedsiębiorczości i Innowacji planuje właśnie wydać 900 tys. euro na akcję poszukiwania talentów z branży IT, m.in. ze Szwecji, Niemiec i Portugalii.

Dobre życie nad Wisłą

Tymczasem Polska miałaby się czym pochwalić. Niedawno staliśmy się 20. gospodarką świata, jeśli chodzi o wysokość PKB, ale dużo ważniejsze jest, że bezrobocie, choć ostatnio lekko rosnące, wynosi u nas wciąż niecałe 6 proc. Co prawda zarobki w Polsce są nadal niskie w porównaniu do wielu innych krajów Unii, ale gdy spojrzymy na stosunek owych zarobków do kosztów życia – już nie wypadamy źle. Z porównań Eurostatu wynika, że przeciętne zarobki Polaków, skorygowane o poziom cen, były w 2024 r. o 23 proc. wyższe niż w Portugalii. Nadal brakuje nam trochę do unijnej średniej, ale w tyle zostawiamy wszystkie byłe demoludy, a także Grecję.

Polska może być też ciekawym kierunkiem ze względu na inne aspekty życia, doskwierające społeczeństwom zachodu Europy. Przykładowo, raptem 2,8 proc. Polaków w 2023 r. zauważało wokół siebie przypadki przestępstw, przemocy lub wandalizmu. W porównaniu do unijnej średniej (10 proc.), a zwłaszcza do takich państw jak Grecja (20,8 proc.) czy Holandia (16,7 proc.) – to bardzo dobry wynik. I dużo lepszy niż w kluczowych krajach UE: Francji (14,7 proc.) i Niemczech (10,7 proc.).

Co ciekawe, mimo że uważamy się za naród pesymistów, w 2024 r. pod względem satysfakcji z życia zajęliśmy (wraz z Irlandią i Holandią) 6. miejsce w UE. Najmniej zadowoleni z życia są Bułgarzy, Grecy, Łotysze i... Niemcy. Ich moglibyśmy przekonywać, że u nas żyje się lepiej, bezpieczniej i weselej.

Dr Klakla, który przeprowadza wywiady z obcokrajowcami pracującymi w Polsce, wskazuje też na inne plusy, które zauważają. – Mamy znacznie mniej biurokracji w życiu codziennym. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że młody Francuz, aby wynająć u siebie mieszkanie, musi przedstawić wyciągi pensji obojga rodziców z ostatnich 3 miesięcy, to dojdziemy do wniosku, że w Polsce załatwia się sprawy znacznie łatwiej i szybciej. Obcokrajowcy chwalą sobie również cyfryzację urzędów, choć woleliby mieć więcej dokumentów i informacji w języku angielskim – mówi badacz. I wskazuje na pewne zaskakujące elementy. – Wielu obcokrajowców chwali sobie wymiar urlopu rodzicielskiego w Polsce oraz respektowanie prawa pracy.

Raptem 2,8 proc. Polaków zauważa przypadki przestępstw, przemocy lub wandalizmu. To wynik dużo lepszy niż w kluczowych krajach UE: Francji (14,7 proc.) i Niemczech (10,7 proc.).

Te nieszczęsne pensje

Z obłoków samozadowolenia ściąga mnie mój holenderski przewodnik po Lublinie, który uważa, że w Polsce wciąż zarabia się „gówniane pieniądze". Mówi mi wprost, że gdyby nie miał tu rodziny, wyjechałby. W Holandii zarabia się lepiej, a koszty życia są już tylko niewiele wyższe niż w Polsce. W dodatku w jego ojczyźnie pracownik może liczyć na cykliczną waloryzację pensji, w związku z inflacją.

Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji główną grupą obcokrajowców pracujących nad Wisłą są Ukraińcy i Ukrainki, którzy przyjechali po najeździe Rosji. Przybyli do nas ze względu na bliskość geograficzną, podobieństwo językowe, a także istniejące już wcześniej sieci kontaktów. Inne bliskie nam narody, jak Czesi czy Słowacy, mają swoje sieci w bogatszych od nas Niemczech czy Austrii. Często nawet nie muszą się tam fizycznie przenosić, by otrzymać zatrudnienie (np. w branży IT).

Bądźmy szczerzy, obywatele UE w najbliższej przyszłości nie załatają luki w zawodach trwale deficytowych. Jak wynika z aktualnego „Barometru Zawodów", wydanego przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, od dziesięciu lat nieprzerwanie brakuje nam lekarzy, pielęgniarek, samodzielnych księgowych, a także spawaczy, dekarzy, kierowców autobusów i ciężarówek. W części z tych branż wymagana jest dobra znajomość języka polskiego. – Trzeba umieć się porozumieć z pacjentem. Poznać jego potrzeby, a także znać polski język medyczny w mowie i w piśmie. Pracujące u nas pielęgniarki powinny także pasować kulturowo do otoczenia – uważa Mariola Łozińska.

W deficytowych branżach możemy stawiać najróżniejsze warunki, ale musimy zarazem pamiętać, że właściwie wszystkie z wymienionych zawodów są cenione także w krajach, w których można zarobić sporo więcej niż u nas. Belgia ma niemal bliźniacze problemy z niedoborem pielęgniarek, Szwecji bardzo brakuje spawaczy, Austrii kierowców i dekarzy, a Holandii lekarzy. Jeśli rumuńscy, bułgarscy czy chorwaccy medycy będą chcieli gdzieś pracować, to pojadą raczej tam. Tym samym wracamy do podstawowego problemu: pieniędzy.

– Większość z nich w oparciu o sieci migracyjne i zachęcające zarobki po prostu jedzie na zachód, do Niemiec, Holandii. Ale skoro korporacje na świetnie płatne, wysokie stanowiska potrafią ściągać do Polski ludzi nawet z Holandii, to znaczy, że się da. Tylko trzeba w tym kierunku dużo więcej robić – uważa dr Klakla.

Magnetyzm serca

Na razie dzieje się niewiele, choć politycy od miesięcy powtarzają, że grozi nam katastrofa demograficzna i potrzebujemy imigrantów, najlepiej bliskich nam kulturowo. Oprócz uchodźców z Ukrainy, obywatele Unii Europejskiej nadawaliby się do tego najlepiej. Nie przypadkiem wielu turystów z krajów zachodniej Europy zachwyca się w mediach społecznościowych, jak w Polsce jest spokojnie, czysto i bezpiecznie. Cóż z tego, skoro systemowo państwo polskie nie robi nic, by ich zachęcać do przyjazdu na stałe. Rządowa Strategia Migracyjna Polski na lata 2025-2030 wspomina ich tylko mimocho-

dem, gdy stwierdza, że obywatele Unii oraz Polacy mają mieć przy zatrudnieniu pierwszeństwo przed cudzoziemcami z innych rejonów świata.

Fakt, iż resort pracy zamówił ekspertyzę na temat barier dla obcokrajowców z UE, świadczy jednak o tym, iż jest tematem zainteresowany – choć pytany przez „Tygodnik", wypowiada się zdawkowo. Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że ministerstwo „w ramach sieci EURES (Europejskich Służb Zatrudnienia) prowadzi działania mające na celu wsparcie zarówno polskich pracodawców w zatrudnianiu obywateli UE, jak i samych obywateli UE w podejmowaniu pracy w Polsce". Mają być wśród nich m.in. wytyczne dla urzędów pracy, utrzymywanie systemów informatycznych umożliwiających przekazywanie ofert pracy z polskich urzędów na portal EURES oraz przygotowywanie materiałów informacyjnych dla pracodawców. Na stronie EURES istnieje też zakładka informacyjna dla obcokrajowców o warunkach życia i pracy w Polsce.

Dr Klakla zwraca uwagę na instytucjonalny chaos w tym zakresie. – Zarówno odpowiedzialność, jak i realizacja konkretnych działań są rozproszone i to na wielu poziomach: pomiędzy różne ministerstwa, administrację rządową i samorządową. Nie jest łatwo się w tym odnaleźć – mówi. I dodaje, że kwestia migrantów z państw UE nie jest dla naszych decydentów priorytetowa. – Przyjęta strategia migracyjna to dokument zły, brakuje nam wizji tego, jak miałaby wyglądać nasza polityka względem obywateli Unii. W Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej powstaje obecnie strategia integracyjna i można mieć nadzieję, że będzie to dokument, który pozwoli na lepszą koordynację działań – dodaje ekspert CASE.

Ostateczny wniosek jest prosty w diagnozie, ale skomplikowany w realizacji celu. Żeby obywatele Unii chętniej do nas przyjeżdżali, musi zmienić się jedno: pensje. To prawda, że jesteśmy coraz bardziej doceniani, lubiani, a nawet kochani, ale na dłuższą metę przyciąganie bliskich nam kulturowo pracowników z Europy nie może zależeć głównie od magnetyzmu serca.

© STEFAN SĘKOWSKI



ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

Kac po umiarkowaniu

MAREK RABIJ

ZDROWIE | Ostatnie lata przyniosły wysyp badań naukowych o fatalnym wpływie alkoholu na ludzki organizm. Polski dyskurs o piciu toczy się tymczasem w rytm argumentów pamiętających zabory.

Choć od odrzucenia przez warszawskich radnych uchwały zakazującej sprzedaży alkoholu w nocy minęły prawie dwa miesiące, dyskusja na ten temat trwa; uruchomiła nawet lobbystów, którzy ruszyli po mediach z litanią zasług branży alkoholowej dla gospodarki i jeszcze dłuższą listą potencjalnych nieszczęść, jeśli Polska nadal będzie rzucać wódce kłody pod nogi. Ograniczenia nocnej sprzedaży alkoholu obowiązują już bowiem w przeszło 180 gminach. W niewielkim wymiarze zdecydowała się na nie w końcu także stolica. Ponad 2,2 tys. gmin jeszcze się tą sprawą nie zajęło, ale to nie znaczy, że nie pójdą w tym samym kierunku.

Dla warszawskich radnych, których w komentarzach porównywano do rozpijającej chłopów szlachty, pewnym pocieszeniem może być fakt, że przypadkowo ulokowali się pośrodku ważnej debaty naukowej. W styczniu zainicjował ją artykuł opublikowany w periodyku renomowanego brytyjskiego Society for the Study of Addiction. Autorzy, James Nichols i Geoffrey Hunt, całkiem serio pytają, czy badania nad społecznymi i zdrowotnymi konsekwencjami spożywania alkoholu nie powinny uwzględniać faktu, że picie – oprócz szeregu negatywnych konsekwencji – sprawia również frajdę.

Wiedza a życie

Badaczom nie chodzi bynajmniej o słynne Himilsbachowskie „wprowadzanie elementu baśniowego do rzeczywistości". Wskazują jedynie, że lekceważenie związanej z tym przyjemności przez architektów polityk zdrowotnych sprawia, iż producenci napojów wyskokowych mogą łatwo przedstawiać swoich oponentów jako oderwanych od życia rygorystów. Decydentom zaś trudniej uzasadnić na gruncie etycznym, dlaczego obywatele powinni przedkładać zdrowie nad krótkoterminowe przyjemności. Gdy w rozmowie o piciu nie wspominamy o związanej z tym radości, pomijamy jeden z kluczowych czynników, które sprawiają, że ludzie sięgają po kieliszek. ↦

↦ Warszawscy radni w trakcie sławetnej wrześniowej debaty zdołali wpaść w każdą z możliwych pułapek. Padły w niej szeroko cytowane słowa o zagrożeniu wysypem melin, które rzekomo przejmą nocny handel. Wyrażano troskę o wolność prowadzenia działalności gospodarczej, którą ewidentnie stawiano ponad interes publiczny. Nie zabrakło i dyżurnych przy takich okazjach sugestii, że zakazy nie są tak skuteczne jak profilaktyka i edukacja, choć Światowa Organizacja Zdrowia od lat rekomenduje państwom członkowskim, by w polityce antyalkoholowej – zamiast dotychczasowych prób ograniczania popytu – stawiały na rozwiązania, które zmniejszają podaż. W zderzeniu z odczuciami, które towarzyszą piciu, racjonalne argumenty edukatorów wypadają bowiem zwykle blado.

Wśród naukowców panuje szeroki konsensus, że nawet małe porcje alkoholu działają rakotwórczo i prowadzą do drobnych, ale nieodwracalnych uszkodzeń mózgu; zwiększają też ryzyko nadciśnienia. Częściowa nocna prohibicja oznacza więc *de facto* zmniejszenie społecznej ekspozycji na szkodliwą substancję i już to mogłoby starczyć za ostateczny argument na rzecz zakazu sprzedaży. Znamienne jednak, że w stołecznej debacie po naukę nie sięgali nawet zwolennicy prohibicji. Woleli wskazywać na porządek, ciszę i bezpieczeństwo.

Nie dziwi to Wojciecha Fijałkowskiego, terapeuty uzależnień związanego od lat ze środowiskiem MONAR-u. Większość Polaków, jak mówi, żyje nadal w przeświadczeniu, że da się pić bezpiecznie. – Obawiam się, że sama znajomość wyników badań nie przełoży się na decyzje o abstynencji – podkreśla. – Alkohol kulturowo zrósł się z naszą codziennością o wiele silniej niż np. tytoń.

Marzenia o trzeźwej Polsce

Przez media przetoczyła się jednak fala publikacji, które zwiastowały długo oczekiwany spadek polskiego apetytu na procenty. Istotnie: w 2020 r. odnotowano nad Wisłą pierwsze od 2016 r. zmniejszenie konsumpcji. Potem mieliśmy popandemiczny skok sprzedaży napojów alkoholowych, spowodowany otwarciem pubów i restauracji, ale w kolejnych latach znów nastąpił spadek. Wciąż jednak oznacza to rejony niebezpiecznie bliskie progu 12 litrów czystego alkoholu rocznie w przeliczeniu na mieszkańca, który WHO uznaje za krytyczny z punktu widzenia zdrowia publicznego.

W 1989 r. przeciętna pensja wystarczała do zakupu 17,5 półlitrówek z wódką 40-procentową. **W 2021 r. można było kupić za nią już ponad 216 butelek.**

Niepokojące są zwłaszcza różnice w konsumpcji w rozbiciu na płcie. W 2023 r. w populacji mieszkanek Polski w wieku od 15 lat wzwyż – na jedną kobietę przypadało średnio 5,6 litra wypitego czystego alkoholu rocznie. Statystyki zawyżali mężczyźni, na których przypadało aż 18,4 litra na osobę rocznie.

To może nadzieja w młodych? Pokolenie Z, jak pokazuje część badań, zdaje się faktycznie mieć mniejsze łaknienie na napoje wyskokowe niż starsi. Niestety, wyniki ubiegłorocznego badania ESPAD pokazują, że nie oznacza to generacyjnej abstynencji. Wśród 15- i 16-latków aż 73 proc. przyznało, że zna już smak alkoholu, a 39 proc. z nich piło go w ciągu 30 dni poprzedzających badanie. W grupie 17- i 18-latków odsetek takich odpowiedzi wyniósł już odpowiednio 91 i 73 proc.

Opowieści o trzeźwiejącej Polsce, przynajmniej na razie, są głównie projekcją pobożnych życzeń. Jak podkreśla Robert Rutkowski, terapeuta uzależnień, rzeczywisty poziom społecznej akceptacji dla alkoholu najlepiej widać w trakcie przeciętnej okazji towarzyskiej: nadal nikt nie pyta pijących, dlaczego to robią. To abstynent prędzej czy później zderza się z pytaniem, czemu nie pije.

Koniec humorów

Skąd takie wyobrażenia w kraju, w którym – jak wynika z opracowania przygotowanego w 2024 r. przez Biuro Analiz Sejmowych – działa ponad 120 tys. sklepów z alkoholem, a po zmroku łatwiej czasem kupić flaszkę niż chleb? Dr Dorota Dias-Lewandowska, antropolożka i historyczka badająca zmiany dyskursu pijaństwa i trzeźwości, w wydarzeniach ostatnich lat widzi podobieństwo do procesów, które miały miejsce w XIX-wiecznej Europie. To wtedy zaczęto postrzegać alkohol jako substancję szkodliwą, a nadmierne picie jako chorobę. Uchwalano ustawy piętnujące pijaków i ograniczające im możliwość kupna alkoholu, powstawały liczne bractwa trzeźwości promujące abstynencję. Działania te, podobnie jak teraz, wyrastały z ustaleń ówczesnej nauki i zakładały, że alkohol można wyrugować z przestrzeni publicznej.

Alkoholizm – jak mówi badaczka – to pojęcie o metryce równie krótkiej jak przemysł. W Europie opilstwo przez stulecia funkcjonowało bardziej jako jednostkowa słabość do gorzałki czy piwa, tłumaczona słabością charakteru. Zmianę przyniosła dopiero rewolucja przemysłowa, która w przyfabrycznych osiedlach skoszarowała (zwykle w fatalnych warunkach) setki tysięcy ludzi rozsianych dotąd po wsiach i miasteczkach. Jednocześnie nastąpił rozwój nauki. To, co dotychczas mogło się wydawać indywidualną przywarą, pomnożone w tysiącach przypadków, skupiło na sobie uwagę ówczesnych badaczy.

– W tekstach z XVIII, a zwłaszcza z XIX stulecia wątek szkodliwości alkoholu w dużych dawkach pojawia się już regularnie. Wcześniej traktowano go na równi z innymi produktami spożywczymi, zgodnie z regułami dietetyki humoralnej, która zakładała, że jedzenie wpływa na równowagę czterech głównych humorów w organizmie – tłumaczy Dias-Lewandowska. – Ciężkie czerwone wina w XVII-wiecznej Francji zalecano jako składnik diety rolników, bo do pracy w polu potrzeba było czegoś sycącego i zarazem rozgrzewającego. Arystokracja gustowała w winach białych, lekkich i młodych.

OGŁOSZENIE

tokfm

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice
97,7 FM Poznań | 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

„Pijany jak Polak"

Mniej więcej wtedy też przyszło na świat powiedzenie, które na stulecia miało ustawić nie tylko cudzoziemskie wyobrażenia o polskim piciu, ale także nasz stosunek do alkoholu. Zagraniczni dyplomaci i arystokraci, goszczeni z pompą na dworach polskich magnatów, zaczęli używać porównania „pijany jak Polak". Początkowo zawierało się w nim coś na kształt podziwu dla obywateli Rzeczypospolitej, którzy w ocenie cudzoziemców bawili się do upadłego, ale tylko wtedy, kiedy pozwalał na to kalendarz. John Worlidge pisał, iż w Rzeczypospolitej schyłku XVII wieku „największe uznanie zyskuje ten, kto spełni najwięcej toastów, a za najodważniejszego człowieka ten, który najlepiej znosi alkohol, panuje tu bowiem przekonanie, że w piciu alkoholu można znaleźć tyle samo męstwa, co w walce". Do swego współczesnego desygnatu hasło zbliżyło się dopiero w wieku XIX, kiedy – jak zauważa Dias-Lewandowska – górę wzięła w tej kwestii swoista geograficzna prawidłowość.

W większości krajów europejskich zwyczaje konsumpcyjne zachodnich sąsiadów oceniano wyżej niż nawyki tych na wschodzie. Dla Francuzów wzorem kulturalnego picia byli Hiszpanie, Niemcy zaś uchodzili za opojów. Dla tych ostatnich kulturalnymi konsumentami byli z kolei Francuzi, w odróżnieniu od Polaków, którzy nie umieli rzekomo zachować umiaru – dodaje badaczka.

Sarmackie opilstwo na dobre zakorzeniło się także w polskim wyobrażeniu o złotych latach Rzeczypospolitej szlacheckiej, choć w gruncie rzeczy jest słabo udokumentowane. Mamy oczywiście opisy gargantuicznych uczt na dworach, ale nie wiadomo, czy odzwierciedlały codzienność, czy raczej powstały na pamiątkę czegoś, co wykraczało mocno poza ówczesną normę. – Przeglądając rejestry gospodarcze mniejszych dworów szlacheckich widzę często, że ucztowano tam i pito w sposób, który można by nazwać oszczędnym nawet według współczesnych kryteriów – podkreśla Dias-Lewandowska.

Pod koniec XIX wieku powiedzenie „pijany jak Polak" było już jednak na tyle rozpowszechnione, że jeden z polskich lekarzy uczestniczących w kongresie higienicznym w Genewie w 1882 r. uznał za stosowne pokazać na danych, iż pod względem zamiłowania do procentów jego rodacy nie odstają od innych nacji. Naukowa Europa dyskutowała w Genewie o alkoholizmie jako o nowym powszechnym zagrożeniu, bo przemysłowe metody produkcji zawitały także do gorzelnictwa. Wyroby spirytusowe, wcześniej traktowane raczej jako zbytek lub lekarstwo, gwałtownie taniały i szybko zajmowały na europejskich stołach miejsce piwa i wina. – Czytając dzisiejsze publikacje o spożyciu alkoholu w Polsce i o polityce antyalkoholowej mam często wrażenie, że współczesny dyskurs o pijaństwie posługuje się tymi samymi figurami, które rządziły nim w XIX wieku – mówi badaczka.

Kobiety piją skrycie

Dias-Lewandowska przywołuje pierwszy z brzegu przykład, czyli głośne „małpki". Problem z mocnymi alkoholami sprzedawanymi w poręcznych buteleczkach nie jest bynajmniej wyolbrzymiony. Polki i Polacy kupują ok. 3 mln takich flaszeczek dziennie. Milion schodzi w porze śniadaniowej. Alkohol w kieszonkowym formacie przestaje być więc produktem do biesiadowania. Raczej zaprasza do picia w pojedynkę, także w ukryciu.

Znamienne jest, że w debacie publicznej o „małpkach" najczęściej wskazuje się na panie, które w ten sposób mają doprowadzać się do nietrzeźwości. – A to już do złudzenia przypomina wiktoriańskie narracje o kobietach pijących alkohol ukryty w naszyjnikach, sukniach czy mufkach – zauważa antropolożka.

Kolejne podobieństwo to straszenie melinami. Gdyby spojrzeć wyłącznie na ceny, znajdujemy się z grubsza w tym samym momencie, co w XIX wieku. Przemysł alkoholowy operuje dziś takim efektem skali, że szacując koszty dostarczenia konsumentowi litra wódki może w zasadzie nie uwzględniać w nich kosztów samej produkcji (3 zł za litr spirytusu): liczy się logistyka i marketing.

W efekcie alkohol jest w Polsce coraz tańszy. W 1989 r. przeciętna pensja wystarczała do zakupu 17,5 półlitrówek z wódką 40-procentową. W 2021 r. można było kupić za nią już ponad 216 butelek – i to pomimo wprowadzonej wówczas 10-procentowej podwyżki podatku akcyzowego od napojów alkoholowych.

Wolniej od żywności

Producenci napojów wyskokowych nie byli oczywiście wyjątkiem i w okresie wysokiej inflacji także podnosili ceny. Nawet z uwzględnieniem rosnącej akcyzy alkohol drożał jednak w ostatnich latach wolniej od żywności, której ceny w Polsce wzrosły w latach 2020-2023 o 38,9 proc. W tym samym czasie ceny napojów wyskokowych poszły w górę tylko o 17,6 proc. Skutek? Taniej niż w Polsce można dziś upić się jedynie na Węgrzech, w Rumunii oraz w Bułgarii. Jak wynika z ostatniego zestawienia Eurostatu, polskie ceny alkoholu w porównaniu z fińskimi, gdzie pod tym względem jest dziś najdrożej, są ponad dwukrotnie niższe.

Kolejne propozycje podwyżki akcyzy czy wprowadzenia minimalnej ceny za jednostkę czystego alkoholu w produkcie od lat spotykają się z tą samą odpowiedzią producentów i decydentów. Lepiej nie ograniczać w ten sposób legalnej podaży alkoholu, bo doprowadzi to do wysypu melin. Sprzeciw dla podwyżki „jakichkolwiek podatków" z góry zapowiedział także prezydent Karol Nawrocki. W tej sytuacji przekroczenie progu 12 litrów na głowę, przed czym przestrzega WHO, wydaje się tylko kwestią czasu.

©℗ MAREK RABIJ



ARCHIWUM RODZINNE

Małgorzata i Włodek Mendelewscy od 45 lat opiekują się córką – niezdolną do samodzielnego funkcjonowania Pauliną w spektrum autyzmu i z niepełnosprawnością intelektualną.

Jak nie my, to kto?

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

OPIEKA | Wieloletnia praca bez wytchnienia. Dyspozycyjność 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Chroniczne zmęczenie i wypalenie, do tego ciągły lęk o przyszłość. To codzienność rodziców dorosłych osób z niepełnosprawnościami.

Małgorzata i Włodek są tuż przed siedemdziesiątką, w teorii oboje są emerytami. Jednak w ich przypadku emerytura nie jest okresem odpoczynku i spotkań towarzyskich. Od 45 lat opiekują się córką – niezdolną do samodzielnego funkcjonowania Pauliną w spektrum autyzmu i z niepełnosprawnością intelektualną. – Zdrowe dziecko się usamodzielnia, z czasem coraz mniej potrzebuje rodziców. My przez większość naszego życia opiekujemy się naszą dorosłą córką i będziemy to robić tak długo, jak pozwolą nam siły. Może to będzie 10, może 20 lat, trudno powiedzieć – mówi Włodzimierz.

29-letnia Zuzanna jest niewidoma od urodzenia, ma rzadką chorobę genetyczną, umiarkowaną niepełnosprawność intelektualną oraz lekkie porażenie mózgowe. – Chodzi i mówi, ale nie jest samodzielna. Nie zna myślenia przyczynowo-skutkowego, nie wie, że jest głodna, że chce jej się pić – mówi Elżbieta, mama dziewczyny, przyznając, że opieka nad nią jest bardzo absorbująca. – Nałkowska sto lat temu krzyczała „Chcemy całego życia". My, rodzice dzieci z niepełnosprawnościami, często nie mamy nawet namiastki normalności. Nie mamy prawa do odpoczynku, do spokojnej starości, do własnego życia – dodaje.

Bogusia, mama 35-letniej Natalii, opowiada, że nastroje jej córki w spektrum autyzmu zmieniają się jak w kalejdoskopie. Młoda kobieta bywa agresywna, potrafi niespodziewanie uderzyć, kopnąć, uszczypnąć, występuje u niej autoagresja. Ma również natręctwa, uciążliwe i kompulsywne zachowania trwające godzinami, po których i ona, i jej rodzice są wyczerpani. – Razem z mężem włożyliśmy masę pracy w to, by Natalia mimo swej niepełnosprawności względnie dobrze funkcjonowała. Jednak po zakończeniu edukacji nie było dla niej miejsca, jak dla wielu innych dorosłych osób w spektrum autyzmu – dodaje.

39-letnia Monika mówi, że jest cieniem swojej córki. – Jestem z nią zawsze i wszędzie, zrezygnowałam z siebie. Od kilku lat rytm naszego rodzinnego życia wyznaczają jej potrzeby – mówi o 16-letniej Edycie, która ma znaczną niepełnosprawność intelektualną i uczęszcza do ośrodka rewalidacyjno-wychowawczego. Monika przyznaje, że trudno jej sobie wyobrazić, jak czują się rodzice, którzy od kilkudziesięciu lat bez wytchnienia opiekują się dzieckiem z niepełnosprawnością, bo ona już teraz jest bardzo zmęczona. – Byłam z córką non stop podczas pandemii, to było bardzo trudne. Nie chciałabym przeżywać tego samego, gdy Edyta zakończy edukację – wyznaje.

Czy nas widać?

Ile podobnych historii toczy się w Polsce? Dziesiątki, setki tysięcy? Tego niestety nie wiadomo, bo brakuje zarówno statystyk dotyczących liczby opiekunów dorosłych osób z niepełnosprawnościami, jak i badań jakościowych skupiających się na ich funkcjonowaniu i dobrostanie. To dobit-

nie obrazuje, jak bardzo niewidzialna jest ta grupa osób.

Dr Agnieszka Nymś-Górna, socjolożka i pedagożka z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zauważa, że na sytuację rodziców dorosłych osób z niepełnosprawnościami należy patrzeć przez pryzmat szerszego kontekstu społecznego, ponieważ współczesny świat silnie akcentuje samowystarczalność i indywidualizm. – W takiej narracji brak niezależności, a więc także codzienność osób z niepełnosprawnością i ich rodzin znika z pola widzenia, podobnie jak wiele innych problemów społecznych – wyjaśnia badaczka.

Z kolei Olga Ślepowrońska, aktywistka działająca na rzecz osób z niepełnosprawnościami (OzN) i ich opiekunów oraz prezeska Stowarzyszenia Mudita, które jako pierwsze w Polsce zainteresowało się tym problemem, zwraca uwagę, że podejście „mnie to nie dotyczy" jest bardzo krótkowzroczne. – Każdy z nas może z dnia na dzień zostać opiekunem bliskiej osoby lub sam wymagać opieki. Sprawność i zdrowie nie są nam dane na zawsze – podsumowuje.

Systemowe pominięcie i wieloletnie przeciążenie dotkliwie odbijają się na zdrowiu psychicznym rodziców dorosłych OzN. Dr Marta Majorczyk, pedagożka i psycholożka specjalizująca się w pedagogice opiekuńczo-wychowawczej, wyjaśnia, że są oni szczególnie narażeni na wypalenie rodzicielskie i depresję. – Wieloletnie skupienie na opiece nad dzieckiem wywołuje u ich rodziców objawy przewlekłego stresu: wyczerpanie, poczucie izolacji, obniżony nastrój, epizody depresyjne.

W ich życiu brakuje nawet marzeń o odpoczynku, bo wiedzą, że ich dzieci są zdane tylko na nich – tłumaczy ekspertka i dodaje, że wielu takich rodziców przez lata żyje w stanie kryzysu, ponieważ każdy dzień wiąże się z ogromnym wysiłkiem fizycznym i emocjonalnym, a dodatkowo towarzyszy im egzystencjalny lęk o przyszłość dziecka.

– Ich układ nerwowy stale działa w trybie „gotowości", mają wysoki poziom kortyzolu i adrenaliny, co znacząco osłabia zdolność do odpoczynku i regeneracji – wyjaśnia dr Majorczyk. Zauważa też, że w przeciwieństwie do rodziców zdrowych dzieci, którzy z czasem odzyskują swobodę i przestrzeń na własne życie, rodzice dzieci z niepełnosprawnościami z wiekiem mają coraz mniej sił, a obowiązków im nie ubywa.

Co więcej, często funkcjonują w tzw. podwójnej żałobie. Najpierw przeżywają utratę wyobrażeń o „zdrowym dziecku", a potem przez całe życie towarzyszy im świadomość, że ich syn czy córka nigdy się nie usamodzielni. – To pogłębia poczucie bezradności i samotności – dodaje ekspertka.

Radź sobie sam

Wedle prawa, obowiązek szkolny w przypadku uczniów z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego można wydłużyć do ukończenia 24. roku życia. Rodzice dorosłych osób z niepełnosprawnością intelektualną i spektrum autyzmu, z którymi rozmawiam, zgodnie przyznają, że zakończenie edukacji przez ich dzieci było granicznym momentem w ich życiu, pogłębiającym wykluczenie i zmęczenie.

– Gdy osoba z niepełnosprawnością wychodzi z systemu szkolnego, znika. Staje się niewidoczna. Państwo ma poczucie spełnionego obowiązku, a „ty rodzicu rób, co chcesz". Organizuj codzienność, martw się terapią, rehabilitacją – mówi Elżbieta, która od 5 lat na wszelkie sposoby stara się aktywizować społecznie swoją córkę Zuzę.

– Paulina zakończyła edukację w 2004 roku, więc od ponad dwudziestu lat jesteśmy więźniami we własnym domu. Nie możemy z nią wyjść, bo jest niebezpieczna i dla nas, i dla innych – opowiada jej mama Małgorzata. Wraz z mężem mają ograniczone kontakty z ukochaną wnuczką, która po zaatakowaniu przez ciocię boi się ich odwiedzać. Małgorzata zauważa, że w teorii osoby w spektrum autyzmu i ich opiekunowie mogą korzystać z tego, co oferuje system opieki, ale niepełnosprawność niepełnosprawności nierówna. – W praktyce wygląda to tak, że z uwagi na specyfikę zaburzeń, w tym agresywne zachowania, placówki często nie przyjmują dorosłych w spektrum – wyjaśnia.

Z podobnymi problemami mierzyła się 35-letnia Natalia, której po zakończeniu edukacji nie przyjęto ani na warsztaty terapii zajęciowej, ani do placówki. Jej rodzice rozpaczliwie łapali się tego, co było dostępne, najczęściej były to działania projektowe dedykowane OzN i organizowane ze środków unijnych.

– Często trafiały tam osoby z niepełnosprawnością ruchową lub seniorzy, personel był przypadkowy, opiekunki nie dawały sobie rady z moją córką – wyjaśnia mama Natalii i dodaje, że normą było to, że po odwiezieniu córki na zajęcia, już po kwadransie odbierała telefon, że trzeba ją natychmiast zabrać. – Bardzo zależało mi na tym, żeby ona chociaż na te kilka minut wyszła z domu, żeby choć przez chwilę przebywała z ludźmi – podsumowuje.

Gdy mi Ciebie zabraknie

Rodzicom dorosłych, niesamodzielnych osób sen z oczu spędza lęk o to, co będzie po tym, gdy ich zabraknie. Socjolożka i pedagożka dr Agnieszka Nymś-Górna wyjaśnia, że w takich przypadkach systemowi najłatwiej „przesunąć" odpowiedzialność. – Decydenci niejednokrotnie zdają sobie sprawę z tego, że rodzic nie zostawi dziecka z niepełnosprawnością samego sobie – wyjaśnia badaczka. – Tymczasem opiekunowie, którzy również często znajdują się w trudnej sytuacji zdrowotnej, zamiast skupić się na sobie, nadal koncentrują się na dziecku, co prowadzi do zaniedbania własnego zdrowia i podporządkowania codzienności potrzebom dziecka – zauważa ekspertka.

Paulina ma młodszą siostrę, Edyta – brata bliźniaka. Ich rodzice nie wyobrażają sobie jednak tego, by zdrowe dzieci przejęły opiekę nad niepełnosprawnym rodzeństwem po ich śmierci. – Edyta i jej brat są ze sobą bardzo związani, ale syn ma prawo żyć po swojemu. Nie chcę, by czuł obowiązek opieki nad siostrą – mówi Monika. Włodek myśli podobnie. – Opieka nad Pauliną przewróciłaby życie naszej młodszej córki do góry nogami. To byłby zbyt duży ciężar – wyznaje.

Poznańska prawniczka dr Agata Koschel-Sturzbecher tłumaczy, że jeżeli dorosła osoba z niepełnosprawnością jest ubezwłasnowolniona z powodu niepełnosprawności intelektualnej, to po śmierci rodzica sąd wyznacza dla niej nowego opiekuna prawnego. – Nikt jednak, nawet najbliższa rodzina, nie może być do tego zmuszony – podkreśla ekspertka. – Jeśli nikt z rodzeństwa czy krewnych nie chce podjąć się tej roli, opiekunem może zostać osoba trzecia wskazana np. przez Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie. W ostateczności sąd może zdecydować o umieszczeniu podopiecznego w domu ↦

↦ pomocy społecznej – wyjaśnia prawniczka.

By odeszło przed nami

Rodzice dorosłych osób z niepełnosprawnościami, myśląc o przyszłości, najbardziej boją się tego, że ich dzieci trafią do miejsc, w których nie będą dobrze funkcjonować i godnie żyć. Jak zauważają moi rozmówcy, szczególnie mocno dotyczy to ludzi w spektrum autyzmu. – Sporo publicznych osób przyznaje się do tego, że są w spektrum. Z jednej strony dobrze, że się o tym mówi, ale z drugiej: autyzm się bagatelizuje, bo widzi się tylko te osoby, które żyją normalnie. Nasze dzieci są na drugim, skrajnie odległym biegunie – mówi Małgorzata.

Jej mąż Włodek dodaje, że DPS-y czy szpitale psychiatryczne, do których najczęściej trafiają ludzie tacy jak jego córka, nie są przygotowane do opieki nad tak trudnymi pacjentami. – To są silnie zaburzone osoby, często z głęboką niepełnosprawnością intelektualną, które są nadwrażliwe na bodźce, agresywne i niebezpieczne. One wymagają ciągłej opieki, muszą mieć miejsce do wyciszenia. Niestety, w wielu miejscach nadal praktykowane są radykalne środki, których nikt nie chciałby dla swojego dziecka – podsumowuje mężczyzna.

Elżbieta, mama Zuzy, wyznaje, że jej zdaniem bardzo wielu rodziców dzieci z niepełnosprawnością ma w głowie myśl, do której trudno się przyznać. – Strach o to, co będzie z Zuzą, jest ogromny, nie daje mi wytchnienia. Wiem, że brzmi to potwornie, ale dla mnie i dla mojego męża ulgą byłoby, gdyby nasze ukochane, jedyne dziecko, odeszło przed nami. Myślę, że nie jesteśmy w tym odosobnieni – mówi kobieta.

Każdy dzień rodziców wiąże się z ogromnym wysiłkiem fizycznym i emocjonalnym. Stałym towarzyszem jest też **egzystencjalny lęk o przyszłość dziecka, gdy już ich zabraknie.**

Jak zauważa Olga Ślepowrońska ze Stowarzyszenia Mudita, na przestrzeni lat zmieniła się mentalność rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. – Nie chcą być postrzegani jako ci, którzy muszą się tylko poświęcać, jako ci, którzy siedzą cicho. Zaczynają domagać się swoich praw, chcą być widoczni, walczą o godne życie dla siebie i swoich dzieci – wyjaśnia aktywistka.

Co ciekawe, dr Agnieszka Nymś-Górna zauważa, że może to być pokłosie kultury indywidualizacji, która w tym przypadku działa na korzyść, bo zarówno same OzN, jak i ich rodzice, coraz mocniej akcentują prawo do autonomii, do bycia podmiotem, a nie wyłącznie obiektem opieki. Na przestrzeni ostatnich kilku lat poprawiło się także wsparcie systemowe. Wzrosły kwoty świadczeń, zmieniły się zasady przyznawania świadczenia pielęgnacyjnego, pojawiła się opieka wytchnieniowa, a rząd wysłał do Sejmu ustawę o asystencji osobistej. Powstają też projekty mieszkań wspomaganych.

Przejąć inicjatywę

– Nadal nie jest dobrze, ale na pewno jest lepiej, niż było – sądzi Olga Ślepowrońska. Zwraca również uwagę na ważne zjawisko: coraz częściej rodzice osób z niepełnosprawnościami przejmują inicjatywę i sami zakładają fundacje. Dokładnie tak było w przypadku moich bohaterów – Małgorzaty i Włodka Mendelewskich. Małżeństwo półtora roku temu powołało do życia inicjatywę Autyzm Polska Fundacja Pomocy Osobom Autystycznym, która – jak przyznają – powstała z bezsilności.

– Czekaliśmy latami, mieliśmy nadzieję, że państwo rozwiąże problemy takich osób, jak nasza córka Paulina. Do tej pory nie doczekaliśmy się rozwiązania i nie wierzę, że się go doczekamy. Działamy więc, póki jeszcze mamy siły – mówi Włodek.

Głównym celem fundacji założonej przez Mendelewskich jest budowa ośrodka, który zapewni dorosłym osobom w spektrum autyzmu oraz z głębszą niepełnosprawnością intelektualną i innymi zaburzeniami: dzienną, interwencyjną i wytchnieniową opiekę, a w przyszłości także całodobowe wsparcie – czyli miejsce, które po śmierci rodziców stanie się dla nich bezpiecznym domem. Placówka ma powstać w Toruniu, fundacja otrzymała od miasta grunt pod budowę, a fundusze stara się pozyskać z Unii Europejskiej, przy wsparciu władz regionu i służb zajmujących się kreowaniem polityki socjalnej w kujawsko-pomorskiem.

W tej chwili trwa zbiórka środków na wkład własny inwestycji. – Nie jesteśmy ekspertami ani od budownictwa, ani od tworzenia specjalistycznych placówek. Nie my powinniśmy się tym zajmować, ale wiemy, że ten dom jest nadzieją na godne życie dla wielu osób – mówią małżonkowie. – Działamy też z myślą o innych rodzicach. Po to, by nie musieli doświadczać tak silnego wyczerpania fizycznego i psychicznego, jak my – podsumowują.

Rodzicom dorosłych OzN najbardziej zależy na tym, by ich dzieci postrzegane były jako pełnoprawni obywatele. – One są niepełnosprawne, ale nie wystarczy im tylko zaspokojenie podstawowych potrzeb. One też są mądre, często inteligentne, wyjątkowe, i powinny mieć możliwość rozwoju. Chcemy, by mogły żyć godnie, by nie egzystowały gdzieś na marginesie społeczeństwa – mówi Monika. – A my, ich rodzice, chcemy odejść w spokoju. Tylko tyle.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

POŻEGNANIE

2 listopada zmarł

Ś.†P.

prof. Leszek Bednarczuk

językoznawca

Przyjaciel niezwykłej wiedzy i uczuć.
Żegnamy Go z ogromnym smutkiem.

Maria, Magdalena, Nikodem Karolakowie

OLGA

Drenda:
Droga do Lubienia



Lubienie – nie chodzi o miejscowość w województwie opolskim, lecz o rodzaj przychylnych uczuć, o których rzadko zdarza mi się ostatnio słyszeć. Czy ludzie dzisiaj w ogóle mogą się lubić? Pytanie na początek może celowo nieco z grubej rury, bo przecież zapewne każdy, kto to czyta, może przyznać, że kogoś lubi. Kogoś lub coś, bo niekoniecznie chodzi tu o konkretnego adresata, a o, powiedzmy, temperaturę odczuć własnych.

Jest jednak prawda czasu i prawda monitora. Każdy czas ma swoją „polityczną poprawność", co – przypomnijmy – nie oznacza związku z jakimiś konkretnymi sympatiami politycznymi, a raczej konformizm, mówienie tak, jak aktualnie mówić wypada. Istnieje więc poprawność nadmiernej ostrożności, owijania w bawełnę, kojarząca się z piętrową kurtuazją dawnych dworów. Ona została już dobrze prześwietlona. Jest to rodzaj fikcji wynikającej z dobrych zamiarów, z przekonania, że za ostrożnością w mowie pójdzie realny szacunek. W praktyce to raczej projekt chybiony, pole ruchów pozorowanych, niż metoda zwiększenia stężenia miłości bliźniego w atmosferze. Można sobie wyobrazić, że ktoś, kto mówi nie „osoba dotknięta kryzysem bezdomności", a jedynie „bezdomny", faktycznie pomaga i traktuje innych jak równych sobie. Można także wyobrazić sobie, że ktoś, używając „ładnych słów", ukrywa za nimi pogardę i głosi, że chce „pozbyć się LGBT", zamiast użyć któregoś z obraźliwych terminów, jakich w języku polskim nie brakuje. Praktyka pokazuje, że dobra wola wymaga większej wnikliwości i przyjrzenia się intencjom, może właśnie zadania pytania: czy mogę kogoś polubić, czy wolę go „lubić" przez szybę?



Lubię placki!

OLGA DRENDA

Ostatnio przeważa inny rodzaj politycznej poprawności, bardziej techniczno-kancelaryjny. Jest w swojej dwudziestowiecznej wręcz pokraczności i sztuczności dość fascynujący. Przywodzi na myśl połączenie arkusza kalkulacyjnego z programem „Agrobiznes", tylko w odniesieniu do ludzi i ich traktowania się nawzajem. Czytamy i słyszymy: „jakościowe relacje", „wysokostatusowy partner", i od razu można poczuć się funkcjonalnie i pożytecznie jak węgiel kamienny lub pasza! Nic, tylko wzajemnie sprawdzać swoją kompatybilność i zabierać się do zapobiegania kryzysowi demograficznemu celem utrzymania zastępowalności pokoleń (przy okazji od razu wiemy, co odpowiedzieć dziecku, gdy zapyta, dlaczego jest na świecie).

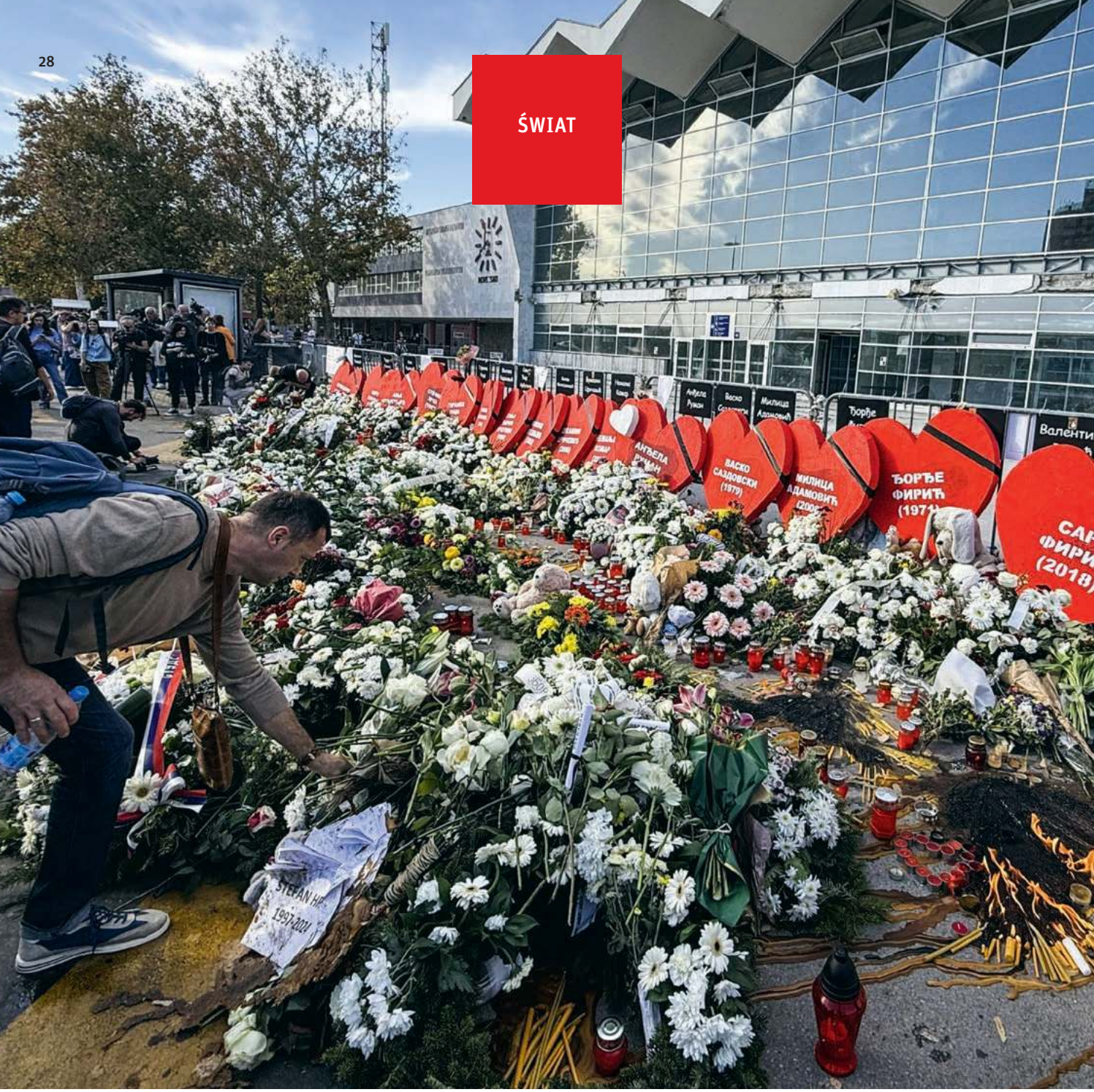
Złośliwe żarty żartami, ale może jakaś myśl płynie sobie poprzez świat. Kolega Jarema Piekutowski, którego znają Państwo również z łamów „Tygodnika", trafił ostatnio na złoty poradnik, w którym zaleca się redukowanie liczby „nierokujących" znajomości, jeśli zamierzamy prowadzić życie zoptymalizowane w kierunku niezwykłości. Czyli niezwykłość teraz trzeba sobie wyliczyć i zaplanować – bardzo to jednak smutne i pokraczne. Oraz stanowi dowód, że traktowanie wiralowo wyimków z hipotez naukowych nie jest zbyt dobrym pomysłem.

Te wyśmienite rady brzmią bowiem jak zmutowana dziesiąta woda po kisielu z „liczby Dunbara", czyli przypuszczenia tego naukowca, że dobry i trwały kontakt można utrzymywać z maksymalnie 150 osobami, bo na tyle pozwala aktualnie nasz stopień zaawansowania ewolucyjnego. Ale przede wszystkim trzymanie się tego rodzaju postaw to raczej przepis na porażkę. Nie ma w nim bowiem pewnego tarcia, szarej strefy dobrej niepewności, która skrywa się w możliwości lubienia właśnie.

Lubić można niezobowiązująco, można lubić jakoś, można lubić troszkę, a nawet wbrew. Lubienie wiąże się z pewnym dysonansem, który naturalnie sami ze sobą negocjujemy. A może z marginesem irracjonalności i błogosławionej niewiedzy. „Trochę mnie denerwuje, ale mimo wszystko go lubię". „Nie jest super, ale da się lubić". Lubienie pozwala oswoić świat, innych, ale przede wszystkim siebie, własne nieoczekiwane reakcje i nawet rozczarowania samym sobą.

Próby zaprojektowania sobie życia z innymi obiecują gwarancję powodzenia, co jest oczywiście fikcją – jak to z prawdami monitora i obowiązującymi sztucznymi konstrukcjami zachowania bywa. Są one jednak przede wszystkim okrutne: w ich perspektywie ktoś albo rokuje, albo nadaje się do śmieci. Wobec takiego stanu rzeczy działaniem zaskakująco odważnym jest działanie troszkę, umiarkowanie, a nawet tak sobie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



Kwiaty złożone w hołdzie ofiarom katastrofy w Nowym Sadzie, w tle budynek dworca. Nowy Sad, 1 listopada 2025 r.

SERBSKI DŁUGI MARSZ

Po dwunastu miesiącach protestów Serbowie zadają sobie pytanie: co dalej? Czy ruch obywatelski jest w stanie odsunąć skompromitowany obóz rządzący?

JULIUSZ PIELICHOWSKI Z SERBII

Na granicy węgiersko-serbskiej podróżnych wita kilkakrotnie więcej policjantów niż zwykle. Oparci o radiowozy, wydają się spokojni, wręcz znudzeni. Przyglądają się. To zapewne przedsmak tego, co czeka mnie dalej. Gdy podaję dokumenty, serbski pogranicznik co prawda pyta, dokąd zmierzam, ale to rytuał; nawet nie czeka na odpowiedź.

Świadomie wybrałem kameralne przejście graniczne Kelebija nieopodal Subotic. Chcę zobaczyć, jak serbska prowincja wygląda na kilka godzin przed zaplanowanym na dziś, sobotę 1 listopada, wielkim marszem w Nowym Sadzie. Marsz odbędzie się w pierwszą rocznicę katastrofy budowlanej, która wstrząsnęła całą Serbią – i dała początek wydarzeniom, które trwają do dziś.

SIELSKA KRAINA | Wojwodina, historyczna kraina w północnej Serbii, od świtu tonie w słońcu. Jakby to był przełom sierpnia i września, a nie początek listopada. W południe temperatura ma dojść do 25 stopni w cieniu.

Gdy przejeżdżam przez rozsiane z rzadka wsie, panuje w nich błogi spokój sobotniego poranka. Wiele domów od dawna stoi tu pustych. Bačka Topola, jedno z większych miasteczek w okolicy, oddaje się porannej krzątaninie.

Dopiero kilkanaście kilometrów od Nowego Sadu na paru tablicach z nazwami miejscowości zauważam skreślone naprędce sprejem napisy, przypominające o zeszłorocznej tragedii. Ale to wszystko. Gdyby nie one, nic nie wskazywałoby, że to na tym mieście skupia się dziś uwaga nie tylko Serbów, ale też obserwatorów ze sporej części Europy.

Od kilku dni jedną z najpilniej śledzonych tutaj informacji – przynajmniej w niezależnych mediach – była ta o pieszej wędrówce studentów, którzy zeszłego wieczoru dotarli do Nowego Sadu z Nowego Pazaru.

Wreszcie Nowy Sad. Na opłotkach tego 340-tysięcznego, drugiego co do wielkości miasta w kraju, wciąż niemal nic nie zdradza, że dzisiejszy dzień czymś się wyróżnia. Jednak z każdym kolejnym kilometrem ruch na drodze gęstnieje. Nawigacja pokazuje, że ulice w centrum stoją. Wybieram Bulevar Evrope. Gdy zbliżam się do kolejnego ronda, jasne jest, że dalszą część trasy lepiej pokonać pieszo. Od dworca kolejowego dzielą mnie dwa kilometry.

Tego dworca, nad którym wówczas, 1 listopada 2024 r., zawalił się dach – wypadek na pozór „tylko" budowlany, stał się dla wielu Serbów symbolem korupcji ludzi z obozu rządzącego, braku transparentności, machinacji.

POSPOLITE RUSZENIE | Samochód zostaje na jednym z ostatnich wolnych miejsc na trawniku między blokami. Od razu można wyczuć napięcie. Chodniki pełne są ludzi. Zauważalny jest podział na tych, którzy żwawym krokiem kierują się w stronę centrum miasta i tych, którzy tylko się im przyglądają. Ci pierwsi, idący na marsz, są w zdecydowanej większości.

Sonduję nabrzmiewający tłum. Przeważają młodzi ludzie, ale nie brakuje osób z pokolenia ich rodziców i starszych. Zagaduję do grupki, z którą wypadło mi iść ramię w ramię. Są studentami – część uczy się w Nowym Sadzie, część w Belgradzie. Ci z Belgradu są w mieście od dwóch dni. Obawiali się, że władza zrobi wszystko, by utrudnić mieszkańcom innych regionów dotarcie do Nowego Sadu.

Mówią, że nie byłby to pierwszy raz, gdy prezydent Aleksandar Vučić sięgnąłby po tego rodzaju metody. Gdy pytam, czy obawiają się konfrontacji z policją lub zwolennikami rządzącej Serbskiej Partii Postępowej (SNS), zaprzeczają. Dzisiejszy milczący marsz poświęcony jest pamięci ofiar. – Nie odważą się – mówi zdecydowanym tonem Milica.

TROCHĘ BEZTROSKI | Na Bulwarze Jaše Tomicia dostrzegam pierwsze zaparkowane na środku ulicy traktory. Na niektórych powiewają czarne żałobne flagi.

Ale wyczuwalny jest też nastrój pewnej beztroski. Rodzice robią zdjęcia dzieciom, posadzonym za kierownicami potężnych maszyn. Na wielkich błotnikach od czasu do czasu pozują z uśmiechem młode dziewczyny.

Atmosfera zabawy, niemal pikniku, nie wszystkim jednak się podoba. Jak w przypadku wcześniejszych protestów i manifestacji, nie brakuje głosów, że tego rodzaju zachowania nie służą wizerunkowi ruchu, którego liderzy stawiają przed nim konkretne cele polityczne.

Do jednej z dziewczyn, która przed momentem wdrapała się na lśniący w słońcu traktor, podchodzi może o dwa pokolenia starsza kobieta i coś tłumaczy. Kręci przy tym z dezaprobatą głową. Ale to odosobniony przypadek. Dominuje poczucie wzajemnej życzliwości i jedności.

SZESNAŚCIE MINUT | Dwieście, może trzysta metrów od budynku dworca tłum jest już tak zbity, że nie sposób ruszyć się w tył ani w przód. Udaje mi się wejść na jeden z drewnianych podestów. Morze głów, jak okiem sięgnąć.

Tylko w najbliższej okolicy dworca widać większe zgrupowanie sił porządkowych. Wygląda, że to przemyślana decyzja. Dzień wcześniej prezydent Vučić oficjalnie pokajał się za słowa, jakie wielokrotnie wypowiadał pod adresem studentów i protestujących. Nie wszyscy uwierzyli w szczerość przeprosin, ale powszechnie odczytano je jako sygnał, że w dniu rocznicy tamtej tragedii sprzed roku władze uszanują żałobny charakter zgromadzenia.

O godzinie 11.52 tłum milknie. Następuje szesnaście długich minut ciszy, symbolizujących szesnaście ofiar. Słychać tylko brzęczenie mniejszych i większych dronów. Część należy do osób prywatnych, część zapewne do policji. W powietrze unoszą się kolejne bordowe balony w kształcie serca, szybują w stronę nieskazitelnego błękitu.

Gdy chwila ciszy dobiega końca, tłum odpowiada oklaskami. Z głośników dobiega poruszający śpiew.

KOBIETA Z KRZYŻEM | Kończy się oficjalna część obchodów. Jednak tłum – liczący, według różnych późniejszych szacunków, od kilkudziesięciu do przeszło stu tysięcy uczestników – tylko nieznacznie rzednie. Większość pozostaje na miejscu.

Wielu ustawia się w gigantycznej kolejce, żeby oddać hołd ofiarom pod samym budynkiem dworca. Od zeszłorocznej katastrofy jest on wciąż wyłączony z użytku.

Mozolnie przedzieram się przez napływające z wielu kierunków strumienie ludzi. W pewnym momencie wzrok przykuwa starsza kobieta: przeciska się przez tłum z uniesionym wizerunkiem Jezusa na krzyżu. Raz po raz zatrzymuje się i rozmawia z protestującymi. Można sądzić, że to zwolenniczka obozu władzy.

Jeden ze studentów podchodzi do niej, obejmuje delikatnie i całuje w czoło.

Wzdłuż trasy przemarszu, pod platanami, stoją stragany z koszulkami i przypinkami. Kilkaset metrów dalej ↦

JULIUSZ PIELICHOWSKI



JULIUSZ PIELICHOWSKI



Powyżej:
transparent z napisem „Macie krew na rękach”, Nowy Sad, 5 listopada 2024 r.

Obok:
traktory uczestniczące w marszu pamięci w Nowym Sadzie, 1 listopada 2025 r.

↦ rozstawiono namiot, w którym uczestnicy marszu mogą otrzymać darmową pomoc prawną. Na kilku wiatach przystankowych rozwieszone są wielkie płótna z namalowanymi odręcznie nazwami miesięcy: upamiętniają największe manifestacje, jakie w przeciągu ostatniego roku przeszły ulicami serbskich miast.

ODCISK DŁONI | Po kilku kwadransach ruszam w kierunku Dunaju, żeby porozmawiać z Jovaną. Do niedawna była nauczycielką w jednym z liceów. Odeszła z pracy na znak protestu wobec polityki obozu rządzącego.

Spotykamy się w kawiarni na Starym Gradzie. Jovana brała udział we wszystkich marszach i protestach, jakie miały miejsce w Nowym Sadzie od 5 listopada zeszłego roku. Wskazuje na przypinkę na swojej koszuli: krwawy odcisk dłoni na czarnym tle. W telefonie pokazuje zdjęcie jednego z transparentów z tamtego marszu z napisem „Macie krew na rękach”. – To jeden z naszych symboli – mówi z powagą.

Dochodzi szesnasta. Niedługo ruszy kolejny tego dnia marsz. Ulice wciąż są pełne uśmiechniętych, radosnych ludzi.

Pytam Jovanę o atmosferę święta, nieco zaskakującą, zważywszy na okoliczności. Odpowiada, że i w niej budzi ona niepokój. To jeden z wątków często powracających w rozmowach ze starszymi uczestnikami protestów. Wielu z nich – wśród nich również Jovana – brało udział jeszcze w historycznej manifestacji 5 października 2000 r. w Belgradzie, która doprowadziła do obalenia ówczesnego dyktatora Slobodana Miloševicia.

To jasne, podkreśla Jovana, że nastrój swoistego karnawału wolności jest konieczny, żeby podtrzymać w ludziach nadzieję i gotowość do angażowania się w kolejne działania wymierzone w skorumpowaną władzę. – Ale to nie wystarczy – dodaje. – Realna konfrontacja wymaga realnego ryzyka. I poświęcenia.

Pytam, jak wielu jej znajomych zrezygnowało na znak protestu z pracy. Przyznaje, że niemal nikt. Zanim się rozstaniemy, mówi mi, że choć pełna jest obaw, nie ma wątpliwości, że dni Vučicia są policzone. – Będzie musiał rozpisać wcześniejsze wybory. Które sfałszuje. I to będzie jego koniec.

OPÓR, TYLKO JAKI? | Wydaje się, że optymizm Jovany jest podzielany przez wielu obserwatorów życia politycznego w Serbii. Aleksej Kišjuhas – mieszkający w Nowym Sadzie socjolog i profesor miejscowego uniwersytetu – podkreśla w rozmowie, że najważniejszy rezultat utrzymujących się od roku protestów to przebudzenie się społeczeństwa obywatelskiego. Tego, które wcześniej wydawało się w Serbii uśpione lub wręcz zanikające.

Kišjuhas uważa, że wśród Serbów – a przynajmniej tych, którzy są zaangażowani w opór społeczny – przekonanie o końcu Vučicia jest powszechne. Choć i on dodaje, że dotychczasowa forma protestów może nie wystarczyć.

– Obawiam się, że zmiana, jak wielokrotnie pokazała historia, nie będzie możliwa bez eskalacji przemocy lub przynajmniej jakiejś formy fizycznej konfrontacji – ocenia socjolog.

Dla wielu przemoc jest jednak granicą, której właśnie przekroczyć nie wolno.

Nedim Sejdinović, niezależny dziennikarz z Nowego Sadu, zwraca uwagę, że władze w Belgradzie tym razem nie dopuściły do siłowej konfrontacji, bo marsz relacjonowało zbyt wiele zagranicznych mediów. Vučić nie mógł sobie pozwolić na to, by brutalność policji i prowokatorów na ulicach Nowego Sadu stała się głównym tematem w Europie.

Sejdinović uważa jednak, że gdy uwaga świata skupi się na innych sprawach, Vučić może rozprawić się z całym ruchem, także krwawo. – Kluczowym pytaniem jest teraz, jak doprowadzić do nowych wyborów i jak zapobiec oszustwom wyborczym – ocenia. – To wymaga przemyślanych decyzji ze strony liderów ruchu prodemokratycznego. Nie mogą dać się wciągnąć w prowokacje reżimu. Przemoc nie jest rozwiązaniem.

ARCHIWUM PRYWATNE JOVANY VUJIĆ

ODPRĘŻENIE | Nad Nowym Sadem zachodzi słońce. Myślę o nazwie ulicy, którą teraz kroczy tłum: Bulevar oslobođenja, Bulwar Wyzwolenia. Całą szerokością jednej z jezdni sunie procesja rozświetlonych traktorów. Mijane twarze wydają się zrelaksowane. Wielu uczestników marszu zostaje w barach i restauracjach. Atmosfera święta bierze teraz górę.

Od kilku osób słyszę, że są dumne z tego, jakim sukcesem okazał się marsz. Od sierpnia, gdy w miastach i miasteczkach dochodziło do konfrontacji z policją i bojówkami SNS, a także do aresztowań, można było odnieść wrażenie, iż część środowisk demokratycznych dała się zastraszyć. Do końca nie było więc pewne, ilu ludzi dziś przyjdzie. Teraz frekwencja może podziałać otrzeźwiająco na obóz rządzący.

Jak ujęła to Jovana: nigdy wcześniej na ulicach Nowego Sadu nie było takiego tłumu.

WIADOMOŚĆ | Gdy wieczorem docieram do Belgradu, stolica jest spokojna. Jak dotąd nie spełnił się ponury scenariusz o konfrontacji ze zwolennikami władzy. W niedzielę o poranku wciąż nic nie zapowiada, by sytuacja miała gwałtownie eskalować. Opuszczam Belgrad i ruszam na południowy wschód. Po siedemnastej przekraczam granicę serbsko-bułgarską.

W niespotykanie ciepły jak na tę porę roku niedzielny wieczór, gdy chodzę po pogrążonym w mroku bułgarskim Widyniu, przychodzi wiadomość od koleżanki z Belgradu. Doszło do pierwszych ostrych starć. Nic więcej nie jest w stanie na razie przekazać.

Stoję nad czarnym Dunajem i myślę o Belgradzie, białym mieście, leżącym kilkaset kilometrów w górę rzeki. Z którego wieści dopiero napłyną – choć nikt jeszcze nie wie, kiedy i jakie będą. © JULIUSZ PIELICHOWSKI

Między rozpaczą a nadzieją

MIŁOSZ WALIGÓRSKI, POLSKI POETA MIESZKAJĄCY W NOWYM SADZIE:

W Serbii władza skupiona jest w rękach jednego człowieka, stojącego na czele grupy przestępczej, w którą wciągnięta jest połowa społeczeństwa.

JULIUSZ PIELICHOWSKI: Mieszkasz w Nowym Sadzie od kilkunastu lat, jaki był tu miniony rok?

MIŁOSZ WALIGÓRSKI: To był rok sinusoidy uczuć: rozpacz szła w zawody z nadzieją. Wielkiego czynu dokonali studenci, którzy wstrząsnęli sumieniem społeczeństwa. Niestety społeczeństwo jako całość nie stanęło na wysokości zadania. Oczywiście, na przeszkodzie stoją też mechanizmy represji. Ale moim zdaniem to nie strach zdecydował, że nie doszło do strajku generalnego. Demonstracje, choć masowe, nie obejmują osób zatrudnionych w kluczowych sektorach gospodarki.

Dlaczego?

Serbią rządzi mafia. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Zważywszy, ilu członków ma Serbska Partia Postępowa – 700 tys. w niespełna siedmiomilionowym kraju – istnieje duża grupa beneficjentów systemu. Społeczeństwo od lat nie zaznało demokracji. Najpierw panował Milošević, a potem, po krótkiej przerwie na początku XX w., Vučić. Dlatego samo pojęcie demokracji budzi inne reakcje niż w Polsce. W Serbii, przynajmniej do niedawna, to słowo kojarzyło się powszechnie z chaosem, anarchią i słabością.

Jesteś blisko środowisk studenckich i opozycyjnych. Obawiasz się eskalacji przemocy? Czy w ogóle można jej uniknąć, jeśli ma dojść do rzeczywistej zmiany?

Dziś, 4 listopada, jest spokojniej. Dijana Hrka, matka jednej z ofiar, kontynuuje strajk głodowy, który na władzy nie robi najmniejszego wrażenia. Zwolennicy SNS, zwykli bandyci i więźniowie, obozują w tzw. Cacilandzie, puszczają głośno muzykę „patriotyczną". Vučić samowolnie wstrzymał ruch kolejowy na kilka dni, żeby ludzie nie mogli przemieszczać się miedzy miejscami, w których odbywają się protesty.

Katastrofa w Nowym Sadzie sprzed roku to konsekwencja powszechnej fuszerki panującej w budownictwie. Przetargów tu albo nie ma, albo wygrywają je znajomi królika, zaciągane są potężne kredyty z Chin. Władza skupiona jest w rękach jednego człowieka, stojącego na szczycie piramidy – zorganizowanej grupy przestępczej, w którą wciągnięta jest połowa społeczeństwa. Pytasz o eskalację przemocy. Jeśli do niej dojdzie, to tylko za sprawą Vučicia, jego decyzji.

W Nowym Sadzie wielu ludzi zapewniało mnie, że jego koniec jest bliski. Ale to samo można było usłyszeć kilka miesięcy temu. Jakie scenariusze są teraz realne?

Najnowszy raport Unii Europejskiej o Serbii nie pozostawia złudzeń: instytucje są pod kontrolą reżimu, wybory są fałszowane, a media w przytłaczającej większości uzależnione od władzy. Chlubne wyjątki to tygodnik „Vreme", dziennik „Danas" i telewizja N1, którą zresztą Vučić próbuje sobie podporządkować, na razie bezskutecznie.

Jeśli Zachód wywrze większą presję, a w Serbii ruch sprzeciwu wyjdzie poza krąg aktywistów, dziennikarzy i inteligencji, wówczas jest nadzieja na pozytywny obrót. W przeciwnym razie wygra dyktator spinu, który wie, jak zarządzać masą indywidualistów. ©



ARCHIWUM PRYWATNE

MIŁOSZ WALIGÓRSKI jest poetą, prozaikiem i tłumaczem. Przełożył ponad 20 książek z serbsko-chorwackiego, węgierskiego, słowackiego i łotewskiego. Lektor języka polskiego na Uniwersytecie w Nowym Sadzie w latach 2010-14 i następnie od roku 2018 do dzisiaj.

Coś się kończy, coś zaczyna

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

WIELKA BRYTANIA | Mieszkańcy Wysp są rozczarowani starymi elitami. Tak bardzo, że w kraju szykuje się rewolucja. Kolejnym premierem może zostać prawicowy populista Nigel Farage, który wywraca też scenę partyjną w Anglii, Szkocji i Walii.

Seria kolejnych katastrof: tak muszą wyglądać ostatnie tygodnie w oczach brytyjskiego premiera Keira Starmera. Począwszy od wymuszonej dymisji wicepremierki Angeli Rayner (w związku z niejasnościami podatkowymi przy kupnie mieszkania), przez inne kłopoty w samym rządzie, aż po coraz bardziej palące kwestie związane z nielegalną imigracją przez kanał La Manche.

Jakby tego wszystkiego było mało, dochodzi długa lista wciąż nierozwiązanych, tradycyjnych już poniekąd brytyjskich problemów, np. w sferze fatalnej opieki zdrowotnej. Oraz widmo nieuchronnego, być może, podniesienia podatków.

Farage na fali

Notowania rządu Starmera, który urząd objął trochę ponad rok temu, w lipcu 2024 r., szorują zatem po dnie: zadowolenie z jego pracy deklaruje jedynie 12 proc. Brytyjczyków, natomiast aż 69 proc. wyraża dezaprobatę. Również sondaże poparcia nie nastrajają Starmera do optymizmu – na początku listopada na jego Partię Pracy chciałoby głosować jedynie 19 proc. ankietowanych w badaniu YouGov.

Zupełnie inaczej ma się natomiast w tych dniach Nigel Farage. Ten 61-letni weteran brytyjskiej polityki, który jednak przez cały ten czas pozostawał dotąd na jej marginesie – nawet jeśli chwilami udawało mu się nadawać jej ton – ma teraz niemal wyłącznie powody do zadowolenia.

Farage – lider partii Reform UK, uważany za „ojca" brexitu – ma bowiem wreszcie realną szansę, aby zostać kolejnym premierem Wielkiej Brytanii. Jego partia prowadzi w sondażach (uzyskuje w nich od 27 proc. do nawet 34 proc. poparcia), zatem perspektywa przeprowadzki na Downing Street po następnych wyborach wydaje się w jego zasięgu.

Nawet jeśli również on musiał ostatnio przełknąć łyżkę dziegciu – nieoczekiwany cios w wyborach uzupełniających zadali mu Walijczycy.

Walijska sensacja

Caerphilly to nieduże, niespełna 30-tysięczne miasteczko. Znane głównie z największego zamku w całej Walii (rywalizacja jest tu duża, zamków w tej krainie zachowało się wiele), a także z corocznego festiwalu sera. Jednak nie z tych powodów Caerphilly przyciągnęło ostatnio uwagę.

Niedawno, 23 października, w tamtejszym okręgu wyborczym odbyły się uzupełniające wybory do Senedd, regionalnego walijskiego parlamentu. Wygrał je w cuglach 72-letni Lindsay Whittle, kandydat centrolewicowej walijskiej partii Plaid Cymru, która opowiada się za niepodległością Walii. Zdobył wyjątkowo dużo, bo ponad 47 proc. oddanych głosów.

To fakt znaczący z dwóch powodów. Po pierwsze, to porażka Partii Pracy. Bardzo bolesna, bo w Caerphilly wygrywała ona wybory od ponad stu lat. Tymczasem teraz zdobyła jedynie 11 proc. głosów, lądując na trzecim miejscu.

Po drugie, mimo obiecujących sondaży przepadł także Llŷr Powell, kandydat Reform UK. Nie pomogło mu ani to, że mówi po walijsku, ani fakt, że w jego kampanię zaangażował się osobiście Farage. Na koniec Powell zdobył 36 procent. To wprawdzie sporo mniej niż zwycięzca, ale też trzykrotnie więcej niż kandydat Partii Pracy.

Triumf w Caerphilly dodał wiatru w żagle Plaid Cymru i jej liderowi Rhunowi ap Iorwethowi. Ten uznał wynik za historyczny – oraz za znak, że walijscy wyborcy wybrali nadzieję i postęp, zamiast podziałów i zużytego *status quo*.

Niepodległość? Nie teraz

Już wcześniej Iorweth zapowiadał, że planowane na maj 2026 r. wybory do walijskiego parlamentu będą „wyścigiem dwóch koni" – jego partii oraz partii Farage'a. Rzeczywiście, od pewnego czasu w sondażach w Walii oba ugrupowania idą łeb w łeb.

– Tak, to jest wyścig dwóch koni – zgadza się prof. Laura McAllister z Wales Governance Centre na Uniwersytecie w walijskim Cardiff. – Ta sytuacja jest jednak podobna do wcześniejszych pozycji Partii Pracy i Konserwatystów. Plaid Cymru dominuje bowiem na lewicy, a Reform UK na prawicy.

Tu podobieństwa jednak się kończą. – Reform UK jest znacznie bardziej radykalna niż Partia Konserwatywna w takich kwestiach jak imigracja czy pomoc społeczna. Nie ma jeszcze swojego sprecyzowanego programu ukierunkowanego na Walię, ale to się zapewne zmieni, im bliżej będzie do wyborów – dodaje McAllister w rozmowie z „Tygodnikiem".

Te przyszłe walijskie wybory będą zapewne toczyć się wokół takich spraw jak system opieki zdrowotnej czy walka z ubóstwem – w tym kraju znajdują się jedne z najuboższych rejonów całej Wielkiej Brytanii. Tematem nie będzie natomiast niepodległość Walii.

Choć jest ona jednym z celów Plaid Cymru, to Rhun ap Iorweth odkłada tę dyskusję na później. W ten sposób jego partia ma szansę przekonać do siebie nie tylko zwolenników niepodległości tej jednej z czterech krain Zjednoczonego Królestwa – obok Anglii, Szkocji i Irlandii Północnej – ale również tych, którzy uważają, że w Walii to właśnie Plaid Cymru ma dziś największą szansę, by zatrzymać Farage'a.

Są wśród nich także rozczarowani wyborcy Partii Pracy.

Laboratorium partyjne

Od kiedy w 1999 r. ustanowiono walijski parlament, Partia Pracy była obecna w każdym z autonomicznych rządów Walii. Gdyby tutejsi wyborcy odwrócili się od niej na stałe, byłaby to więc zmiana bez mała historyczna.

To właśnie w rozczarowaniu establishmentem prof. McAllister upatruje przyczyn porażki laburzystów w Caerphilly.



CARL COURT / GETTY IMAGES

NIGEL FARAGE *kreuje się na typowego Brytyjczyka. Tu ostentacyjnie pali przed pubem w reakcji na zapowiedź rządu Starmera, że chce zaostrzyć przepisy dotyczące palenia w pubach. Londyn, sierpień 2024 r.*

Kiedy w 2024 r. objęli oni władzę w Londynie i Starmer wprowadził się na Downing Street, wielu Brytyjczyków uwierzyło bowiem w obietnicę zmiany, poprawy ich sytuacji.

– Tymczasem to „partnerstwo władzy" między walijską premierką Eluned Morgan a Keirem Starmerem nie przyniosło Walii nic. Dosłownie nic – ocenia prof. McAllister. – W efekcie niepopularność rządu Starmera w Londynie nałożyła się na niepopularne, a trwające od lat rządy laburzystów w Walii.

Temu, co dzieje się w tej krainie, uważnie przygląda się dziś Farage. Walia jest dla niego – jak określa to prof. McAllister – „próbą generalną i poręcznym laboratorium" przed ogólnobrytyjskimi wyborami do Westminsteru za kilka lat.

Natomiast dla Keira Starmera klęska w Caerphilly powinna być już nie sygnałem ostrzegawczym, lecz syreną alarmową. „Bierzemy na siebie część odpowiedzialności za ten wynik. Słuchamy, wyciągamy wnioski i wrócimy silniejsi" – zapewniała rytualnie premierka Eluned Morgan. Zapewnienia jednak nie wystarczają, bo takie słowa, zwłaszcza o wyciąganiu wniosków, obywatele słyszą nieustannie.

Starmer gorszy niż Trump

Fatalne notowania rządu Partii Pracy w Londynie mają też interesujące konsekwencje dla Szkocji, gdzie od niemal 20 lat na szczeblu autonomicznym rządzi Szkocka Partia Narodowa (SNP).

Ostatnie dwa lata nie były dla niej dobre – targały nią wewnętrzne konflikty, a lista nierozwiązanych problemów w tej krainie też jest długa.

W ubiegłym roku szkocka Partia Pracy już-już doganiała ją w sondażach (obie miały poparcie powyżej 30 proc.) i wydawało się, że wybory regionalne w maju 2026 r. zakończą wieloletnią dominację zwolenników niepodległości Szkocji.

Teraz wygląda jednak na to, że rozczarowanie Starmerem odwróciło ten trend – poparcie dla szkockich laburzystów zmniejszyło się niemal o połowę. Keir Starmer jest dziś w Szkocji mniej popularny niż Donald Trump, a to już coś znaczy, bo Trump jest tu naprawdę bardzo nielubiany.

Czy zatem pozycja Szkockiej Partii Narodowej jest niezagrożona? – Rzecz w tym, że SNP nie zyskuje poparcia, wręcz przeciwnie, traci je. Tyle że inne partie tracą je jeszcze szybciej – mówi „Tygodnikowi" szkocki publicysta Iain Macwhirter.

Kto zatem zyskuje? – Najważniejszym tematem jest u nas teraz partia Reform UK, która w przyszłym roku ma szansę stać się oficjalną partią opozycyjną w Edynburgu – przyznaje Macwhirter. – Reform UK pojawiła się znikąd i całkowicie odmieniła sytuację polityczną.

Szkocki paradoks

Jeszcze dwanaście lat temu, gdy w 2013 r. Farage zjawił się w Edynburgu i próbował rozruszać kampanię swojej ówczesnej eurosceptycznej partii UKIP, spotkał się z protestami. Szkoci wymyślali mu na ulicy od szumowin i rasistów. Farage schronił się w pubie. Ponieważ kolejni taksówkarze odmawiali, musiała wywieźć go policja.

Wtedy poparcie dla UKIP-u w Szkocji było poniżej jednego procenta. Teraz Reform UK może liczyć na niemal 20 proc. głosów. To zaskakujące w tej krainie, która w referendum z 2016 r. głosowała zdecydowanie przeciw brexitowi i jak dotąd była przychylna imigrantom.

Wśród przyczyn tej zmiany Macwhirter wskazuje podobną listę bolączek jak gdzie indziej, w tym rosnące koszty utrzymania. A także obawy przed ograniczeniem rozwoju przemysłu naftowego u szkockich wybrzeży Morza Północnego (Partia Pracy deklarowała, że nie będzie wydawać nowych licencji na wydobycie ropy i gazu).

Macwhirter dodaje też jednak: – Myślę, że Szkoci nigdy nie byli tak lewicowi, jak lubiła myśleć nacjonalistyczna lewica z SNP. Szkocja to w istocie mały konserwatywny kraj. Antypatia do Partii Konserwatywnej wynika z tego, że to partia „angielska". W zeszłym miesiącu „Times" opublikował sondaż, który pokazał, że większość Szkotów popiera zatrzymania i deportację nielegalnych imigrantów.

A co ze szkocką niepodległością? Przecież poparcie dla niej znów rośnie. – Tak jest i wydaje się szaleństwem, że coraz więcej Szkotów zwraca się ku Farage'owi, który jest angielskim nacjonalistą – przyznaje Macwhirter. – Kluczem do tego wszystkiego jest jednak pragnienie odwrócenia skutków globalizacji.

Premier Farage?

Wygląda na to, że Nigel Farage znakomicie odczytuje społeczne nastroje i frustracje. Długo lekceważony przez innych polityków i media, odegrał kluczową rolę ↦

↦ w opuszczeniu Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię.

To kolejny paradoks: choć dziś tylko jedna trzecia Brytyjczyków uważa, że brexit był dobrą decyzją, to winą zań nie obciążają Farage'a (rzecz jasna, mówimy o całym społeczeństwie – bo wśród jego wyborców 80 proc. deklaruje zadowolenie z brexitu).

W efekcie, jak pokazuje sondaż YouGov, jest on dziś najbardziej popularnym brytyjskim politykiem.

Czy zatem należy się spodziewać premiera Farage'a? Pytam o to prof. Tima Bale'a, politologa z Queen Mary University w Londynie.

– Reform UK prowadzi od miesięcy w sondażach i dobrze sobie poradziła w wyborach lokalnych, nie jest więc to chwilowa iskra – ocenia Bale. – A jak pokazała nam Partia Pracy w ubiegłym roku, nie potrzeba wiele więcej niż 30 proc. głosów w wyborach, by mieć większość w parlamencie. Premierostwo Farage'a jest więc realne.

Prof. Bale uważa jednak, że nie wszystko jest przesądzone: – Trudno uwierzyć, aby Partia Pracy zdołała odzyskać siły na tyle, by w przyszłości rządzić samodzielnie. Ale nie należy skreślać jakiejś postępowej koalicji z udziałem Partii Pracy, Liberalnych Demokratów i Zielonych.

Farage jako przyszły premier i koniec dominacji dwóch partii: **dla Wielkiej Brytanii byłaby to rewolucja.**

Będzie rewolucja?

Kolejne ogólnokrajowe wybory wypadają w 2029 r. Kilka lat to dziś w polityce wieczność, wiele może się zdarzyć. Wszystko wskazuje jednak, że Wielką Brytanię czeka rewolucja.

Rewolucją byłoby bowiem przełamanie dwupartyjnego układu sił na scenie politycznej. W ostatnim sondażu YouGov partia Reform UK miała 27 proc., podczas gdy wszystkie inne ugrupowania plasowały się na granicy kilkunastoprocentowego poparcia. Dwie do niedawna największe partie, konserwatyści i laburzyści, miały odpowiednio 16 i 19 procent. Natomiast dwie do niedawna mniejsze niemal tyle samo: Liberalni Demokraci 15 proc. i Zieloni 16 procent.

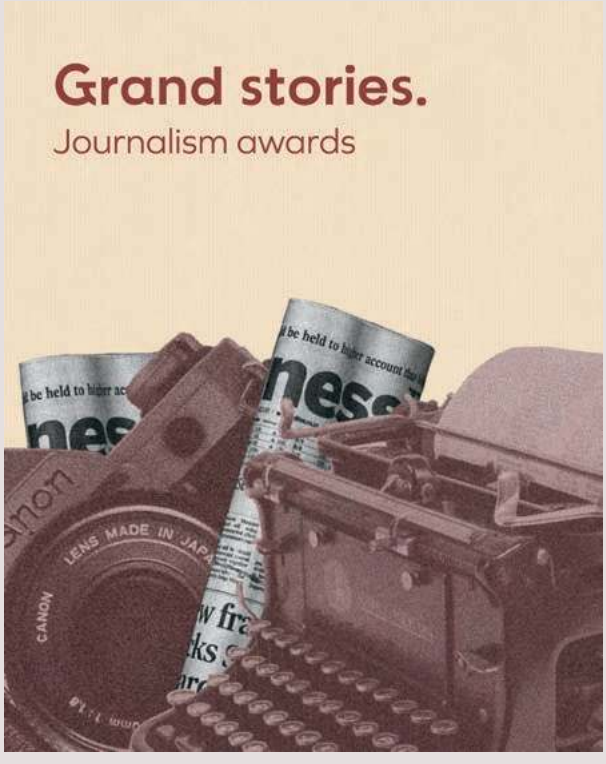
– Wprawdzie dwie główne partie stopniowo traciły wpływy od początku lat 70. XX w., ale ostatnio proces ten przyspieszył. Głównie dlatego, że obie nie zdołały spełnić wyborczych obietnic. Czasy polityki dwupartyjnej naprawdę minęły. Wypuszczono dżina z butelki – ocenia prof. Bale.

Zanim jednak przyjdzie się Brytyjczykom o tym przekonać, po drodze są wybory do regionalnych parlamentów Szkocji i Walii – już w maju 2026 r. To będzie test zarówno dla Starmera, jak też dla Farage'a.

Czy walijska Plaid Cymru i szkocka SNP mogą zatrzymać Farage'a? Bale: – Nacjonalizm to potężna siła, która w Anglii działa na rzecz Reform UK. Ale w Szkocji i Walii równie dobrze mogłoby to zadziałać na niekorzyść Farage'a.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

REKLAMA



ŚLADY PO WOJNIE. PO CO PAMIĘTAĆ?

80 lat po zakończeniu II wojny światowej pytanie o jej dziedzictwo nie traci aktualności. Dlaczego wciąż wracać do tamtych wydarzeń? Jakie mają dziś znaczenie? Jak o nich mówić, gdy historia coraz częściej staje się narzędziem polityki, a pamięć – polem sporu?

Te i inne pytania stały się punktem wyjścia kampanii „World War II. 80 Years After", realizowanej przez Europejską Sieć Pamięć i Solidarność. Projekt trwający od 23 sierpnia 2024 r. (rocznicy podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow) do 1 września 2025 r. (rocznicy wybuchu II wojny światowej) stał się okazją do refleksji nad przyczynami wojny, jej przebiegiem i konsekwencjami, nie tylko w wymiarze historycznym, ale też kulturowym i emocjonalnym. W centrum postawiono człowieka – z jego doświadczeniem straty, traumy i pamięci.

W ramach kampanii powstały kalendarium najważniejszych dat związanych z wojną, seria krótkich filmów i artykułów o różnych wymiarach wojny i powojennej traumie, film edukacyjny „II wojna światowa: przyczyny, przebieg, skutki", dostępny w kilkunastu językach, oraz pakiet materiałów dla nauczycieli. Zasoby te, dostępne na stronie **enrs.eu** oraz **hi-storylessons.eu** uczą, jak rozumieć przeszłość i rozpoznawać fałszywe narracje.

Kampanię dopełniły dwa międzynarodowe konkursy: trwający do 31 grudnia 2025 r. konkurs dla dziennikarzy, zapraszający autorów z całego świata do refleksji nad współczesnym dziedzictwem II wojny, oraz konkurs dla młodzieży „Grandparents. Grand Stories", zachęcający do odkrywania rodzinnych wspomnień z czasów wojny, którego kolejna edycja ruszy w styczniu.

Bo pamięć, tak jak historia, nie jest stanem, lecz procesem.

WIĘCEJ O KAMPANII ORAZ KONKURSACH NA STRONIE ENRS.EU



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 46/2025

ORĘDZIE POJEDNANIA

60 LAT PÓŹNIEJ

Racja wiary i racja stanu

ROBERT ŻUREK

Modne jest dziś podważanie dialogu między Polakami a Niemcami przed 1989 r. Mówi się, że jego polscy uczestnicy byli naiwni. Tymczasem dialog ten łączył chrześcijański radykalizm z wizją polityczną. A jego kluczowy moment miał miejsce 60 lat temu.

List biskupów polskich do biskupów niemieckich z 18 listopada 1965 r. – bo o nim będzie tu mowa – to jeden z najbardziej niezwykłych dokumentów w najnowszej historii Polski. Po latach oceniano go jako „prawdopodobnie najważniejszy dokument powojenny w stosunkach polsko-niemieckich" (historyk Klaus Ziemer) czy „najbardziej dalekowzroczne posunięcie w polskiej historii powojennej" (Jan Józef Lipski).

Prezydenci Andrzej Duda i Joachim Gauck we wspólnym oświadczeniu z 2015 r. określili je jako wydarzenie, „które miało fundamentalnie zmienić relacje polsko-niemieckie oraz historię Europy". Niektórzy nazywali je wręcz „listem założycielskim Europy" (Andrzej Grajewski). Do jego dziedzictwa odwoływali się papieże Jan Paweł II (podpisał je jako arcybiskup) i Benedykt XVI (jako profesor teologii wzywał wówczas stronę niemiecką do adekwatnej odpowiedzi).

Przywoływano je wreszcie jako inspirację dla dialogu polsko-rosyjskiego (dopóki miał miejsce) i polsko-ukraińskiego. Jego autor, Bolesław Kominek, ma dziś we Wrocławiu pomnik: stoi z gołębiem pokoju w ręce, a u stóp ma słowa z listu: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie".

MIĘDZY STRONAMI | Tekst Orędzia to modelowy przykład, jak można budować mosty między wrogami. Po doświadczeniu okupacji z lat 1939-45 Polacy widzieli w Niemcach naród zbrodniarzy. Niemcy, pod wpływem ideologii nacjonalistycznej i rasistowskiej, postrzegali zaś Polaków jako naród gorszy, który trudno traktować jak partnera.

W tej sytuacji prawie cała treść Orędzia służyła jednemu celowi: skłonieniu Niemców, ale też Polaków („Nie napisaliśmy tego listu tylko dla narodu niemieckiego – ale i dla naszego" – pisał Kominek) do zmiany myślenia o tych drugich. Stąd przypomniano Niemcom o wkładzie Polski w rozwój Europy na przestrzeni wieków, a Polakom – o pokojowych zasługach Niemców dla rozwoju Polski.

Biskupi przybliżali też obu stronom perspektywę tej drugiej. Niemcom, którzy wtedy nie chcieli słyszeć o winie za zbrodnie wojenne i okupacyjne, przypominali o skali cierpień narodu polskiego. Polakom zaś, że Niemcy nie zawsze byli złymi sąsiadami.

Zaledwie 20 lat po wojnie nie było to wszystko łatwe. Także dla biskupów. Sami doświadczyli okupacji, niektórzy byli więźniami obozów koncentracyjnych. Mieli świadomość, że komunistyczne zniewolenie Polski to skutek wojny rozpętanej przez Niemcy. Widzieli, że po stronie niemieckiej wola pojednania jest umiarkowana.

Jednak wyciągnęli rękę – nie tylko z ofertą przebaczenia, ale i z prośbą o nie.

WYMIAR STRATEGICZNY | Orędzie było wyrazem nie tylko chrześcijańskiego radykalizmu. Zawierało też wizję geopolityczną – i to dalekowzroczną.

Po rozbiorach i II wojnie światowej było jasne, że osaczenie przez wrogów ze wschodu i zachodu to śmiertelne zagrożenie dla Polski. Związanie jednego z potencjalnych wrogów dobrymi relacjami z Polską zmniejszało ryzyko kolejnej katastrofy. Wobec destruktywnej postawy elit politycznych – i tych demokratycznych w Niemczech Zachodnich, i tych komunistycznych w Warszawie – przywódcy polskiego Kościoła przejęli odpowiedzialność za zbliżenie obu narodów i krajów.

Bo też ich celem było nie tylko pojednanie z Niemcami, ale również przezwyciężenie jałtańskiego podziału Europy. Świadczy o tym kilka wiarygodnych źródeł.

Zacytujmy jedno. Niemiecki duchowny Alfred Sabisch tak relacjonował w poufnej notatce dla niemieckiego episkopatu poglądy Kominka, na krótko przed publikacją Orędzia: „uważa przyłączenie się do zachodniej Europy za kwestię egzystencjalną dla jego ojczyzny i dla polskiego Kościoła (...). Temu celowi ma służyć (co oznajmił w ścisłej tajemnicy) skierowane do niemieckich biskupów braterskie zaproszenie do udziału w Milenium" (tj. obchodach tysiąclecia chrztu w 1966 r.; był to element listu do niemieckich hierarchów).

Antykomunistyczny w istocie wymiar Orędzia rozpoznali wtedy i polscy publicyści emigracyjni, i rządzący w PRL komuniści. Ci drudzy, atakując biskupów po publikacji Orędzia, zarzucali im, że chcą wyprowadzić Polskę z bloku wschodniego.

Ale jak kilkanaście stron maszynopisu z podpisami 39 biskupów miałoby przyczynić się do tak dalekosiężnych skutków? Odpowiedzi Kominek udzielił jeszcze w 1962 r.: „Kierownicy partii wiedzą dobrze, że Polacy rzeczywiście nienawidzą tylko Rosjan, i dlatego chcą tę nienawiść skierować w inną stronę, w stronę Niemców, trzymając Polaków w strachu przed Niemcami, co związuje ich ze Związkiem Radzieckim i komunistami".

FIKCJA POJEDNANIA? | Po upadku komunizmu Orędzie było pozytywnie oceniane przez przytłaczającą większość badaczy i komentatorów. Jednak w ostatnich latach to się zmienia – głównie za sprawą krytycznej oceny procesu pojednania polsko-niemieckiego, którą formułują w Polsce zwłaszcza środowiska prawicowe.

Trend ten oddaje np. wypowiedź polityka PiS Arkadiusza Mularczyka z 2017 r.:



RYSZARD RZEPECKI / PAP

Obchody 25-lecia polskiej organizacji kościelnej na ziemiach poniemieckich: w środku Bolesław Kominek, obok z prawej prymas Stefan Wyszyński, z lewej Karol Wojtyła. Plac Katedralny we Wrocławiu, 3 maja 1970 r.

„Myślę, że byliśmy jako Polacy przez wiele lat oszukiwani frazesami o polsko-niemieckim pojednaniu. A Niemcy prowadziły wobec Polski bezwzględną i bezduszną politykę unikania płacenia odszkodowania (...). Czy chcemy (...) być oszukiwani jakimś fikcyjnym pojednaniem, czy chcemy ubiegać się o swoje interesy, domagać się zadośćuczynienia za II wojnę światową, jak robi i robiło to wiele krajów na świecie?".

Oceniając tak krytycznie proces pojednania, polska prawica – podkreślająca zarazem przywiązanie do Kościoła – nie posuwa się do otwartej krytyki Orędzia, podpisanego wszak przez późniejszego świętego Jana Pawła II i błogosławionego Stefana Wyszyńskiego.

Jeśli jednak proces, którego Orędzie było kamieniem milowym, określa się jako „fikcyjne pojednanie", to konsekwentnie trzeba by uznać, że jego polscy protagoniści ponieśli klęskę w konfrontacji z przebiegłymi i cynicznymi Niemcami.

„FÜR DEUTSCHLAND!" | Tak jednak nie było. Pojednanie polsko-niemieckie było sukcesem o wymiarze historycznym. Wcześniej pokolenia Polaków i Niemców żyły w przeświadczeniu, że nie ma alternatywy dla polsko-niemieckiej wrogości. Dziś Polska i Niemcy są sojusznikami w NATO i UE. Przezwyciężono tamten podział Europy.

Pojednanie jest też polskim szlagierem eksportowym – szukając inspiracji do przezwyciężenia wrogości, o przyczyny sukcesu polsko-niemieckiego zbliżenia pytają ludzie z krajów bałkańskich, Korei, Japonii.

Skąd więc krytyka? Wydaje się, że ma ona kilka przyczyn. Pierwsza to cyniczna kalkulacja. Po stronie prawicowej, zwłaszcza PiS-u, widoczna jest taktyka bicia przeciwników politycznych antyniemiecką „pałką". Aby dezawuować „niemieckich pachołków", działających rzekomo „für Deutschland" i na szkodę Polski, trzeba konstruować jak najczarniejszy obraz ich rzekomych zleceniodawców.

Stąd podkreślanie nie tego, co w relacjach polsko-niemieckich udało się osiągnąć, ale tego, co wciąż nas dzieli. Stąd także tworzenie narracji, jakoby Niemcy, nasz sojusznik z Unii i NATO, były dla Polski prawie takim samym zagrożeniem jak putinowska Rosja. I stąd kwestionowanie autentyczności pojednania.

CEL AKTUALNY | Przyczyna druga to autentyczne rozczarowanie wynikami procesu pojednania. Krytycznie postrzega się w Polsce stan niemieckich rozliczeń ze zbrodniczą polityką III Rzeszy. Zauważa się, że olbrzymia większość sprawców uniknęła kary, a ogromne polskie straty i cierpienia w niewielkim stopniu zostały zrekompensowane. Irytację budzi fakt, że wiedza o skali zbrodni wobec Polaków jest w Niemczech niewielka.

Ponadto rosyjski atak na Ukrainę ukazał w nowym świetle niemiecką politykę wobec Rosji, której symbolem stał się gazociąg Nordstream. Cynizm i egoizm tej polityki, połączony z lekceważącym stosunkiem do bezpieczeństwa wschodnich sąsiadów Niemiec, może rodzić uzasadnione pytania o autentyczność pojednania.

Uważam jednak, że te i inne deficyty nie są dowodem na to, iż pojednanie było nieprawdziwe albo zakończyło się fiaskiem, lecz że wymaga ono kontynuacji.

Pojednanie to mozolny proces, a jego efekty objawiają się stopniowo. Wrogości, która przez pokolenia dzieliła Polaków i Niemców, a także związanych z nią schematów myślenia i działania, nie da się całkiem przezwyciężyć w ciągu kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu lat.

Wiele udało się dokonać, ale przed nami wciąż długa droga. Przypomnieli o tym w 2017 r. niemieccy sygnatariusze apelu do Bundestagu o stworzenie w Berlinie pomnika polskich ofiar nazizmu: „Cel, jakim jest polsko-niemieckie pojednanie, podobne do udanej przyjaźni niemiecko-francuskiej, pozostaje, jak dotąd, niezrealizowany".

TROCHĘ HISTORII | Warto przypomnieć, jak zmieniał się stosunek Niemców do kwestii winy i odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej.

Zainicjowana po 1945 r. przez aliantów denazyfikacja skończyła się fiaskiem. Wprawdzie procesy esesmanów z Auschwitz we Frankfurcie nad Menem (1963-66) wywołały dyskusję, ale to dopiero amerykański serial telewizyjny „Holocaust" sprawił, iż szerokie kręgi społeczeństwa zdały sobie sprawę z ogromu zbrodni. Przy czym świadomość ta dotyczyła głównie Zagłady – ofiary nieżydowskie wciąż były w cieniu.

I tak musiało minąć jednak kilka dekad, zanim w 2005 r. powstał w Berlinie pomnik ofiar Holokaustu. Trzy lata później zaś pomnik prześladowanych osób homoseksualnych, w 2012 r. pomnik Sinti i Romów, w 2014 r. ofiar eutanazji. Dopiero w 2025 r. – pomnik ofiar polskich (jak słyszymy, tymczasowy). ↦



PAWEŁ KOZIOŁ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Odsłonięcie pomnika kardynała Bolesława Kominka. Wrocław, 3 grudnia 2005 r.

↦ Sądowe rozliczanie szło, jak wiadomo, opornie. Powoli przebijał się do świadomości fakt, że zbrodnie nie były udziałem jedynie małej grupy fanatyków. Mit „rycerskiego Wehrmachtu" upadł dopiero w latach 90. XX w. Już w XXI w. odkrywano, jak bardzo w maszynę zbrodni zaangażowane były środowiska prawnicze, naukowe, medyczne itd.

Opornie następowało wypłacanie zadośćuczynienia, przy czym państwa bloku wschodniego traktowano dodatkowo po macoszemu. Dopiero w latach 90. Polska otrzymała 500 mln marek, a w 2000 r. kolejne 1,8 mld marek (od niemieckiej gospodarki) jako zadośćuczynienie dla ofiar pracy przymusowej. W porównaniu ze skalą strat i cierpień to kwoty symboliczne.

Z ŻALEM I WSTYDEM | Powoli zmieniało się też po roku 1945 nastawienie Niemców do Polaków. Jeden z pionierów pojednania, ks. Helmut Holzapfel, pisał latem 1965 r. o „nienawiści do Polski", która jest „żywa także wśród niemieckich katolików, o czym przekonuje mnie tak wiele listów. Antysemityzm został u nas prawnie zakazany, tym bujniej rozplenia się antypolonizm".

Jednak zmiana następowała. Gdy biskup Berlina Julius Döpfner w 1960 r. wezwał niemieckich katolików do zmiany ich nastawienia wobec Polski, spotkał się z niezrozumieniem i oporem – wielu Niemców wolało widzieć się w roli ofiar. Ale już w 1966 r. po raz pierwszy więcej obywateli RFN opowiadało się za uznaniem granicy na Odrze niż przeciwko.

Odpowiedź niemieckich biskupów na Orędzie z 1965 r. była chłodna i zdystansowana – z obawy przed negatywnymi reakcjami większości niemieckich katolików (byli wśród nich wysiedleńcy). Ale gdy w 1978 r. Wyszyński i Wojtyła odbywali pierwszą podróż po RFN, byli triumfalnie witani przez tłumy. Publicysta „TP" Mieczysław Pszon tak pisał o nabożeństwie w Kolonii: „Olbrzymi aplauz (...). Ostatni raz przeżywano podobny, gdy był tu prezydent John Kennedy, a taki tłum jak dzisiaj widziała katedra podczas requiem po śmierci Adenauera [w 1967 r.]".

Warto porównać tamtą odpowiedź niemieckich biskupów z 1965 r. z dokumentem niemieckiego episkopatu wydanym 55 lat później. Biskupi niemieccy przyznają w nim, że ich Kościół w czasach nazizmu był częścią „wojennego społeczeństwa" i jest współodpowiedzialny za masowe zbrodnie, w tym zbrodnie na Polakach. W dokumencie czytamy: „Dzisiaj z żalem i zawstydzeniem patrzymy na ofiary (...). Z perspektywy czasu fakt, iż przez wiele lat nie widziano cierpienia i ofiary innych (...) budzi szczególny wstyd".

RACJA STANU | Tak, pojednanie to mozolny proces. A jednak jesteśmy dziś bliżej siebie, niż mogłoby się zdawać, sądząc po słowach polityków i tonie medialnych komentarzy.

Dowodem na to jest, paradoksalnie, obecny spór o reparacje / odszkodowania. Gdyby toczył się on 20 lat temu, po stronie niemieckiej od razu pojawiłyby się głosy, że w odpowiedzi należy wystawić stronie polskiej rachunek za niemieckie ofiary wysiedleń i ich utracone mienie. Dziś twierdzenia takie pojawiają się na marginesie niemieckiej debaty, gdyż powszechna jest świadomość, że nie można jedną miarą mierzyć zbrodniczych działań i ich późniejszych skutków. Niemcy się zmieniają.

Zmienia się też Polska. Rośnie jej znaczenie, a wraz z nim – możliwości działania. Jednak dzisiejszej sytuacji nie można projektować na wcześniejsze dekady – i zarzucać polskim protagonistom pojednania, jakoby byli naiwni, ulegli wobec partnera czy nieudolni w obronie naszych interesów.

Gdy biskupi polscy wyciągali w 1965 r. ręce do biskupów niemieckich, kierowali się nie tylko etyką, ale i przekonaniem, że pojednanie z Niemcami jest warunkiem odzyskania przez Polskę wolności i należnego jej miejsca w Europie. Dlatego Kominek z przekonaniem twierdził w 1966 r.: „Kto zwalcza pojednanie narodu polskiego z narodem niemieckim – uderza w twarz polską rację stanu".

KWESTIA REALIZMU | Ahistoryczne jest też czynienie podobnych zarzutów ludziom, którzy po przełomie 1989 r. stanęli na czele państwa.

Gdy Tadeusz Mazowiecki przekazywał Helmutowi Kohlowi znak pokoju w Krzyżowej w listopadzie 1989 r., Polska była na skraju bankructwa. Mazowiecki zabiegał u Niemców o umorzenie starych długów, udzielenie nowych kredytów, finalne uznanie granicy na Odrze i wsparcie dla polskich aspiracji dołączenia do Zachodu.

Wszystko to otrzymał. Czy dzisiejsi krytycy pojednania naprawdę uważają, że w roku 1989 i 1990 – gdy na krótką chwilę otworzyło się sowieckie/rosyjskie „okno możliwości" dla zjednoczenia Niemiec (co było w interesie także Polski) – należało domagać się reparacji?

Tak, polscy protagoniści pojednania skłonni byli zawierać kompromisy. Nie wynikało to jednak z naiwności, lecz z realizmu. Wiedząc, co jest stawką, wiedząc, że nie ma idealnych rozwiązań, akceptowali te, które uważali za optymalne. Obecne członkostwo Polski w UE i NATO,

jej rosnące znaczenie polityczne i potencjał gospodarczy dowodzą, że nie była to zła strategia. Dowodzi tego również rozwój sytuacji na europejskim Wschodzie.

PAPIEŻ Z POLSKI | Pojednanie nie oznacza, że należy unikać trudnych tematów i sporów. Warto toczyć je jednak w taki sposób, aby nie były destrukcyjne.

Przywołajmy tu apel Zespołu Episkopatu Polski ds. Kontaktów z Konferencją Episkopatu Niemiec z 2017 r.: „Pojednanie to wielka wartość, którą udało się osiągnąć i którą podtrzymujemy dzięki wysiłkowi nie tylko polityków, ale licznych ludzi dobrej woli po obu stronach granicy. Mamy jednak świadomość, że łatwo można ją utracić przez nieprzemyślane decyzje, a nawet przez zbyt pochopnie wypowiadane słowa".

I dalej: „Ogromne znaczenie ma sposób, w jaki traktowane są niezałatwione sprawy w relacjach obu państw. Należy je podejmować na płaszczyźnie roztropnej dyplomacji, by podtrzymać z trudem osiągnięte zaufanie, a nie niweczyć poprzez wzbudzanie negatywnych emocji społecznych w którejkolwiek ze stron".

Dbanie o jakość dialogu polsko-niemieckiego to zadanie także dla Kościoła, który kiedyś kładł pod nie podwaliny. I którego, dodajmy, był beneficjentem – prawdopodobnie nie byłoby papieża z Polski (wybranego także dzięki głosom niemieckich kardynałów i ich lobbingowi), gdyby nie wcześniejsze zbliżenie polskiego i niemieckiego Kościoła.

CIĄG DALSZY TRWA | Odpowiedzialność Kościoła powinna wyrażać się także w sprzeciwie wobec działań destrukcyjnych – zwłaszcza gdy podejmują je osoby deklarujące przywiązanie do Kościoła (czy wręcz go reprezentujące).

Bolesław Kominek pisał przed publikacją Orędzia: „Znów nadciąga wielka antyniemiecka fala propagandowa. Ale przerzucanie mostów musi kosztować i wymaga ofiar". Karol Wojtyła wskazał, już jako papież, że „dla krajów dążących do pojednania i dla wszystkich, którzy pragną pokojowego współistnienia ludzi i narodów, nie ma innej drogi niż przebaczenie – przyjęte i darowane". I jeszcze raz wspomniany już cytat z Kominka: „Kto zwalcza pojednanie narodu polskiego z narodem niemieckim – uderza w twarz polską rację stanu".

Jakże te myśli są aktualne. © ROBERT ŻUREK

Autor jest doktorem habilitowanym, teologiem i historykiem. Dyrektor zarządzający Fundacji Krzyżowa, autor prac naukowych, m.in. współautor tomu „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie. Orędzie biskupów polskich i odpowiedź niemieckiego episkopatu z 1965 roku: geneza, kontekst, spuścizna".

W nowych czasach

BP GEORG BÄTZING

„Z braterskim szacunkiem przyjmujemy wyciągnięte dłonie" – tymi słowami biskupi z obu części Niemiec odpowiedzieli 5 grudnia 1965 r. na odważny, poruszający list polskich braci w biskupstwie z 18 listopada 1965 r. Pisząc swój list, w ostatnich tygodniach Soboru Watykańskiego II, polscy biskupi zainicjowali proces, który musiał zaczynać się ostrożnie, ale na koniec wywołał głębokie zmiany. Te dwa listy pomogły budować zaufanie i nawiązywać relacje. Na ile pozwalały okoliczności – żelazna kurtyna, stan wojenny w Polsce – chrześcijanie z obu stron wymieniali się doświadczeniami i wspierali. Za sprawą tych spotkań mogło rosnąć zaufanie. Do dziś polscy i niemieccy biskupi co roku spotykają się, by wymieniać opinie; także wiele parafii podtrzymuje kontakty ponad Odrą i Nysą.

W KAŻDYM PROCESIE pokojowym potrzeba kogoś, kto wyciąga rękę i „udziela przebaczenia oraz prosi o przebaczenie". Taki krok wymaga odwagi i zaufania – do człowieka, który jest po drugiej stronie, a także do Boga. Taka droga potrzebuje czasu i wytrwałości. Zniszczone zaufanie często odbudowuje się dopiero w skali kolejnych pokoleń. Konieczne jest przepracowanie traumatycznych wspomnień i otwarte nazwanie tego, co dzieli. Zawsze też trzeba liczyć się z niepowodzeniami.

W RELACJACH polsko-niemieckich zwłaszcza w 2004 r., za sprawą wejścia Polski do Unii Europejskiej, zapanowała wręcz euforia; sądziliśmy, że odtąd będziemy już tylko iść naprzód ku wspólnej przyszłości. Potem jednak musieliśmy uznać, że konieczne procesy transformacji w obu naszych państwach wcale nie dobiegły jeszcze końca. My na Zachodzie zapewne nie doceniliśmy też, co to oznacza dla społeczeństw, które dopiero co odzyskały suwerenność spod sowieckiej hegemonii.

W 60. ROCZNICĘ tamtej wymiany listów stoimy przed nowym wyzwaniem: wojna wywołana przez Władimira Putina przeciw Ukrainie, w bezpośrednim sąsiedztwie Polski, zbliża nas do siebie. Bo tylko wspólnie możemy się obronić. Z kolei odrodzony nacjonalizm – niemal w całej Europie – sięga po stare uprzedzenia, które mają nas podzielić. W tej sytuacji wymiana listów z 1965 r. przypomina, abyśmy wciąż i na nowo wyciągali rękę do pojednania, szukali tego, co łączy, i podejmowali odpowiedzialność za silną, zjednoczoną Europę.

W KOŚCIELE katolickim panuje dziś pewna bezradność wobec gwałtownej sekularyzacji w Europie. Jesteśmy wezwani, by wspólnie temu przeciwdziałać: musimy na nowo podejmować rozmowę i uczyć się od siebie. W Polsce i w Niemczech wspieramy takie spotkania, choćby przez działalność naszej wspólnej Fundacji Maksymiliana Kolbego, Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży, Fundację Krzyżowa i wiele innych inicjatyw.

PROCES POJEDNANIA między Polakami a Niemcami nie jest jeszcze zakończony. Będzie ono rosnąć, jeśli wciąż i na nowo będziemy wychodzić sobie naprzeciw. Aby uczyć się od siebie i nie rezygnować.

© Przełożył WP

MARKO ORLOVIC / / DEUTSCHE BISCHOFSKONFERENZ



GEORG BÄTZING (ur. 1961), doktor teologii, jest biskupem diecezji Limburg, a od 2020 r. przewodniczącym Niemieckiej Konferencji Biskupów. Autor kilkunastu książek o tematyce teologicznej i duszpasterskiej.



DPA / PAP

Kardynał Wojtyła, prymas Wyszyński i przewodniczący niemieckiego Episkopatu kard. Joseph Höffner podczas wizyty delegacji polskiego Episkopatu w Niemczech Zachodnich, tuż przed konklawe. Fulda, wrzesień 1978 r.

Czy tamta praca została zaprzepaszczona?

ABP HENRYK MUSZYŃSKI, PRYMAS POLSKI SENIOR, UCZESTNIK DIALOGU POLSKO-NIEMIECKIEGO:

Tam, gdzie jest doświadczenie życia Ewangelią, nie będzie miejsca na nacjonalizm czy niechęć do innych narodów.

MONIKA BIAŁKOWSKA: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem". Kiedy takie słowa padają z Jasnej Góry, można pomyśleć, że bardzo daleko odeszliśmy od listu polskich biskupów z 1965 r., ze słowami „przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Co się z nami stało?

ABP HENRYK MUSZYŃSKI: Takie określenia jak pojednanie, solidarność i dialog to dziś są często frazesy, używane interesownie i w konkretnych celach. Nie wchodzi się dziś w ich głębię i to jest moim zdaniem ogromne nieporozumienie. Mamy obowiązek głosić Ewangelię, mamy ją głosić w konkretnym kontekście, ale nie jesteśmy polemistami, którzy jej używają dla własnej wygranej. Nikomu nie wolno instrumentalizować orędzia ewangelicznego.

Ewangelia na pewno nie mówi nam, że Niemiec nie będzie Polakowi bratem. Wręcz przeciwnie. Każdy z nas jest bratem i siostrą w Bożej perspektywie, bo wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca.

Co się zatem stało, że wartości narodowe – żeby nie powiedzieć: nacjonalistyczne – zaczęły przeważać nad Ewangelią, że nawet w Kościele zaczęły Ewangelię zagłuszać, że w jej imię są głoszone?

Myślę, że odziedziczyliśmy strukturę Kościoła, formowaną przez wieki. Przez wieki chrześcijaństwo musiało się bronić przed zarzutami i oskarżeniami, przed prześladowaniami, przed niesprawiedliwością. Nauczyliśmy się, że jesteśmy pokrzywdzeni i nie chcemy z tej roli wychodzić. Bronić się jest łatwiej, nie musimy wtedy brać odpowiedzialności – to jedno.

Po drugie, sądzę, że olbrzymia większość ludzi nie ma osobistej relacji ani do Boga, ani do Matki Najświętszej. Żyją tylko tym, co zewnętrzne: obrzędami, rytuałami, pewnymi formami pobożności. Jeśli się pozostaje na tej płaszczyźnie religijności – społecznej, publicznej, oficjalnej – to stawia się chrześcijaństwo na równi z innymi społecznościami, w których nie ma wspólnoty, ale jest wspólny interes.

Jestem przekonany, że tak właśnie stało się z nami. Tam, gdzie religijność jest zewnętrzna – a więc zraniona – umiemy za jej pomocą załatwiać tylko kolejne interesy. Nie ma w niej jednak odniesienia do tego, co najważniejsze, do obecności i działania Chrystusa. Zadowalamy się obrzędami, mówimy o wypełnionych obowiązkach, jesteśmy przekonani, że zrobiliśmy, co do nas należy. Tymczasem to jest zwykła celebracja, którą się tylko usprawiedliwiamy.

Chrześcijaństwo ma wymiar wspólnotowy i ma wymiar osobisty, i w ten sposób należy je przeżywać, żeby doświadczać go w pełni. Tam, gdzie jest doświadczenie życia Ewangelią, nie będzie miejsca na nacjonalizm czy niechęć do innych narodów.

Czy ta praca poprzednich pokoleń nad dialogiem nie jest właśnie zaprzepaszczana?

W dużym stopniu tak. List polskich biskupów do biskupów niemieckich z 1965 r. powstał w określonym momencie dziejów. Powstał w poczuciu odpowiedzialności ludzi, którzy przeżywali chrześcijaństwo w pełni i patrzyli naprawdę daleko. Nawet nie wszyscy biskupi wtedy to rozumieli i akceptowali. Ale biskupi Kominek, Wyszyński czy Wojtyła to byli ludzie, którzy kierowali się motywacją

ściśle religijną. Nie mówili wyłącznie o pojednaniu czy dialogu, ale zaczynali od tego, co leżało u podstaw.

A u podstaw każdej niechęci leżą często zranienia i uproszczenia. Dotarcie do nich i leczenie wymaga czasu i wymaga sięgnięcia do źródeł. Wymaga próby odbudowy wzajemnego zaufania. Dopóki zaufania nie ma, można budować relacje powierzchowne, ale nie da się zbudować głębokiej relacji międzyosobowej.

Kolejnym krokiem jest gotowość do słuchania drugiego człowieka. Trzecia sprawa to wzajemna modlitwa, bo ona dotyka wnętrza człowieka.

U podstaw tego leży oczywiście wewnętrzna gotowość do przebaczenia. Taka gotowość jest niesłychanie trudna. Zwłaszcza tam, gdzie istnieją prawdziwe zranienia i doświadczone faktyczne krzywdy i niesprawiedliwość, których nie można zignorować. Do przebaczenia trzeba dojrzewać, czasem przez bolesne doświadczenia.

W całym tym wielkim procesie „przebaczania i proszenia o przebaczenie" najbardziej cenię motywację ściśle religijną: wyjście od faktu, że Bóg kocha każdego człowieka miłością bez zastrzeżeń. Przy takiej motywacji można rozpocząć drogę zaufania, drogę dialogu, rozmowy, pogłębiania wiary.



ADAM WARŻAWA / PAP

HENRYK MUSZYŃSKI urodził się w 1933 r. w Kościerzynie na Kaszubach, które jesienią 1939 r. zostały włączone do III Rzeszy i poddane wyjątkowo brutalnemu reżimowi okupacyjnemu. W latach 1963-65 studiował w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie, a w latach 1967-68 w Heidelbergu (RFN). Biblista, doktor habilitowany teologii. W latach 1985-87 biskup pomocniczy diecezji chełmińskiej, 1987-92 biskup włocławski, 1992-2010 metropolita gnieźnieński, 2009-10 prymas Polski. W 1995 r. wraz z bp. Walterem Kasperem redagował list episkopatów Niemiec i Polski na 50. rocznicę końca II wojny światowej. Obecnie jako prymas Polski senior mieszka w Gnieźnie.

Mówi Ksiądz Arcybiskup, że w 1965 r. nawet niektórzy biskupi nie do końca to akceptowali. Ale jednak, pod wpływem kard. Wyszyńskiego, złożyli swoje podpisy.

Proszę zwrócić uwagę, jak dziwne były wówczas reakcje na ten list. Komuniści w Polsce zareagowali nienawiścią, i to jeszcze można było zrozumieć. Ale również Niemcy zareagowali totalnym zaskoczeniem. Musieli sami siebie przekonywać, co się wydarzyło, że taka inicjatywa wyszła ze strony pokrzywdzonych, nie rozumieli jej powodu.

Na dodatek z perspektywy dawnych mieszkańców Śląska i Pomorza to my, Polacy, byliśmy winni ich wysiedlenia. Na odpowiedź biskupów niemieckich trzeba było czekać długo i była ona dosyć ogólnikowa. Nie było wówczas możliwości ukazania całej głębi i pełni tego przebaczenia.

Pytała pani, czy tamta praca została zaprzepaszczona. Olbrzymia większość Polaków do dziś żyje przekonaniem i świadomością doznanych krzywd i niesprawiedliwości, tym, że jesteśmy ofiarami. Skoro jesteśmy ofiarami, to musimy się domagać sprawiedliwości, a nie przebaczać. Już to jest odpowiedzią na pytanie. Ale to nie jest perspektywa Boża, to nie jest perspektywa Jezusa Chrystusa.

Ksiądz Arcybiskup urodził się w 1933 r. na Kaszubach i przeżył jako chłopiec II wojnę światową. Jak się potem z tym doświadczeniem wojennym i okupacyjnym wchodziło w dialog z Niemcami, jeszcze jako kleryk i młody ksiądz? Jak się nauczyć, że Niemiec to jest człowiek, a nie wróg?

W czasie wojny sercem życia religijnego była rodzina. Nasz kościół był zamknięty. Mój ojciec się ukrywał, był u Niemców na czarnej liście osób przeznaczonych do rozstrzelania. Każdej niedzieli o godzinie dziesiątej w domu rodzinnym był czas modlitwy.

Potem zostałem typowym katolickim księdzem, wyjechałem na studia do Rzymu. Moja praca naukowa sprawiła, że znalazłem się nie tylko wśród Niemców, ale i wśród samych protestantów. Początkowo dziwiłem się wszystkiemu, byłem przekonany, że u nas jest najlepiej. Patrzyłem na życie krytycznie. Oceniałem. Miałem możliwość kontaktu z innymi kulturami i z powszechnością Kościoła.

Pamiętam moje zadziwienie tą powszechnością, kiedy znalazłem się na placu św. Piotra i zobaczyłem tę wielką wspólnotę ludzi, których łączyła nie narodowość, ale wiara. Nikt o sobie nic nie wiedział, ale ludzie byli sobie bliscy. To było dla mnie ogromne przeżycie.

Później przeżywałem uniwersalizm Kościoła w różnych częściach świata. Miałem okazję poznać struktury i działanie Kościoła. Wszystko było tak różne od naszej nieustannej obrony przed komunizmem! Musiałem być otwarty. Początkowo wiele rzeczy mi się nie podobało. Z czasem dojrzewałem do pełniejszego rozumienia eklezjalnej rzeczywistości.

Obserwowałem też, co się dzieje, gdy religia jest tylko jednym z elementów kultury, a nie prawdziwą religią z jej głębią, doświadczałem płytkości tego zjawiska.

Czy w takim razie nie powinniśmy dziś na powrót zacząć od spotkania? Od tego, żeby poznać inne perspektywy i – tak jak Ksiądz kiedyś – poszerzać swoje widzenie?

Z pewnością tak. Spotkanie drugiego człowieka zawsze nas wzbogaca w wymiarze ludzkim. Ale potrzebna jest też wiara. Po ludzku pojawia się w nas często strach. Rozumiem to, jestem wrażliwy, dotykają mnie różne wydarzenia, ale nie budzą we mnie strachu w wymiarze religijnym. Jezus mówił: „Pokój wam daję".

Pokój Zmartwychwstałego daje nam zwycięstwo nad złem, którego doświadczamy, a nawet nad śmiercią. Daje nam duchową równowagę. Sprawia, że nigdy nie jestem w sytuacji utraty nadziei, która sięga poza śmierć. Wprawdzie wszyscy jesteśmy śmiertelni, ale nic się na tym nie kończy. Otwiera się nowy wymiar życia w Chrystusie.

Na tej wierze opiera się chrześcijaństwo. Z tą wiarą możliwe jest budowanie prawdziwej wspólnoty z Bogiem i z drugim człowiekiem, która przezwycięża lęk. Czekamy wciąż na wypełnienie naszych oczekiwań na pełnię życia, miłości, radości i szczęścia... ©

Boży szaleńcy

MAREK ZAJĄC

Polsko-niemieckie pojednanie nie było wydmuszką ani kiczem, jak twierdzi dziś prawica. Nie było też cudem, jak głosi bezrefleksyjnie powtarzany slogan. Dokonało się, bo właściwi ludzie spotkali właściwych ludzi. Kim byli i czym się kierowali?

Polska pod rządami komunistów, 60 lat temu. Rok 1965 dobiega końca. W kraju nie milkną echa Listu biskupów polskich do niemieckich. Zaskoczenie jest totalne, bo hierarchowie zachowali tajemnicę aż do jego ogłoszenia.

Gdy Władysław Bartoszewski, historyk związany z „Tygodnikiem", odwiedza niemieckiego korespondenta w Warszawie Ludwiga Zimmerera, ten jest w szoku. „Słuchaj, ten kraj to jest dom wariatów! – mówi Zimmerer. – Trwa walka polityczna, partia zwalcza Kościół, Kościół broni się przed partią, a tu nagle kilku starszych panów się zbiera i nikogo nie pytając, robi taki numer, który wszędzie wywołałby trzęsienie ziemi, a w Polsce nic im z tego powodu nie robią!".

Diagnozę Zimmerera można rozszerzyć daleko poza Episkopat – na całe środowisko pionierów polsko-niemieckiego pojednania. Z jednym zastrzeżeniem: to nie byli wariaci, ale Boży szaleńcy. Ludzie łączący ogień z wodą: motywacje do szpiku ewangeliczne ze zmysłem praktycznym, wręcz pragmatycznym. *Fides et ratio*. Romantyczni realiści, którzy wartości nie rozmieniali na drobne, jednocześnie kierując się geopolityczną kalkulacją. Jak mawiał Bartoszewski: „Jestem realistą, nawet jeśli lubię marzyć".

Zacznijmy jednak od początku.

NOWA NADZIEJA | W roku 1945, na ruinach komór gazowych i gruzach europejskich miast, na zgliszczach snów o moralnym przywództwie Starego Kontynentu – liczyło się jedno pytanie: jak tego w przyszłości uniknąć? Jak zapobiec katastrofie, która cyklicznie się powtarza i to na coraz straszliwszą skalę?

Od pokoju westfalskiego, który w 1648 r. zakończył wojnę trzydziestoletnią, dyplomaci pokładali wiarę w balansie sił między europejskimi mocarstwami. Balansie przeliczanym w traktatach na kilometry kwadratowe terytorium czy tonaż okrętów wojennych. Ale zamiast trwałego pokoju – wybuchały nowe konflikty. Ślepą uliczką okazał się porządek nakreślony po I wojnie światowej w Wersalu, gdy pobite Niemcy i ich sojuszników spotkała surowa kara. Efekt był odwrotny: zamiast zdusić pruski militaryzm, wykarmiono ludobójczy nazizm.

Po 1945 r. na wolnym Zachodzie nową receptę, nową nadzieję znaleźli politycy wywodzący się, nieprzypadkowo, przede wszystkim z kręgów chrześcijańskich. Uznali, że sama sprawiedliwość na nic by się tu zdała. Że wobec ogromu zbrodni, krzywd i upokorzeń – jedynie idea chrześcijańskiego przebaczenia zmobilizuje do odwagi, by radykalnie przestawić zwrotnicę dziejów. Że tylko realne zbliżenie między narodami, wspólnota wartości i interesów może odbudować i ocalić Europę.

WĄSKA ŚCIEŻKA | Pierwszym etapem stało się pojednanie między Francuzami i Niemcami – dotąd oddzielonymi morzem krwi, którą wylano w czterech konfliktach dwóch stuleci: od czasów napoleońskich, przez rok 1870, po dwie wojny światowe.

Oczywiście na europejskim Wschodzie, odciętym żelazną kurtyną, nie było szans na realizację projektów kreślonych z taką swobodą i rozmachem. Jednak identyczna myśl kiełkowała też w Polsce, m.in. wśród ludzi skupionych wokół „Tygodnika Powszechnego".

W 1995 r. Jerzy Turowicz wspominał: „Byliśmy świadomi, że działać musimy w państwie, którego system i władze są narzucone z zewnątrz. W państwie, które na lata pozostanie zależne od Związku Sowieckiego. Byliśmy jednak przekonani, że po tragedii II wojny pokój w Europie można zbudować wyłącznie na pojednaniu między skonfliktowanymi narodami".

Po prostu: na Wschodzie do podobnego celu jak na Zachodzie trzeba było iść drogą dłuższą i okrężną. A na początku – wydeptać własną wąską ścieżkę. Tuż obok autostrady, którą pędziła powojenna polityka mocarstw.

DOBRZY ŚWIECCY | Tuż po 1945 r. relacje niemiecko-polskie cechował, jak pisał Stanisław Stomma, stan nieważkości: „Na początku wcale ich nie było, ale poza tym – rzecz szczególna – nie było w ogóle wiadomo, jak się mają kształtować, jaki mają mieć sens i nawet jakie podłoże geopolityczne".

Dopiero „odwilż" Października '56 umożliwiła – obok relacji z komunistyczną NRD – półoficjalne mikrokontakty między Bonn a Warszawą. Jednak to nie ostrożna dyplomacja, ale pionierskie inicjatywy i osobiste kontakty Bożych szaleńców przyniosły przełom, potwierdzając sens przypowieści o ziarnku gorczycy.

Kto był siewcą? Na przykład Günter Särchen: świecki pracownik diecezji w Magdeburgu (NRD). Jako nastolatek w mundurze Wehrmachtu patrzył na upadek III Rzeszy, a po wojnie szybko odrzucił NRD-owską ułudę. Stał się chrześcijańskim pozytywistą, który do zbliżenia z Polakami postanowił iść przez pracę oddolną, organiczną.

W 1960 r. zapakował książkami trabanta i po raz pierwszy pojechał do PRL. Prywatnie, niemal w ciemno. Szedł od człowieka do człowieka. We Wrocławiu bp Bolesław Kominek zasugerował mu kontakt z ludźmi z „Tygodnika", Klubów Inteligencji Katolickiej i środowiskiem Tadeusza Mazowieckiego, redaktora naczelnego „Więzi" i posła Koła Znak w Sejmie PRL.



ARCHIWUM „TP”

Redaktorzy „TP” Mieczysław Pszon i Krzysztof Kozłowski w Berlinie, lata 60. XX w.

Oburzony Särchen wypalił: „Ja z komunistycznymi świeckimi nie chcę mieć nic wspólnego”. Rozbawił tym Kominka. „Typowy Niemiec, nic nie rozumie. To nie tak. Niech pan ich odwiedzi, to dobrzy świeccy. Tylko czasem trochę zwariowani” – odparł biskup, który pięć lat później będzie autorem Orędzia do Niemców.

KAMIENIE I LAWINA | Tak Särchen trafił na Wiślną 12. Ciekawe, czy w redakcji „Tygodnika” usłyszał *bon mot* Mieczysława Pszona: „Kto tak naprawdę w Polsce interesuje się Żydami? Żydzi i endecy. A kto się naprawdę w Polsce interesuje Niemcami? Niemcy i endecy”.

Dowcip miał drugie dno, biograficzne: przed wojną Pszon był działaczem Stronnictwa Narodowego. Z antysemityzmu otrząsnął się w trakcie wojny. Potem w stalinowskim więzieniu czekał na wykonanie wyroku śmierci, który zamieniono mu następnie na dożywocie. Na wolność wyszedł dzięki „odwilży”.

Do śmierci dźwigał niewyobrażalną traumę. Ale właśnie dzięki temu – jak zgodnie podkreślali jego polscy i niemieccy przyjaciele – stał się filarem pojednania. Dla Niemców odwiedzających wtedy Polskę był – cytuję za różnymi wspomnieniami – najważniejszym adresem, jednoosobowym biurem, przyjacielem, mentorem.

Särchen i Pszon – dwa z kamieni, które uruchomiły lawinę, porywając innych. Bo z czasem to, co szalone, spontaniczne i prywatne, rozrastało się i krzepło. Słowa i gesty nabierały ciężaru społecznego i politycznego, powstawały struktury – by wymienić tylko Akcję Znaków Pokuty, Maximilian-Kolbe-Werk z RFN (organizację pomagającą byłym więźniom kacetów) czy seminaria oświęcimskie Znaku i Pax Christi. Aż po Krzyżową, gdzie w 1989 r. premier Mazowiecki i kanclerz Kohl wymienili znak pokoju.

MUSZĘ PAMIĘTAĆ | Ale na początku było doświadczenie osobiste, przenikające się z wiarą. Przykładem historia ks. Adama Bonieckiego, którą podzielił się z czytelnikami „Tygodnika” dopiero w 2005 r. (w wydaniu na 40. rocznicę Orędzia). W 1944 r. Niemcy rozstrzelali jego ojca, oficera rezerwy, z nieludzką skrupulatnością odsyłając potem rodzinie portfel i zegarek.

„Pamiętam, po śmierci Ojca moja Matka powiedziała mi: jeśli zamierzasz przystąpić do spowiedzi i komunii, nie możesz mieć w sercu nienawiści – wspominał ks. Boniecki. – Wydawało mi się, że jej nie mam. Miałem żal i obraz tych, którzy aresztowali Ojca. W trakcie ich wizyty wytężałem uwagę i mówiłem sobie: muszę zapamiętać ich twarze, a po wojnie ich znajdę. Ale nigdy ich oczywiście nie szukałem. Nie próbowałem zapomnieć. Są przeżycia, których zapomnieć się nie da. Wszystko, co niemieckie, traktowałem jako dalekie i obce, podejrzane. Tak było do czasu...”.

Do czasu, gdy w 1965 r. w redakcji „Tygodnika” spotkał Niemców z Akcji Znaków Pokuty: „Ich słowa i czyny wyrażały świadomość, że nie wszystkie krzywdy można wynagrodzić. Widziałem ich żal za nie swoje w końcu winy i było to początkiem budowania we mnie poczucia wspólnoty”.

Podobne spotkanie było przełomowe także dla Bartoszewskiego, który dotąd spośród Niemców znał tylko oprawców z Auschwitz i zbrodniarzy, z którymi siedział w stalinowskich więzieniach.

W latach 60. z inicjatywy „Tygodnika” zaczął oprowadzać przybyszów zza Odry po Warszawie, co wspominał potem z typową dla siebie przekorą: „Chcieli pokutować – no to ja im pomagałem pokutować: oprowadzałem po Pawiaku, alei Szucha, terenie getta, opowiadałem o Powstaniu Warszawskim. Dla tych młodych ludzi spotkanie ze mną było czymś wyjątkowym, spotykali bowiem człowieka, który mając lat osiemnaście, był w niemieckim kacecie, potem w ruchu oporu, po wojnie prześladowali go stalinowcy, a dziś działa w katolickim piśmie i chce się jednać z Niemcami – z ich punktu widzenia: szczyt marzeń...”.

NA ZACHÓD | Zarazem pionierom polsko-niemieckiego pojednania – powtórzmy – nie było obce myślenie w kategoriach racji stanu. Z polskiego punktu widzenia kapitalne znaczenie miał tu – patrząc z dzisiejszej perspektywy – strategiczny zwrot ze Wschodu na Zachód. Wyrwanie się z pułapki geografii, czyli położenia między dwiema wrogimi potęgami.

Bo otwarcie na Niemcy podkopywało dominację Związku Sowieckiego i porządek jałtański. Poufna notatka, którą przed opublikowaniem Orędzia biskup Kominek przekazał niemieckiemu Episkopatowi, uderza śmiałością wizji. „Europa to przyszłość – nacjonalizmy są wczorajsze” – konstatował Kominek i postulował stopniową budowę federacji narodów, które zrzekną się części suwerenności w obszarach bezpieczeństwa i gospodarki.

Podobnie o polsko-niemieckim zbliżeniu myśleli Pszon, Stomma, Turowicz i Bartoszewski. Pszon wspominał, że z endecką niechęcią do wszystkiego, co niemieckie, rozstał się w komunistycznym więzieniu: „Zaraz po wojnie w Polsce odrzucano jakąkolwiek ideę współpracy z Niemcami, zarówno na płaszczyźnie osobistej, jak i tym bardziej państwowej. Mnie się wydawało, że sytuacja uległa ↦



RAINER JENSEN / EPA / PAP

Władysław Bartoszewski podczas otwarcia wystawy „Plany Auschwitz" w Pasażu Axela Springera w Berlinie, luty 2009 r.

↦ całkowitej zmianie: zagrożenie niemieckie przestało być aktualne i trzeba wyzwolić się z uprzedzeń, podbudowanych często okropnościami wojny. Czułem, że doktryna mówiąca, iż Niemiec jest najgorszym wrogiem, doskonale nadawała się do usprawiedliwienia wasalnej podległości Polski wobec ZSRR".

KWESTIA GWARANCJI | Patrząc na zbliżenie z Niemcami w kategoriach geopolitycznych zysków, środowisko to jednak rozumiało, że proces ten musi być głębszy, oparty na autentycznej zmianie postaw.

W głośnej książce „Czy fatalizm wrogości?" z 1980 r. Stomma podkreślał, że nie chodzi o to, by Niemcy były demokracją i kropka. Republika Weimarska też była demokratyczna, a prowadziła antypolską politykę.

Stomma rozumował tak: „Gwarancją bezpieczeństwa dla państw, które mogłyby się poczuć zagrożone, są skuteczne układy sojusznicze. Gwarancja to bardzo istotna, ale – w odniesieniu do Niemiec – zewnętrzna. Niezależnie od układów międzynarodowych narody z Niemcami sąsiadujące chciałyby widzieć także i gwarancję wewnętrzną, to jest wynikającą z zupełnie pewnej sytuacji psychicznej i ideowo-politycznej społeczeństwa niemieckiego".

Identyczną myśl wyraził – pół żartem, pół serio – Władysław Bartoszewski, już jako minister III RP: „Niemcom zawsze opowiadam, co mnie i innym zrobili w Auschwitz. Oni tego słuchają i naśladować się nie mogą. Ale to specyficzny naród o skłonnościach sadomasochistycznych. Tyle że u nich to wygląda inaczej, naprzemiennie. Raz mają fazę sado, a raz maso. A polską racją stanu jest utrzymywać Niemców jak najdłużej w fazie maso".

MISJA OSTATNIA | Ta polska karta łączyła się wówczas z wielką grą – niemiecką, europejską i światową. Kanclerz Adenauer powtarzał, że nie będzie zjednoczenia Niemiec bez normalizacji ich stosunków z Francją, Polską i Izraelem. Z kolei w kazaniu wygłoszonym w Berlinie w 1960 r. kard. Julius Döpfner, odnosząc się do pytań o granicę na Odrze, nie pozostawiał wątpliwości: „Dla przyszłości wspólnota narodów i państw jest ważniejsza niż problem granic".

Tamci politycy, biskupi, intelektualiści i dziennikarze nie bawili się zapałkami. Pamiętali pożar, który spalił Europę. Gdy w 1971 r. opozycyjni wtedy deputowani CDU/CSU chcieli w Bundestagu głosować przeciw ratyfikacji traktatu polsko-niemieckiego – zawartego dwa lata wcześniej przez lewicowego kanclerza Brandta – Stomma pojechał do RFN i mówił im w twarz: „Zrozumieć tego nie mogę, jak ktokolwiek mógłby się ważyć na tak zgubny krok. Oznaczałoby to przyjęcie straszliwej odpowiedzialności za przekreślenie próby porozumienia narodów. Jakże można niszczyć takie dzieło?".

Traktat został ratyfikowany. Chadecy, których istotną część elektoratu stanowili wysiedleńcy zza Odry, umożliwili to, wstrzymując się (jeszcze) od głosu.

Kilkanaście lat później, jesienią 1989 r., gdy w Europie Wschodniej historia ruszała do przodu, nowy premier Tadeusz Mazowiecki wysłał do Bonn swojego emisariusza. Z jednym właściwie, nadrzędnym zadaniem: doprowadzić do tego, by chadecki kanclerz Helmut Kohl stał się sojusznikiem dla polskiego zwrotu geopolitycznego, który właśnie się zaczynał.

Emisariusz nazywał się Mieczysław Pszon. Miał już 73 lata. Z obecnej perspektywy można powiedzieć, że do tej swojej misji, ostatniej i może najważniejszej, przygotowywał się całe życie.

Zadanie wykonał. © MAREK ZAJĄC

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 46/2025

REDAKCJA: Wojciech Pięciak
OKŁADKA: Biskup wrocławski Bolesław Kominek i prymas Stefan Wyszyński; lata 70. XX wieku. / Archiwum Fundacji Obserwatorium Społeczne / / koloryzacja TP online | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara

WYDAWCA
Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNER WYDANIA
GOETHE INSTITUT

DOFINANSOWANIE PROJEKTU
Renovabis
Solidaritätsaktion der deutschen Katholiken mit den Menschen in Mittel- und Osteuropa

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Co nam zostało z Orędzia?

KS. MICHAŁ MRACZEK, WOJCIECH IWANOWSKI

Wobec obecnych napięć między Polską a Niemcami, Fundacja Obserwatorium Społeczne postanowiła sprawdzić, czy polscy i niemieccy katolicy w ogóle pamiętają, o co w pojednaniu chodziło.

Tamten gest sprzed 60 lat wstrząsnął komunistyczną Polską i nadał ton relacjom polsko-niemieckim na dekady. To nie politycy, lecz polski Kościół wyciągnął rękę do narodu, który wyrządził Polsce okrutną krzywdę. „Udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie" – te słowa z listu napisanego przez abp. Bolesława Kominka przeszły do historii jako jeden z najbardziej chrześcijańskich i odważnych aktów.

Jednak czy jego duch przetrwał próbę czasu? Dzięki wsparciu Fundacji Renovabis, zespół badaczy wokół wrocławskiej Fundacji Obserwatorium Społeczne podjął próbę sprawdzenia, jak pojednanie – w jego wymiarze religijnym i politycznym – oddziałuje dziś wśród katolików z Polski i Niemiec.

CEL BADAŃ | Choć są osadzone w kontekście historycznym, nasze badania nie mają być jednak egzaminem z historii. Ich celem nie jest jedynie sprawdzenie, czy nasi respondenci – katolicy z obu państw, z różnych pokoleń – pamiętają daty i nazwiska związane z listem z 1965 r. czy Mszą Pojednania w Krzyżowej z listopada 1989 roku.

Celem jest zajrzenie w głąb pamięci i sprawdzenie, jak ona działa w perspektywie wyznawanej wiary. Dziś kluczowe wydaje się, jak tamten chrześcijański akt przebaczenia jest filtrowany, reinterpretowany i emocjonalnie przeżywany przez kolejne pokolenia. Czy idea pojednania, tak radykalna w 1965 r., jest dziś aktualna? Co z tego gestu jest zachowane, co zniekształcone, a co wygodnie zapomniane po obu stronach Odry.

Socjologowie z zespołu badawczego przygotowują scenariusz pogłębionych wywiadów, które będą prowadzone w Polsce i Niemczech (we współpracy z Uniwersytetem Wincentego Pallottiego z Vallendar). Zostaną one uzupełnione przez analizę tekstów i mini-fokusy.



ARCHIWUM FUNDACJI OBSERWATORIUM SPOŁECZNE

Biskup Kominek we wrocławskiej katedrze

DWA WYMIARY | To, jak pamiętamy o historii, definiuje również i to, jak będziemy żyć dziś obok siebie. Religijny wymiar przebaczenia (prośba o miłosierdzie, akt wiary) i polityczny wymiar pojednania generują fundamentalne napięcie w dyskusji o historycznych aktach polsko-niemieckiego zbliżenia.

O ile Orędzie biskupów polskich z 1965 r. było teologicznym i moralnym aktem („Udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie"), mającym charakter proroczy, o tyle jego późniejsze skutki i interpretacje ciągle wpadały w tryby polityki. Podobnie jak gest Willy'ego Brandta, klękającego w 1970 r. pod Pomnikiem Bohaterów Getta, a następnie Msza w Krzyżowej w 1989 r. z udziałem Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla.

Zakorzenione w chrześcijańskiej idei pojednania, akty te stały się także elementami realnej polityki: służyły budowaniu nowej stabilności w Europie i legitymizacji granicy na Odrze.

DROGA WCIĄŻ OTWARTA | Współczesna debata, zwłaszcza wobec różnic interesów i wracających sporów o reparacje, sprowadza się do pytania: czy duch bezwzględnego ewangelicznego przebaczenia z 1965 r. może przetrwać bez zatarcia politycznych i narodowych różnic, czy też tamte gesty są dziś instrumentalizowane jako argument na rzecz zamykania historycznych rachunków (co budzi opór części opinii publicznej i jest źródłem wzajemnych napięć i konfliktów).

W tej perspektywie ocenę obecnych relacji między Polską i Niemcami można ostrożnie określić jako wciąż otwartą drogę ku pojednaniu.

W tyglu historycznych i współczesnych sporów, cel naszych badań to zatem rozszyfrowanie pamięci. Nie wystarczy wiedzieć, że nasi respondenci z różnych pokoleń „znają" Orędzie czy Mszę w Krzyżowej. Chcemy zrozumieć, jak Polacy i Niemcy postrzegają dziś tamte przełomowe gesty.

Czy zatem hasło „udzielamy przebaczenia" z 1965 r. to dla nich akt ewangelicznego miłosierdzia, który w ogóle nie podlega politycznemu handlowi? A może te symbole – od klęczącego Brandta po kluczowe teksty (w tym również „memorandum wschodnie" Kościoła ewangelickiego z 1965 r.) – sprowadzono do poziomu aktów mających tylko zamykać rachunki historyczne i legitymizować interesy państw? Odpowiedzi na te pytania mamy nadzieję przedstawić w raporcie, który Fundacja Obserwatorium Społeczne planuje opublikować w połowie 2026 roku. ©

KS. MICHAŁ MRACZEK jest teologiem-pastoralistą, kieruje zespołem realizującym projekt „Eksploracyjna analiza wpływu wymiany listów pomiędzy episkopatami Polski i Niemiec z 1965 r. oraz Mszy Pojednania w Krzyżowej z 1989 r.".

WOJCIECH IWANOWSKI jest teologiem i pedagogiem, sekretarzem Fundacji Obserwatorium Społeczne i członkiem zespołu badawczego realizującego ten projekt.



FUNDACJA KRZYŻOWA DLA POROZUMIENIA EUROPEJSKIEGO / ANDRZEJ ŚLUSARCZYK

Tadeusz Mazowiecki i Helmut Kohl w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r.

Od „linii" do granicy

JACEK STAWISKI

35 lat temu Polska i Niemcy podpisały traktat o granicy. Była to realizacja celu, o który zabiegali polscy uczestnicy oddolnego dialogu z Niemcami przed 1989 r. Traktat otwierał drogę Polski do NATO i UE. Przypomnijmy ten czas.

Tymczasowość: to chyba najlepszy opis stanu politycznego i stanu emocji. Tych towarzyszących Polakom, którzy po 1945 r. zamieszkali w poniemieckich domach – często po utracie swoich domów na ziemiach wschodnich II RP, anektowanych przez Stalina.

Choć komuniści z Niemiec Wschodnich uznali granicę na Odrze i Nysie już w 1950 r., a 20 lat później uczyniły to Niemcy Zachodnie (z zastrzeżeniem, o czym za chwilę), to sprawa jej trwałości wracała w relacjach trzech państw i obu narodów – i nie była traktowana jako rozstrzygnięta. W Polsce budziło to niepokój – wyjątkowo zgodnie tak u władz PRL, jak też w społeczeństwie, opozycji i Kościele katolickim.

STRASZAK | Wprawdzie układ z 1970 r., zwany układem Gomułka–Brandt, był milowym krokiem na rzecz unormowania stosunków, ale w Niemczech Zachodnich jego ratyfikacja okazała się warunkowa – z zastrzeżeniem, że jeśli dojdzie do połączenia obu części Niemiec, to dopiero rząd przyszłego zjednoczonego państwa będzie mógł wypowiedzieć się wiążąco o granicy.

W PRL niemiecki „straszak" był więc często wyciągany przez władze komunistyczne – jako argument przeciwko reformom i demokratyzacji państwa. Uzasadniano, że mogłoby to osłabić sojusz ze Związkiem Sowieckim, gwarantem terytorium pojałtańskiej Polski. Władze PRL miały też świadomość, że uznanie granicy przez „bratnią" NRD ma charakter fasadowy, a przyszłość tego państwa może stanąć kiedyś pod znakiem zapytania.

Polacy, zwłaszcza mieszkańcy ziem zachodnich i północnych, mieli więc obawy, że granica może stać się znów elementem roszad w polityce europejskiej, jeśli dojdzie w niej do zmian. Niepewność i tymczasowość były po 1945 r. trwałym elementem relacji Polski i Niemiec, a granica – kluczową kwestią w tych relacjach.

CZYJ JEST SZCZECIN? | Kruchość tej granicy objawiła się zresztą już w 1945 r. – w Szczecinie. Opierając nowe granice na Nysie Łużyckiej i Odrze, powojenna Polska miała mieć w ich obrębie także to miasto, choć położone na lewym brzegu Odry.

Początkowo jego przyszłość nie była jednak przesądzona: i Niemcy (w tym niemieccy komuniści, wasalni wobec Moskwy), i alianci zachodni widzieli je w sowieckiej strefie okupacyjnej. Dopiero po paru miesiącach zamieszania Stalin zgodził się włączyć Szczecin do Polski.

Także droga do uznania granicy była skomplikowana. Na konferencji poczdamskiej w sierpniu 1945 r. Wielka Trójka (Roosevelt, Churchill i Stalin) ustaliła, że tereny poniemieckie na wschód od Odry i Nysy znajdą się pod administracją polską, ale trwałe ustalenie granicy zostanie potwierdzone dopiero na konferencji pokojowej (jak wiadomo, ta się nie odbyła – zniweczyła ją „zimna wojna").

Alianci zachodni przypominali władzom w Moskwie i Warszawie, że granica jest tymczasowa, co komuniści od razu wykorzystywali w walce z powojenną niepodległościową opozycją (dopóki mogła legalnie działać). Dostrzegając tę pułapkę, Polskie Stronnictwo Ludowe Stanisława Mikołajczyka poparło przesunięcie granic na zachód.

Także Watykan długo – aż do 1972 r. – był gotów akceptować polską administrację kościelną na tych ziemiach jedynie jako tymczasową.

„GRANICA PRZYJAŹNI" | Po tym, jak w 1950 r. PRL i NRD podpisały układ graniczny w Zgorzelcu (po czym, kilka miesięcy później, w specjalnym protokole wytyczono ją topograficznie na obu rzekach), komuniści z Warszawy i Berlina Wschodniego nazwali ją „granicą pokoju". Rząd Niemiec Zachodnich ignorował jednak układ zgorzelecki, USA i Wielka Brytania stały zaś na stanowisku, że dopiero konferen-

cja pokojowa może potwierdzić przebieg nowej granicy.

O tym, jak kruche było uznanie granicy przez NRD, bez przełożenia na akceptację społeczną, świadczy fakt, że w 1953 r., podczas kilkudniowego powstania antykomunistycznego w NRD, jednym z postulatów jego uczestników – w tym tych z Görlitz (po drugiej stronie Zgorzelca) – było przywrócenie starych granic.

Granica PRL–NRD była więc pilnie strzeżona, można było ją przekraczać rzadko. Niewiele było nawet urzędowych kontaktów po obu stronach nadgranicznych regionów.

„LINIA" ODRY | Dopiero druga połowa lat 60. przyniosła zmianę, a swój wkład wnieśli tu biskupi polscy i niemieccy i ich wymiana listów z 1965 r. Wtedy też PRL i RFN zaczęły nawiązywać ostrożne kontakty. A gdy w 1970 r. kanclerzem został socjaldemokrata Willy Brandt, RFN otworzyła się na uznanie granicy. Wcześniej nie używano tam nawet tego słowa – politycy i media mówili o „linii Odry i Nysy", obniżając jej rangę.

Idąc za zmianami w RFN, także Stany Zjednoczone zaczęły skłaniać się do tego, by uznać polski stan posiadania, o co zabiegał m.in. wpływowy już wtedy ekspert Zbigniew Brzeziński.

Konieczność uznania przez RFN polskiej granicy zachodniej popierały zarówno polski Kościół, jak i ośrodki emigracyjne. Herbert Hupka, działacz Związku Wypędzonych, próbował w Londynie nakłonić gen. Władysława Andersa do rozmów o konieczności zmian granicznych na wypadek zjednoczenia Niemiec i wyzwolenia się Polski z komunizmu. Anders odparł kategorycznie, że sprawa granicy jest poza dyskusją.

Efekty układu Gomułka–Brandt były ważne także dla życia codziennego. Odprężenie w Europie i ograniczona, ale jednak normalizacja relacji między PRL i NRD a bogatą RFN sprawiły, że Warszawa i Berlin Wschodni na osiem lat otworzyły się dla ruchu turystycznego. W efekcie w latach 1972-80 miliony Polaków i Niemców z NRD odwiedzały się wzajemnie.

Berlin Wschodni zamknął wprawdzie na powrót granicę jesienią 1980 r., po powstaniu Solidarności. Ale efekt „socjalistycznego Schengen" miał znaczenie dla poznania się Polaków i Niemców.

CZAS JEDNOCZENIA | W roku 1989 zmiany w Polsce i NRD nie przebiegały podobnie. O ile w Polsce i na Węgrzech zaczęły się wcześniej, o tyle NRD przeżyła własną rewolucję dopiero jesienią. Gdy zaś załamał się już reżim NRD, a granica RFN–NRD została otwarta, na porządku dziennym stanęła szybko kwestia zjednoczenia.

Pytanie, które zadawać zaczął sobie niekomunistyczny już rząd w Warszawie, brzmiało: w jakich granicach powstaną nowe Niemcy? Niepokój był duży – władze RFN, nadające ton tempu jednoczenia, w tym kanclerz Helmut Kohl, na początku nie chciały deklarować, iż kwestia granicy jest zamknięta. Kohl chciał pozyskać tym wsparcie tej części społeczeństwa niemieckiego, która wciąż nie pogodziła się z granicą na Odrze i Nysie. Potrzebował go w kontekście pierwszych ogólnoniemieckich wyborów, planowanych na grudzień 1990 roku.

Polska odwołała się do państw zachodnich i Związku Sowieckiego. Rząd Tadeusza Mazowieckiego odniósł sukces – i mocarstwa, które wciąż kontrolowały formalnie oba państwa niemieckie, potwierdziły, iż Niemcy jednoczą się w granicach RFN i znikającej NRD, ani centymetra dalej.

NOWA EPOKA | Półtora miesiąca po zjednoczeniu, 14 listopada 1990 r., Polska i nowe Niemcy podpisały układ o potwierdzeniu granicy. Po 40 latach, w nowych warunkach, granica – już nigdy więcej jakaś „linia" – stała się prawdziwą *Friedensgrenze*, granicą pokoju.

Już wiosną 1991 r. Niemcy zniosły wizy dla Polaków, a granica zaczęła na dobre łączyć. W czerwcu tego roku Polska i Republika Federalna zawarły zaś układ o przyjaźni i dobrym sąsiedztwie – realny fundament symbiozy w wielu obszarach.

Kilkanaście lat później, 1 maja 2004 r., rzeki Odra i Nysa stały się jedną z wielu wewnętrznych granic Unii Europejskiej. Chwilę później, w 2007 r., Polska przystąpiła do układu z Schengen, co oznaczało zniesienie kontroli paszportowych między Polską a Niemcami.

Ich niedawne przywrócenie przez rządy niemiecki i polski, motywowane presją migracyjną, to zatem, mimo wszystko, krok wstecz we współpracy obu społeczeństw, a także regionów nadgranicznych.

CEL NADRZĘDNY | Rok 1990 symbolizuje wielką zmianę w polsko-niemieckiej rzeczywistości. Traktat graniczny zamknął problem granicy, który po 1945 r. definiował relacje obu narodów. Szereg polskich rządów i przywódców w latach 90. postawiło na ścisłe relacje z Niemcami, widząc tym szansę na przyspieszenie integracji z Zachodem – cel wówczas nadrzędny.

Zamknięcie kwestii granicy i deklaracje o potrzebie pojednania i przezwyciężenia wrogości nadały więc nowy rytm tym relacjom. Po 1990 r. Niemcy dosyć szybko opowiedziały się za powiększeniem NATO i ówczesnej Wspólnoty Europejskiej o Polskę, dostrzegając konieczność takiej przebudowy Europy, która doprowadziłaby do tego, aby nowa RFN otoczona była sojusznikami.

Polska potrzebowała Niemiec także do przebudowy gospodarczej, a niemiecki biznes szybko zaczął wykorzystywać szansę nowego położenia państwa niemieckiego. Jeszcze w początku lat 90. obawiano się, że granica na Odrze i Nysie będzie miejscem pęknięcia cywilizacyjnego. Tak się nie stało i jest to sukces obu państw i społeczeństw. Od kilkunastu lat obszar Europy Środkowej plus Niemcy to potężny organizm gospodarczy.

BEZ NAIWNOŚCI | Po 1990 r. dominowało przekonanie, że Polska i Niemcy mają więcej wspólnych interesów niż rozbieżności. Przyjęcie takich założeń zaowocowało sukcesami Polski, w tym przyjęciem Polski do NATO i UE. Rozbieżności pojawiły się istotnie później, a za ich symbol można uznać budowę gazociągu Nord Stream i fatalną politykę Berlina wobec Rosji.

Nie znaczy to jednak, że w latach 90. XX w. inwestowanie w relacje polsko-niemieckie było naiwnością. Przeciwnie: było to wyciągnięcie wniosków z przekleństw ostatnich stuleci. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „TP". W listopadzie w wydawnictwie Znak ukazuje się jego książka „Trzecia transformacja, czyli historia odzyskana. Polska 1989-1995".

Lekcja dla Zachodu

STEVE CRAWSHAW

Europa musi nauczyć się słuchać, nie tylko mówić. Wspólny głos Polski i Niemiec może zakończyć epokę „Westplainingu" – patrzenia na Wschód z góry – i otworzyć nowy rozdział w europejskim myśleniu o bezpieczeństwie i odpowiedzialności.

Lawina radykalnych propozycji, które Donald Trump składa od czasu swojego powrotu do Białego Domu, wywróciła do góry nogami dotychczasowe polityczne pewniki. Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, podsumowała ten nowy porządek słowami: „Zachód, jaki znamy, już nie istnieje".

Bezprecedensowy transatlantycki rozłam spowodowany przez czterdziestego siódmego prezydenta Stanów Zjednoczonych tworzy oczywiście poważne problemy, ale jednocześnie staje się impulsem do długo oczekiwanych zmian.

Po tej stronie Atlantyku panuje przekonanie, że zamiast zabiegać o względy przywódcy kraju, który więzi swoich przeciwników i napada na sąsiednie, suwerenne państwo, popełniając tam zbrodnie wojenne, należy mu się przeciwstawić – nawet jeśli nowy prezydent USA zdaje się czasem mylić agresora z ofiarą.

Z drugiej strony państwa europejskie same nie zawsze miały jasność co do kierunku własnej polityki. Kanclerz Niemiec Gerhard Schröder nie był odosobniony, gdy twierdził, że Putin jest „demokratą w każdym calu".

WIELOKROTNE OSTRZEŻENIA

Odważna rosyjska dziennikarka Anna Politkowska od początku podważała tę łatwowierność Zachodu wobec przywódcy, który już na starcie swoich rządów dopuszczał się zbrodni wojennych – i miała rację. Jak pisałem w „Independent", gdy Putin świętował swoje pierwsze zwycięstwo wyborcze w 2000 roku: „Trudno zrozumieć entuzjazm państw zachodnich dla Putina (...) Sposób, w jaki prowadzi wojnę w Czeczenii, jest cyniczny i haniebny".

Politkowska pisała, że Putin ma obsesję „zdobycia i utrzymania władzy w swoich rękach" – obsesję, która mogła prowadzić do „tragedii, rozlewu krwi na masową skalę i wojen domowych". W 2006 r. została zamordowana w kamienicy, w której mieszkała – za to, że ujawniła zbyt wiele prawd.

Mimo tych i innych zabójstw zachodnie rządy wciąż traktowały Putina jak przywódcę zasługującego na szacunek. Rosja, jako stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ, wciąż symbolizowała globalną potęgę. Tymczasem obawy „mniej znaczących" państw – położonych bliżej rosyjskiej granicy i mających własne doświadczenia z imperialnymi ambicjami Moskwy – pozostawały lekceważone. Dawne mocarstwa kolonialne, kierując się filozofią „Westplainingu", pouczały Europę Środkowo-Wschodnią, jak działa świat. Świetnie mówiły, ale słabo słuchały.

CZEMU TO MA SŁUŻYĆ?

Kiedy kanclerz Gerhard Schröder i Władimir Putin uzgodnili budowę gazociągu przez Morze Bałtyckie, ówczesny polski minister obrony Radosław Sikorski porównał to porozumienie do paktu Ribbentrop-Mołotow, przypominając, że Polska jest „szczególnie uwrażliwiona" na umowy zawierane ponad jej głową. „Nie życzymy sobie powtórki z historii" – mówił, za co Bruksela udzieliła mu reprymendy za brak dyplomacji. Schröder, bliski przyjaciel Putina, do dziś nie okazuje z tego powodu skruchy. Inni jednak zrewidowali poglądy. Frank-Walter Steinmeier, obecny prezydent Niemiec, przyznał w roku 2022: „Upieraliśmy się przy kwestiach, w które Rosja już nie wierzyła i przed którymi ostrzegali nas nasi partnerzy".

Polska, państwa bałtyckie i inne kraje regionu od dawna ostrzegały przed imperialnymi zapędami Putina. Oskarżano je o przesadę. W 2021 r. estońska premier Kaja Kallas skrytykowała inicjatywę Niemiec i Francji, by zaprosić Putina na rozmowy do Brukseli: „Czemu to ma służyć?" – pytała. Emmanuel Macron odparł lekceważąco: „Czy jutro nadal będzie stała na czele rządu?".

Dziś europejscy przywódcy przyznają, że ostrzegające przed Rosją kraje regionu nie zachowywały się jak rozemocjonowane dzieci, które nie rozumieją świata. Nie były też chłopcem z bajki Ezopa, który wzywał pomocy przed nieistniejącym wilkiem. Wilk istnieje – dowodzi tego pełnoskalowa inwazja na Ukrainę i coraz śmielsze prowokacje, jak pojawianie się rosyjskich dronów nad Polską i innymi państwami.

WSPÓLNY GŁOS

Kallas – dziś szefowa unijnej dyplomacji – przywołała postać Neville'a Chamberlaina, który w 1938 r. ogłosił „pokój naszych czasów" po zgodzie na zajęcie Sudetów

MATERIAŁ PROMOCYJNY

przez Hitlera. „Historia lat 1938--1939 uczy, że jeśli agresja gdzieś przynosi efekty, to opłaca się użyć jej także gdzie indziej" – mówiła.

A jednak nawet dziś dla wielu wyborców w Europie Zachodniej Ukraina wciąż pozostaje „odległym krajem". Choć wspierają ją z pozornie altruistycznych powodów, często nie dostrzegają, że od Putina zależy stabilność całego kontynentu. Jak zauważył „New York Times" w 2022 r.: „Już nikt w Europie nie mówi Polsce, by zamilkła".



Wspólny głos Polski i Niemiec może okazać się kluczowy dla przyszłej stabilizacji Europy. Historyczne doświadczenia obu państw każą im wspierać istnienie Międzynarodowego Trybunału Karnego – instytucji uprawnionej do sądzenia zbrodni wojennych na całym świecie, która wydała nakaz aresztowania Władimira Putina za zbrodnie na Ukrainie oraz Beniamina Netanjahu za działania w Strefie Gazy. Rządy nie powinny traktować takich nakazów wybiórczo, w zależności od własnej wygody. Jak przypominał Robert H. Jackson, główny amerykański oskarżyciel w procesach norymberskich, sprawiedliwość może „powstrzymać odruch zemsty" i tym samym zapobiec nowym konfliktom. Osiemdziesiąt lat później słowa te pozostają aktualne – w Ukrainie, Gazie, Syrii i w wielu innych miejscach świata.

Na razie Putinowi nie grozi aresztowanie, lecz świat potrafi się zmieniać. W 1992 r., gdy spotkałem prezydenta Serbii Slobodana Miloševicia, był przekonany, że nigdy nie stanie przed sądem. Dziewięć lat później został wydany trybunałowi w Hadze, gdzie zmarł, skazany za zbrodnie przeciwko ludzkości i ludobójstwo. W marcu 2025 r. Rodrigo Duterte, prezydent Filipin, kpił z Międzynarodowego Trybunału Karnego podczas wizyty w Hongkongu – po powrocie do kraju został aresztowany i odesłany do Hagi. Zmiana jest zawsze możliwa.

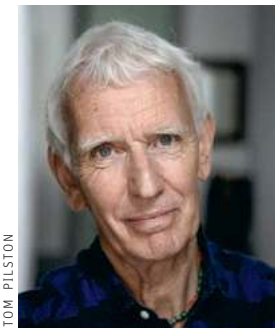
ŹLI NIE RZĄDZĄ WIECZNIE

Pamiętam, jak podczas moich wizyt w Polsce w latach 80. wielu zachodnich polityków uważało, że czołgi raz na zawsze zniszczyły nadzieję na demokrację, a polscy opozycjoniści są naiwni. Tymczasem – jak pisał Czesław Miłosz we wstępie do angielskiego wydania „Listów z więzienia" Adama Michnika – są tacy, którzy „przeciwstawiają się niezmiennemu, jak by się mogło wydawać, stanowi rzeczy" i „osiągają to, co jawi się jako niemożliwe". Cztery lata później niemożliwe stało się faktem: w Polsce powstał rząd Solidarności, a wkrótce runął mur berliński.

Więziony rosyjski opozycjonista Władimir Kara-Murza wyraził podobną wiarę w przemianę, gdy w 2024 r. został wydalony z Rosji. W samolocie agent FSB poradził mu, by spojrzał za okno, bo to ostatni raz, gdy widzi swój kraj. Kara-Murza odparł: „Jako historyk wiem, że wrócę do Rosji. Szybciej, niż się panu wydaje".

Podważanie przez prezydenta Trumpa podstawowych zasad NATO sprawia, że Europejczycy muszą dziś traktować bezpieczeństwo kontynentu z niespotykaną dotąd powagą. Historia nauczyła Polaków i Niemców lepiej niż kogokolwiek innego, że źli przywódcy nie rządzą wiecznie. W czasach, gdy w Waszyngtonie zabrakło moralnej busoli, szczególna odpowiedzialność spoczywa właśnie na tych dwóch krajach – by, czerpiąc z własnych doświadczeń, okazały przywództwo i zachęciły resztę Europy do wyciągnięcia podobnych lekcji z historii. ©

Tłumaczenie PIOTR PIEŃKOWSKI


TOM PILSTON

STEVE CRAWSHAW *– autor książki „Ukarać bezkarnych. Zbrodnie wojenne i walka o sprawiedliwość" (Znak, 2025). Były redaktor działu Europy Wschodniej i główny korespondent zagraniczny dziennika „Independent", a później dyrektor brytyjskiego biura Human Rights Watch i pracownik Amnesty International. Autor m.in. „Goodbye to the USSR", „Easier Fatherland: Germany and the Twenty-First Century" oraz „Street Spirit: The Power of Protest and Mischief" (ze wstępem Ai Weiweia).*

WIARA

KSIĘŻA NIEDOSZLI

Seminaria duchowne świecą pustkami. Czy to „kryzys powołań", czy może instytucji, która nie radzi sobie z przemocą i klerykalizmem?

IGNACY DUDKIEWICZ

Czytałem artykuł o młodym księdzu, który zastrzelił się na pierwszej parafii, a jego proboszcz ma zarzuty prokuratorskie w sprawie o znęcanie się – opowiada Bartek, wspominając tekst Piotra Żytnickiego z „Gazety Wyborczej". – Uderzyła mnie opowieść matki tego wikarego. Gdy syn powiedział, że chce zostać księdzem, prosiła, by dał sobie rok na zastanowienie. Pomodliłem się za niego, a chwilę później pojawiła się natrętna myśl: „Dobrze, że ja w końcu do seminarium nie poszedłem".

Szczególnie wybrani

Z Bartkiem kontaktuje mnie Maciek, który napisał do mnie, by podzielić się refleksjami po lekturze „Pastwiska" [głośna książka Ignacego Dudkiewicza o Kościele – red.]. Ma 21 lat i księdzem chciał być od zawsze. – Te opowieści o znanych kapłanach, którzy już w dzieciństwie zakładali szalik i odprawiali „mszę" z użyciem wafelków, to sceny z mojego domu – mówi Maciek. Szedł standardową drogą: ministrant, lektor, ceremoniarz, oazy... Czuł, że Bóg go woła. Pojechał na rekolekcje powołaniowe organizowane przez diecezjalne seminarium.

– Tam poczułem, że ten sam Bóg mówi mi: poczekaj, jeszcze nie teraz. To było trzy lata temu, potem byłem na rekolekcjach w dwóch zakonach, czytałem o wielu innych, a dziś już nie jestem pewien, czy kiedyś przyjdzie „ten moment".

Bartek, lat 23, przeszedł przez podobne etapy co Maciek, ale już zdecydował, że księdzem nie będzie, choć długo był przekonany, że nie ma dla niego innej drogi. Na pierwszych rekolekcjach powołaniowych był zniesmaczony.

– Ksiądz wkładał nam do głów, że zostaliśmy wybrani, ukochani w szczególny sposób, że to najlepsza, wyższa droga do Boga. A ja wyrosłem w duchu Domowego Kościoła, w którym małżeństwo nie jest ułomną wersją życia, podobnie zresztą jak bycie niekonsekrowanym singlem. Pomyślałem, że nie chcę iść do seminarium w mojej diecezji, skoro są tam tacy ojcowie duchowni, ale nie zamknąłem się na kapłaństwo. Szukałem dalej – opowiada. Maćka spotkał w trakcie rekolekcji w jednym z zakonów. Z Tomkiem, który także zgodził się ze mną porozmawiać, nawiązali kontakt przez katolicką grupę w mediach społecznościowych, gdzie podzielił się swoją historią rozeznawania powołania.

– Odprawianie mszy w domu? Przebieranie się za księdza? Nic takiego – mówi Tomek. – Ja rzadko kiedy widziałem księdza w kościele.

Jego rodzice są niewierzący, został ochrzczony, jak sam opowiada, „z automatu", do pierwszej komunii poszedł „z rozpędu", ale już bierzmowania nie przyjął wtedy, kiedy część jego rówieśników, tylko kilka lat później. Do Kościoła zbliżył się na studiach, zaczął czytać, słuchać, uczęszczać na liturgię. Mówi, że gdy wyznał wiarę w Chrystusa, przepadł.

– Był w tym zapał neofity: wszystko wydawało mi się wspaniałe, chodziłem, na co się dało, co chwila dołączałem do nowych wspólnot, próbowałem ewangelizować rodziców. Ale myśl o kapłaństwie przyszła kilka lat później, gdy moja wiara stała się mniej żywiołowa, za to dojrzalsza – mówi.

Dziś ma 27 lat, skończone studia, pracę i plany na zostanie księdzem zostawione za sobą. Mimo że też jeździł na rekolekcje, rozmawiał, modlił się i szukał.

Kapłańska ruletka

Dlaczego zrezygnowali z pójścia do seminarium? Ich historie, choć różne, mają punkty wspólne.

W „Pastwisku" ks. Grzegorz Strzelczyk wskazywał, że przepracowanie zmiany w podejściu do przemocy to jedno z wyzwań, przed którymi stoją duchowni starszych pokoleń, w tym biskupi: „Byli wychowywani w kulturze, w której przemoc była naturalnym narzędziem wychowawczym i mało kto traktował ją jako coś niewłaściwego (...). Dla kogoś, kto przeżył wojnę, dostanie linijką miało pomijalne znaczenie. Ktoś, kto obserwował strzelanie do ludzi (...) po ogłoszeniu stanu wojennego, mógł mieć większe problemy z przyjęciem, że upokarzanie współpracowników to też przemoc. To wszystko sprawia, że osoby starsze, a do takich należą hierarchowie w Kościele, mają strukturalną trudność w zrozumieniu, o czym mówimy, gdy twierdzimy, że relacje w Kościele bywają przemocowe".

– Wiem, że nie wszędzie relacje wyglądają tak jak w parafii, w której zastrzelił się wikary. Ale wiem też, że samobójstw jest więcej i że skala przynajmniej nie-

LECH GAWUC / REPORTER



Dzień otwarty w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym św. Jana Chrzciciela w Warszawie.

odpowiedniego traktowania młodych księży jest znacząca – mówi Bartek.

– To się powoli zmienia, również dlatego, że nie ma chętnych do kapłaństwa, więc młodych trzeba szanować bardziej niż kiedyś – dodaje Maciek. – Ale wciąż to zbyt podobne do ruletki. Jak trafisz na wspierającego proboszcza, to urośniesz, ale jak na przemocowca, to przepadłeś, a nie masz na to żadnego wpływu.

Dosadniej mówi Tomek: – Mój ojciec jest lekarzem. Gdy trwał protest rezydentów, mówił, że „młodym się w dupach poprzewracało", bo wszyscy przez to przechodzili: byli „jechani" przez przełożonych, pracowali ponad siły za grosze i dzięki temu są przetrenowani, ale w końcu zaczęli dobrze zarabiać. Trudno wyzwolić się z mechanizmu fali, jeśli się ją zracjonalizowało. A z rozmów z księżmi wnoszę, że takie mechanizmy zdarzają się także w Kościele. Nie w większości miejsc, ale zbyt często, bym był gotów zaryzykować.

Bez sensu

– Jako ksiądz zaraz po święceniach na ogół nic nie możesz. Choćbyś miał świetne pomysły, zapał i energię, będziesz uwięziony w „tradycyjnym kapłaństwie", a więc dziś głównie w pogrzebach – kontynuuje Tomek. Zrezygnował z seminarium także dlatego, że ma wątpliwości, czy wobec postępujących procesów społecznych oraz marazmu w obrębie instytucji kościelnych bycie księdzem ma jeszcze ewangelizacyjny sens. – Bóg chce, bym robił dla Niego coś innego. Więc szukam: czy to będzie nowa wspólnota, działanie dla wykluczonych, czy głoszenie w jakiś nowy, nieznany jeszcze mi sposób.

Maciek również pyta o sens: – Wiernych coraz mniej, księży coraz mniej. To mógłby być argument, że tym bardziej warto, bo ktoś musi sprawować sakramenty, ale czasem pytam siebie: dla kogo miałbym je sprawować za 30 lat? Czy nie ↦

↦ będę bardziej zarządcą nieruchomości albo konserwatorem zabytków, zastanawiającym się, co zrobić z kilkoma kościołami po połączeniu parafii?

– Utrzymywanie obecnego stanu Kościoła, hamowanie reformy, brak rozliczeń nadużyć, niedopuszczanie świeckich do podejmowania decyzji, klerykalizm silniejszy niż w wielu innych miejscach świata – to wszystko sprawia, że chrześcijaństwo musi szukać nowych dróg, jeśli chce ocaleć w Europie, w tym w Polsce – ocenia Bartek. – Konserwowanie instytucji z jej hierarchiami, zależnościami i nieprzystawaniem do współczesności niczemu nie służy. A zwykły ksiądz nie ma żadnych narzędzi, by to zmieniać. Może więc lepiej poczekać, aż ziarno obumrze, może wtedy wyda nowy plon?

Wszyscy trzej zaprzeczają przy tym, gdy pytam, czy powodem rezygnacji z kapłaństwa są dla nich kwestie doktrynalne albo celibat. Maciek i Tomek mówią, że nauczanie Kościoła w większości spraw uważają za słuszne. W tych, w których mają wątpliwości, cierpliwie czekają na rozstrzygnięcia odpowiednich kościelnych instytucji. Mają też nadzieję na przynajmniej nowe praktyki duszpasterskie, bardziej otwarte na ludzi w różnych sytuacjach i dokonujących różnych wyborów. Bartek przyznaje, że wątpliwości ma wiele, ale przekonuje też, że to, co go z nauczaniem Kościoła łączy, jest „niewyrażalnie większe" od tego, co go z nim dzieli. Dlatego nie miałby doktrynalnego problemu, by zostać księdzem i uczestniczyć w wewnątrzkościelnej debacie o poszczególnych elementach doktryny.

Co ludzie powiedzą

Jednocześnie moi rozmówcy przyznają, że nauczanie i wizerunek Kościoła bywają problemem dla ludzi z ich otoczenia. I to również zmniejsza ich chęć zostania księżmi.

– Rozmawiamy anonimowo, więc przyznam szczerze: argumentem przeciw pójściu do seminarium jest też wyobraźnia podsuwająca obrazy drwiących uśmieszków kolegów. To nie powinno być istotne, ale jest. Dlaczego miałbym udawać, że społeczny odbiór nie ma znaczenia, skoro zawsze miał? – tłumaczy się Maciek.

Tomek dodaje, że jego rodzice nie najlepiej przyjęli jego religijną przemianę, więc tym bardziej trudno byłoby im pogodzić się z tym, że zostałby księdzem. – Babcia byłaby dumna i to jest dobry symbol tego, o czym rozmawiamy. Bo już rodzice byliby rozczarowani, a koledzy spoza wspólnot katolickich zszokowani i rozbawieni. Księdzem?! Dziś?!

> Coraz więcej osób nie oczekuje gotowych odpowiedzi, lecz **szuka własnej drogi duchowej.** Instytucjonalny Kościół staje się dla nich przestrzenią ograniczenia, a nie wolności.

Gdy pytam o podobne obawy Bartka, przyznaje, że również je ma. – Nie były dla mnie decydujące, ale rzeczywiście: kiedyś argument „co ludzie powiedzą" działał przeciw odejściu z seminarium czy z kapłaństwa, a dziś to argument przeciw wstąpieniu do niego. Kiedyś to był awans społeczny, dziś coraz częściej to obciach.

Znak sprzeciwu

O powtarzające się elementy opowieści – strach przed strukturalną przemocą, wątpliwości co do sensu posługi kapłańskiej w zmieniającym się świecie i niezmieniającym się Kościele oraz zmianę społecznej pozycji księdza – pytam byłego członka władz jednego z seminariów, który ostatecznie poprosił o anonimowość. Przyznaje, że temat jest delikatny i nie jest pewien, czy jego słowa zostałyby odpowiednio odczytane.

– Kandydaci zawsze byli różni i zawsze mieli różne motywacje. Najważniejszą grupę, tak wierzę, zawsze stanowią ludzie idący do kapłaństwa z powołania, ale przez lata do seminariów pukali także koniunkturaliści, pragmatycy, ludzie poszukujący społecznego awansu czy radzący sobie w ten sposób z problemami, na przykład strachem przed relacjami intymnymi – opowiada duchowny. – Teraz częściej niż kiedyś trafiają się kandydaci, dla których kapłaństwo to swoisty przejaw kontrkultury, przynajmniej w wymiarze pokoleniowym. Nie idą do seminariów, by zyskać poklask, bo się go nie spodziewają. Mamy też więcej niż kiedyś kandydatów idących do seminarium kilka lub kilkanaście lat po maturze. Albo więc ich decyzja jest dojrzałym aktem wyboru tej drogi pomimo wielu argumentów przeciw, albo, niekiedy, wyrazem buntu, chęcią zademonstrowania swej odrębności i niezależności.

Duchowny dodaje, że czasem oznacza to radykalizm i hołdowanie skrajnościom w poglądach na tematy kościelne czy polityczne.

– Tym, czego najbardziej mi szkoda po lekturze opisanych historii, to fakt, że kandydaci umiarkowani, ale zaangażowani, refleksyjni i poszukujący, tak bardzo nam potrzebni w obecnych czasach, by towarzyszyć poszukującym i zagubionym wśród wierzących, nawet nie dają sobie szansy, by sprawdzić w seminarium, czy na pewno nie jest to droga dla nich. Choć powody ich decyzji rozumiem.

Własna droga

Rozmawiam także z dr Martą Kołodziejską, badaczką religii z Wydziału Socjologii UW.

– W opisanych historiach widać splot kilku procesów, które redefiniują religijność w Polsce. Pierwszym jest indywidualizacja wiary. Coraz więcej osób nie oczekuje już gotowych odpowiedzi i sztywnych struktur, lecz szuka własnej drogi duchowej. To sprawia, że instytucjonalny Kościół, z jego hierarchią i zasadami podporządkowania, dla wielu młodych staje się przestrzenią ograniczenia i potencjalnej przemocy, a nie wolności, zwłaszcza gdyby mieli wejść w jego struktury – komentuje.

Drugim zjawiskiem, na które wskazuje Kołodziejska, jest zmieniająca się pozycja autorytetu religijnego. – Dziś ksiądz jest bardziej kontrolowany przez wiernych, którzy oczekują, że będzie służyć wspólnocie, a nie nią rządzić. Ci, którzy mimo społecznych trendów zostają w Kościele, częściej robią to z przekonania i oczekują zmian, współodpowiedzialności, partnerskiej relacji z duchowieństwem. To rodzi nowe wyzwania dla księży wychowywanych w starym modelu.

– To, o czym mówią mężczyźni, którzy zrezygnowali z pójścia do seminarium, a więc obawa przed społeczną reakcją, jest pokłosiem tych zmian. Tym silniej odczuwanym, że laicyzacja najszybciej za-

chodzi w najmłodszych pokoleniach. W efekcie kapłaństwo może wiązać się nie z prestiżem, ale z ryzykiem społecznego wyobcowania, zwłaszcza wobec starzenia się wspólnot parafialnych – dodaje badaczka.

Czego chce Bóg

Pytam moich rozmówców, co chcieliby powiedzieć mężczyznom rozważającym wstąpienie do seminarium.

– Dziś i tak każdy chłopak wiele razy się zastanowi, zanim zdecyduje się na seminarium. Czy chce ryzykować, że wpadnie w struktury przemocowe i hierarchiczne bez możliwości ruchu? Czy jest gotów na bardzo ciężką pracę, być może bez efektów, a na pewno ze słabnącym społecznym uznaniem? Czy jest gotów się zmierzyć z reakcjami otoczenia? – odpowiada Bartek. – Wierzę, że Bóg nie chce takiego kształtu kapłaństwa i Kościoła. A jeśli chce, to trudno: ja się w takim kapłaństwie nie mieszczę.

– To nie moja droga, ale nie twierdzę, że to nie jest droga dla nikogo. Polecam tylko długi namysł, świadomy wybór diecezji lub zgromadzenia, danie sobie czasu. Jeśli Bóg woła kogoś do kapłaństwa i ma na niego pomysł, nawet przy wszystkich trudnościach, o których mówimy, to nie przestanie go wołać tylko dlatego, że ktoś da sobie rok więcej na zastanowienie – mówi Tomek.

Maciek się uśmiecha. – Pytasz, co bym powiedział samemu sobie? Trzy lata szukam odpowiedzi, ale wciąż jej nie znalazłem. Może za rok napiszesz do mnie i okaże się, że wstąpiłem do seminarium. Powiedziałbym więc: Maćku, ufaj sobie i ufaj Bogu, niezależnie dokąd cię te głosy prowadzą. Mocno zapamiętałem zdanie, które kiedyś usłyszałem: „Seminarium jest po to, żeby z niego odchodzić". Czasami jest po to, żeby do niego nie wstępować. Mam nadzieję, że jeśli kiedyś zostanę księdzem, to tak ugruntowanym, że żadne trudności mnie nie złamią.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Imiona bohaterów zostały zmienione.

Autor jest redaktorem Magazynu „Kontakt" i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem".

O odpustach zwyczajnie

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

RELIGIJNE PRAKTYKI | Czy średniowieczna praktyka odpustów ma dzisiaj jeszcze sens? Kolejni papieże jej bronią. Zobaczmy, czy skutecznie.

Latem tego roku z grupą przyjaciół poszliśmy na pielgrzymkę po kościołach jubileuszowych na Dolnym Śląsku. Pewnego popołudnia ktoś zapytał: „A o co chodzi z tymi odpustami, które można zyskać za odwiedzenie takiego kościoła?". Wywiązała się z tego teologiczna dysputa tak gorąca, że mało się nie pokłóciliśmy.

Okazuje się, że wielu pobożnych wierzących „zbiera odpusty, bo trzeba", ale zarazem uważa je za średniowieczny relikt, który nie ma żadnego związku z codziennym życiem. Sam św. Tomasz z Akwinu cytował w „Sumie teologicznej" pewien zarzut, o dziwo wciąż żywy, że „Kościół posługuje się pobożnym podstępem, by skłonić ludzi do dobrego postępowania, podobnie jak to czyni matka, obiecując dziecku jabłko, by skłonić do chodzenia". Ponieważ trudno inaczej pobudzić wiernych do modlitwy, dzieł miłosierdzia, pielgrzymek i nabożeństw, przyobiecano im za te akty rodzaj religijnej gratyfikacji.

Zawiła doktryna

Niektórzy w ogóle odrzucają tę praktykę, bo kojarzy im się z kupczeniem odpustami, piętnowanym przez Marcina Lutra. Podzielam opinię Karla Rahnera, który w artykule poświęconym tej tematyce twierdzi, że dla wielu katolików odpust jest egzystencjalnie martwy, a zawdzięczamy to głównie niezwykle zawiłej doktrynie o odpustach. Jan Paweł II w katechezie o odpustach z 1999 r. nie tylko przyznaje, że „jest to temat nader delikatny", ale też stwierdza, że stał się w przeszłości źródłem wielu nieporozumień i podziałów. I także dziś wymaga solidnej podstawy i dopracowania. Kłopot w tym, że przeciętny wierzący nie jest teologiem, który porusza się po różnych labiryntach doktryny Kościoła, której częścią jest także nauka o odpustach.

Problem polega też na tym, że ich uzasadnienie odwołuje się do języka i mentalności nam już obcej, albo przynajmniej nieczytelnej. I o ile, jak słusznie pisze dominikanin Tomasz Gałuszka, kara u św. Tomasza z Akwinu, na którym opiera się też nauka o odpustach, ma zawsze wymiar naprawczy i leczniczy, to my dzisiaj kary tak nie postrzegamy, zwłaszcza w odniesieniu do Boga.

Sam akt odpustu pierwotnie pochodził z władzy świeckiej. Władcy łaskawie udzielali „skrócenia" kar więźniom analogicznie do tego, jak dzisiaj nasz prezydent ułaskawia winnych. W Kościele u początku odpustami nazywano absolucje, czyli rozgrzeszenie tuż po spowiedzi, bez konieczności uprzedniej pokuty. Ale można śmiało powiedzieć, że już wtedy były one interwencją Ducha Świętego, który przebił się przez surowość bądź teologiczną niedojrzałość Kościoła. Pokuty nakładane w spowiedzi indywidualnej, zgodnie z „taryfami" ksiąg penitencjarnych, urosły do takich rozmiarów, że stały się niewykonalne. Wtedy Kościół zaczął „łaskawie" je skracać lub anulować. Nawiasem mówiąc, lektura tych ksiąg jest pasjonująca. Można się bowiem dowiedzieć, że grzeszyliśmy, choć o tym nawet nie wiedzieliśmy, albo jak jeszcze „twórczo" możemy zgrzeszyć, głównie przeciwko VI przykazaniu Dekalogu. Co oznacza, że Kościół w dobrej wierze tworzył chorobę, by potem heroicznie przepisać na nie wiernym zbawienne lekarstwo.

Co to jest kara doczesna

Do tej pory odpusty da się jakoś teologicznie pojąć. Sprawa się gmatwa, gdy zderzymy się z ich współczesną katechizmową definicją: „Odpust to darowanie przed Bogiem kary doczesnej za grzechy, zgładzone już co do winy" (KKK, 1471). W pewnym momencie, i tak pozostało ↦

↦ do dzisiaj, winę oddzielono od kary za grzechy, a odpusty od sakramentu pokuty. Schody zaczynają się, gdy próbujemy zrozumieć, czym jest kara doczesna i dlaczego nagle nie zostaje odpuszczona wraz z winą w sakramencie pokuty (a tak było w czasach ojców Kościoła), lecz musi być zgładzona pozasakramentalnie, choć bez pewności związanej ze skutecznością sakramentów.

Trudno też stłumić w sobie pytanie, dlaczego Bóg „może" odpuścić karę wieczną i pojednać ze sobą, ale już „nie może" tego uczynić z karami doczesnymi? Jakby Boże przebaczenie dotyczyło, nie wiedzieć czemu, tylko Jego „domeny" – nieba, ale ziemi już nie. Czyżby była poza zasięgiem Boga (choć wcześniej pozostawała w Jego zasięgu)? Co więcej, niełatwo oprzeć się wrażeniu, że wobec tego kara wieczna i niepojednanie z Bogiem są złem „mniejszego kalibru" niż kara doczesna.

Niewyczerpany skarbiec Kościoła

Co więcej, odpusty udzielane są tylko ze względu na niewyczerpany skarbiec Kościoła, w którym są zgromadzone zasługi Chrystusa i wszystkich świętych. Zasługi te są przydzielane wiernym na ziemi, ale ze skutkiem w niebie. Należy docenić, że nawiązanie do zasług i modlitw świętych uwypukla Kościół jako Ciało Chrystusa, w którym jako różni członkowie czy na ziemi, czy w niebie, nawzajem sobie pomagamy. Niemniej łatwo tutaj wpaść w kołowrót zasług i kar, bo choć utrzymuje się, że to nie przepisane uczynki skutkują udzieleniem odpustu, lecz tylko zaczerpnięcie ze skarbca Kościoła, to w takim razie po co należy spełniać te uczynki? Pikanterii dodaje fakt, iż według św. Tomasza z Akwinu odpusty same w sobie nie sprawiają zmniejszenia kar doczesnych, ale to udzielający ich spłaca ten dług Bogu, czerpiąc ze wspólnych dóbr Kościoła.

Chociaż Jan Paweł II postuluje, że praktyka odpustu powinna być „dobrze zrozumiana", to jednak w swojej katechezie odwołuje się do... tradycyjnego podejścia, które nadal niewiele wyjaśnia. Wprawdzie jako pierwszy papież zaznacza, że dzisiaj należy mówić raczej o negatywnych konsekwencjach, które pozostawia w nas i w innych grzech, niż o karach doczesnych, jednak, paradoksalnie, to jeszcze bardziej zaciemnia sprawę.

Dlaczego? Papież stwierdza, że „kary doczesne" mają na celu całkowite uzdrowienie człowieka. Jednak termin „kara wynagradzająca", która ma to sprawić i do której odwołuje się Jan Paweł II, w ogóle nie kojarzy się ze skutkami grzechów, lecz z jakimś rodzajem prawno-transakcyjnej windykacji. Odpusty nie udzielają przebaczenia ani zbawienia. Zakładają nieustanne nawrócenie wierzącego. Nie wyręczają człowieka z wysiłku oczyszczania się ze skutków grzechu. Jednak, jak zaznacza Jan Paweł II, dzięki modlitwie Kościoła zmniejszają bolesny aspekt kary, pogłębiając jej wymiar leczniczy przez inne rodzaje działania łaski. A więc w odpuście prosimy Boga o lżejszy „zamiennik" kary, tudzież mniej dokuczliwą „metodę leczenia".

Natężenie Bożej sprawiedliwości

Paweł VI w konstytucji apostolskiej o odpustach stwierdza, że „łagodzą one sprawiedliwość Bożą", co wywołuje myśl, jakby Boga nieco poniosło. Modlitwa Kościoła staje się wtedy uosobieniem Matki Bożej z naszej pieśni, której wstawiennictwo zmniejsza ilość razów wymierzonych grzesznikowi przez „rozgniewanego Ojca". Skąd to założenie, że Bóg najpierw jest bardziej surowy, ale gdy się Go przebłaga, to pojawia się szansa, że z dwóch rodzajów kar wybierze ostatecznie te lżejsze dla człowieka? Dlaczego niebo najpierw miałoby stosować karę bardziej bolesną, skoro później możliwa jest kara „skuteczniejsza" leczniczo i zarazem mniej przygniatająca człowieka, jeden Bóg raczy wiedzieć.

Pojawia się tutaj jeszcze inne błędne koło. Z jednej strony, współcześni biblisci, ale też papieże zgodnym chórem zamiast kary doczesnej wolą mówić o „skutkach grzechu", którymi mogą być np. poczucie straty, rany zadane sobie i innym, niezgoda między ludźmi, przywiązania itd. Jednak kiedy zajrzymy do „Sumy teologicznej" św. Tomasza z Akwinu i do jego koncepcji wyrównania sprawiedliwości, na której opiera się też nauka o odpustach, nie sądzę, aby Akwinata myślał tak, jak Jan Paweł II. Gdy mowa o „karach doczesnych", wydaje się, że oprócz „konsekwencji grzechu" dochodzi jeszcze „osobna kara".

Św. Tomasz z Akwinu pisze bowiem, że kara ma dwa wymiary: wyrównujący naruszony porządek sprawiedliwości oraz leczniczy. Co do pierwszego wymiaru czytamy, że „jako kara należy się tylko za grzech, gdyż kara ma przywrócić równość, jakiej wymaga sprawiedliwość, którą grzesznik naruszył, nadużywając swej woli". Chodzi o wyrównanie porządku rzeczywistości. Jeśli więc kara doczesna to tylko konsekwencja grzechu, jak chce Jan Paweł II, to wtedy popadamy w absurd: bo nieprzyjaźń między ludźmi wywołana grzechem miałaby być „wyrównaniem pogwałconej sprawiedliwości". Kara doczesna jest więc czymś dodatkowym oprócz konsekwencji grzechu rozumianej tak, jak przedstawił to Jan Paweł II w katechezie.



W duchu Starego Przymierza

Wątpliwość budzi też biblijne uzasadnienie „kar doczesnych", które pochodzi niemal wyłącznie ze Starego Przymierza, gdzie aż roi się od różnego rodzaju kar, niemal za każde wykroczenie. Jan Paweł II odwołuje się m.in. do Dawida, któremu Bóg uśmierca dziecko w zamian za cudzołóstwo i zabójstwo męża Batszeby. W jaki sposób śmierć niewinnego dziecka miałaby dzisiaj być przyjęta jako argument za „wyrównaniem" naruszo-



PHILIPPE LISSAC / GODONG / UNIVERSAL IMAGES GROUP / FORUM

Pielgrzymi wchodzący przez Porta Santa do bazyliki św. Piotra w Rzymie w Roku Jubileuszowym 2025.

nego porządku tego świata i zadośćuczynieniem boskiej sprawiedliwości, jakkolwiek ją pojmować – doprawdy, nie wiem.

A co z ewangelicznym uzasadnieniem? Próżno go szukać w pismach teologów i w papieskich katechezach. Czy objawienie Boga w Jezusie rzeczywiście potwierdza wszystko, co czytamy w Starym Przymierzu? Gdy Jakub i Jan chcieliby rzucić ogień z nieba na niegościnne miasteczko samarytańskie, Jezus gromi nie Samarytan, lecz swoich uczniów – „synów gromu". Nie widać jakoś, aby Jezus kazał dobremu łotrowi odpokutować jeszcze „kary doczesne", tylko obiecuje mu natychmiastowy raj. Owszem, zawsze można twierdzić, że Jezus w ramach wyjątku (bo przecież jest Bogiem, to może) obdarzył złoczyńcę odpustem zupełnym. Bliższa mi jest jednak intuicja Jana Pawła II, który we wspomnianej katechezie pisze, iż „ukrzyżowany Jezus jest wielkim »odpustem« ofiarowanym przez Ojca ludzkości". Pytania i wątpliwości się mnożą.

Odpust w zbiorowej świadomości katolików nadal odwołuje się zarówno do idei zaburzonego porządku, jak i do czyśćca. Niestety, czyściec postrzegany bywa jako „lepsze piekło", a wymierzanie kar doczesnych przez Boga nieuchronnie kojarzy się z „Bogiem, który jest nierychliwy, ale sprawiedliwy". Nawet w pobożnych pieśniach czyściec to „więzienie", gdzie dusze wyrównują naruszoną boską sprawiedliwość. Nie można też ukryć, że niemalże cała doktryna o odpustach do dzisiaj opiera się na pismach św. Tomasza z Akwinu, który próbował połączyć społeczną sprawiedliwość i zagwarantowanie porządku społecznego z objawieniem.

Nie mam wątpliwości, że nauka o odpustach domaga się głębokiego teologicznego przepracowania. Jak by nie patrzeć, w obecnej postaci jest także odpryskiem prawno-moralnej fiksacji cywilizacji europejskiej na winie i karze. Myślę, że odpusty wpadły w tę samą pułapkę, co anzelmiańska teoria zadośćuczynienia, gdzie święty próbuje w oparciu o rozum wyjaśnić, dlaczego Jezus umarł na krzyżu. Wszystko kręci się tam wokół „odcierpienia" nieskończonej obrazy Ojca, który oczekiwał satysfakcji. Dziś w teologii takiej perspektywy nie sposób utrzymać. Co ciekawe, obecnie papieże wzywają do poniechania kary śmierci na rzecz dożywotniego więzienia, także dlatego, że Ewangelia odchodzi od prawa talionu (czyli zasady „oko za oko, ząb za ząb"). W jaki bowiem sposób kara śmierci ma przywrócić porządek i uleczyć skutek grzechu, którym jest śmierć zabitej osoby i jej strata wśród bliskich, tego naprawdę trudno dociec.

Sprawiedliwość kontra miłość

Prawo odwołuje się do winy i kary. Natomiast miłość skupia się najpierw na relacji. Zamiast języka jurydycznego rodem z sądów i prokuratury, rzutowanego na niebo, należałoby włączyć w doktrynę o odpustach mistyczny aspekt wiary. Mistycy chrześcijańscy, podobnie jak różne religie czy nawet filozofie, wiele uwagi poświęcają oczyszczeniu serca człowieka, tyle że motywem tego procesu jest miłość Boga, a nie „sucha" sprawiedliwość. „Kochany staje się podobny do kochającego" – jak powiada św. Jan od Krzyża. I dla wielu z nas takim etapem będzie również czyściec. Nie tyle więc chodzi o ukaranie i wyrównanie niesprawiedliwości, lecz o „dopełnienie dzieła, które Bóg rozpoczął na chrzcie świętym", o czym przypominają nam obrzędy pogrzebu.

Dokończenie dzieła, którym w oczach Boga jest człowiek, a odpokutowanie kar doczesnych to w pewnym sensie języki z dwóch odrębnych światów. Język miłości z pewnością bardziej dociera do współczesnego katolika niż język prawa i po ludzku rozumianej sprawiedliwości. Podobnie ogień czyśćcowy, którym jest sam Duch Święty, o wiele łatwiej przyjąć niż przypiekanie nieszczęśników płomieniami fizycznego ognia. Nietrudno bowiem zauważyć, że w każdej rozwijającej się relacji prędzej czy później natrafimy na przeszkody, nie zawsze wynikające z naszych grzechów, lecz z inności, różnic temperamentu itd. Każdy dobry dialog małżeński w jakimś sensie zakłada śmierć jakiejś cząstki nas. Ile razy w życiu należy po prostu ustąpić, zrezygnować z jakiegoś oczekiwania. Do czegoś takiego może skłonić nas tylko przyjęta z góry miłość. I myślę, że w takim kluczu odpusty jako modlitwa za zmarłych i żywych o więcej miłości, aby proces oczyszczenia osiągnął doskonałość, stają się dzisiaj bardziej zrozumiałe. © KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI

Autor jest jezuitą, rekolekcjonistą, duszpasterzem i autorem książek o duchowości.

WARTOŚĆ KONTRA CHCIWOŚĆ
OPEN EYES ECONOMY SUMMIT 2025

Dziesięć lat OEES to nie tylko tysiące uczestników i setki debat, lecz przede wszystkim konsekwentna próba odpowiedzi na pytanie: jak budować gospodarkę, która służy człowiekowi, a nie odwrotnie.

Kiedy w 2016 roku w Krakowie po raz pierwszy spotkali się uczestnicy **Open Eyes Economy Summit**, idea „ekonomii wartości" brzmiała jak utopia. Dziś, dziesięć lat później, OEES stał się jednym z najważniejszych kongresów społeczno-ekonomicznych w Europie Środkowej – miejscem, gdzie gospodarka spotyka się z etyką, a biznes z kulturą. Jubileuszowa dziesiąta edycja, która odbędzie się **18–19 listopada 2025 roku** w Centrum Kongresowym ICE Kraków, zapowiada się jako najmocniejsza w historii wydarzenia.

Gospodarka z ludzką twarzą

W programie znajdą się tematy, które definiują współczesność: kryzys zaufania do instytucji, mieszkalnictwo, zdrowie psychiczne, polityka klimatyczna, a także globalne napięcia – od trumpizmu 2.0 po kolonizację kosmosu. W tym gąszczu wyzwań chcemy przypomnieć, że rozwój bez wartości to ślepa uliczka. „To, że w naszym ruchu rozmawiamy i propagujemy ekonomię wartości, nie oznacza, że ją wymyśliliśmy. Istnieje od wieków, od czasu, w którym ludzie obserwują i analizują swoje zachowanie i otaczający świat" – podkreśla **prof. Jerzy Hausner, inicjator OEES**.

To właśnie on otworzy kongres wystąpieniem „Wartość kontra chciwość" – refleksją nad tym, jak odpowiedzialność i wiarygodność mogą przywrócić gospodarce zaufanie. W kolejnych debatach padną pytania o kondycję państwa, przyszłość miast i granice wolnego rynku.

Starcie idei i języków

OEES od lat słynie z odważnych konfrontacji. W tym roku w centrum uwagi znajdą się rozmowy o tym, jak zmienia się państwo, społeczeństwo i gospodarka – o stanie instytucji publicznych dyskutować będą **Antoni Dudek** i **Jarosław Flis**, a inne debaty dotkną kluczowych tematów współczesności: energii, kultury i samorządności. Wśród zapowiedzianych dyskusji znalazły się m.in.: „Publiczne czy prywatne? Kto powinien kształtować przestrzeń mieszkaniową?", „Kultura – środek do zbawienia czy narzędzie do zarabiania?" oraz „Gra o wszystko? Europa między USA, Rosją i Chinami".

Wśród prelegentów pojawią się m.in. **Swiatłana Cichanouska**, **Yascha Mounk**, **Peter Pomerantsev**, **Henryka Bochniarz**, **Emi Kusano** i **prof. Marcin Matczak**. Rząd reprezentować będą m.in. minister finansów **Andrzej Domański**, minister edukacji **Paulina Piechna-Więckiewicz** oraz prezes Orlenu **Ireneusz Fąfara**.

Gospodarka zaufania

Jednym z kluczowych momentów kongresu będzie prezentacja „Indeksu wiarygodności ekonomicznej Polski" – raportu opracowanego pod kierunkiem prof. Hausnera. Analizuje on kondycję finansów publicznych, jakość instytucji i politykę klimatyczną. W tym roku badanie rozszerzono o kraje południa Europy, by lepiej uchwycić, gdzie dziś plasuje się Polska. Jak mówi prof. Agnieszka Chłoń-Domińczak z SGH, „niska wiarygodność ekonomiczna czyni państwo podatnym na kryzysy – jej odbudowa to warunek dalszego rozwoju".

Miasto idei

Kraków – miasto, w którym narodził się ruch Open Eyes Economy – znów stanie się przestrzenią debaty o odpowiedzialnym rozwoju. To tu spotkają się przedstawiciele rządu, nauki, biznesu i kultury. W jubileuszowym roku szczególne znaczenie ma także artystyczna odsłona kongresu – koncert „Sploty. Muzyczna historia Polski", który otworzy wydarzenie. Na scenie ICE Kraków wystąpią **Natalia Szroeder**, **Igor Herbut**, **Grzegorz Turnau**, **Joanna Słowińska** i **Jan Emil Młynarski**.

Dekada ekonomii wartości

Dziesięć lat OEES to nie tylko tysiące uczestników i setki debat, lecz przede wszystkim konsekwentna próba odpowiedzi na pytanie: jak budować gospodarkę, która służy człowiekowi, a nie odwrotnie. Jak mówi prof. Hausner, „przez ostatnie dziesięć lat znacząco poszerzył się krąg naszych zainteresowań oraz osób, z którymi rozmawiamy i współpracujemy. Interesują nas firmy, miasta, lokalne społeczności, zasady budujące sprawne państwo. Pokazujemy, że w jednym kręgu znajdują się gospodarka i kultura".

OEES 2025 ma być nie tylko bilansem, ale i zaproszeniem – do rozmowy o przyszłości, w której wartość stanie się ważniejsza od zysku.

open eyes economy summit



MATERIAŁY PRASOWE X3

OEES 2024r.



prof. Jerzy Hausner, inicjator OEES



OPEN EYES ECONOMY SUMMIT 2025

18–19 listopada 2025
ICE Kraków i online

kongres.oees.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ZUZANNA

Radzik: *Cykoria czy wojna?*



Rozglądam się przed koncertem coraz bardziej. Wiercę się na krześle coraz mniej elegancko, lustrując rzeźby i gobeliny w sali gotyckiej ratusza Brukseli. Sami mężczyźni! Na pewno? Nie wiem, czemu akurat tego dnia tak mnie to dziwi. Szukam wzrokiem dalej, gdy zaczyna się kobiecy koncert z mocno reprezentowaną muzyką polskich kompozytorek. Jest św. Michał Archanioł, są jacyś miejscy ważni ludzie sprzed dwustu lat, bo wtedy zmieniano dekorację sali.

W kościelnych przestrzeniach zwykle sytuację ratuje przynajmniej jakaś Maryjka, a tu, w kontekście świeckim, nikt nie znalazł powodu, żeby przedstawić choć jedną kobietę. Słucham więc w tym brukselskim ratuszu muzyczek z Polski, grających utwory kompozytorek z Polski – imprezę organizują Instytut Polski i ambasada – i myślę, na ile ta muzyczna herstoria jest w stanie zrównoważyć wyrzeźbioną w drewnie odległą i lokalną historię mężczyzn. Ile trzeba naszych zabiegów, badań, ale też kreatywności, działań, wydarzeń, wystaw, koncertów, plakatów, książek, żeby zrównoważyć powagę i oczywistość takich sal?

Mężczyźni dominują też na okładce książki, którą czytam o piątej rano, co chwilę szturmowana przez dziecko, które a to chce się pochwalić przyniesionym krążkiem, a to zabrać mi okulary, a to przynosi swoją książkę i patrzy wyczekująco. Na okładce rzeźba ojców założycieli zjednoczonej Europy, która znajduje się obok domu Roberta Schumana w Scy-Chazelles w departamencie Mozela. Ale akurat dałam się porwać tej opowieści (są w niej i heroiczne żony, którym też należałyby się pomniki).

– Zobacz, tu kurka szuka swoich kurczaków – próbuję zachęcić córkę do przeglądania książeczki tak, by każda z nas mogła zająć się swoją lekturą. Ostatecznie czytam na kanapie i na macie, bawiąc się drugą ręką, wydając odgłosy zwierząt, rzucając entuzjastyczne okrzyki przez pokój, by towarzyszyć jej w zabawie. W końcu czytam też na głos swoją książkę, pokazując, że nie jest ciekawa, nie ma obrazków i nie ma po co mi jej wyrywać: „Chcemy ustanowić stosunki między Francją i Niemcami na zupełnie nowych zasadach i przekształcić to, co nas dzieli, zwłaszcza przemysł wojenny, we wspólną korzyść, z której skorzysta także Europa. Nie ma zwycięzców i zwyciężonych, nie ma pokoju bez sprawiedliwości i nie ma sprawiedliwości bez równości”.

To akurat Monnet mówi w maju 1950 r. do Adenauera w Bonn, gdzie przyjechał wyjaśnić mu szczegóły francuskiego projektu. Poruszony Adenauer odpowiada, że widzi to wielkie przedsięwzięcie jako należące do aspektu moralnego. Ten projekt okaże się kolejnym krokiem, ale jeszcze nie finałem starań o zjednoczenie Europy. I choć wiem, jak rzecz się skończy (a przynajmniej jak skończyła się na razie), to czytam w sumie z wypiekami. Dziennikarka, a dziś urzędniczka Parlamentu Europejskiego, Victoria Martín de la Torre, sfabularyzowała dzieje powstawania Europy, a polityczne zabiegi przeplata portretami osób, które o nią zabiegały. „Europa. Skok w nieznane” wyszła w 2022 r. w wydawnictwie Dialog, ale nie jest to lektura naukowa. Spokojnie możecie dać ją nastoletnim dzieciom.

I niby znałam te nazwiska, ale jawili mi się posągowo. A tu Jean Monnet okazał się mieć filmowo wręcz awanturnicze życie oraz nieposkromioną kreatywność w rozwiązywaniu najtrudniejszych politycznych łamigłówek. Trzech chrześcijańskich demokratów z kolei – de Gasperi, Adenauer i Schuman, imponuje charakterem, ale też niezależnością od kościelnych wpływów. Apostolstwo świeckich najwyższej próby. Są też ludźmi pogranicza, ich przechodzenia z rąk do rąk, złożonych tożsamości, ale też możliwości życia razem. Belg Spaak jest genialnym negocjatorem i przedstawicielem podzielonego kraju, ale też wojennego pokolenia, które zna cenę konfliktu.

Można by uznać, że to jakaś naiwność, że było drugie dno, osobiste cele, narcyzmy. Ale jakoś tego nie widać. Widać determinację ludzi, którzy doświadczyli dwóch wielkich wojen, faszyzmu i nazizmu pochłaniających ich kraje, płacili za sprzeciw osobistą cenę i są zdeterminowani, by znaleźć sposób na trwały pokój. Mają poczucie dziejowej misji, najważniejszego zadania, moralnego obowiązku. Mówią do siebie takim językiem i wcale się nie wstydzą. Przeciwnie, to ta motywacja buduje między nimi zaufanie i więź. Nic dziwnego, że gdy na szczyt w Brukseli dociera telegram o śmierci de Gasperiego, Spaak płacze jak dziecko.

Nie zaskakuje też, że Paul-Henri Spaak złożył rezygnację w lutym 1957 r., gdy premier Belgii, któremu przedstawiał projekt unii celnej, zaczął narzekać na planowane przez Francję cła na cykorię, która jest tradycyjnym produktem belgijskiej gastronomii. Miał to być dowód, że Francuzi zawsze wykorzystają Belgów i nie powinno być z nimi żadnej unii. Ostatecznie, radykalny ruch Spaaka otrzeźwił premiera.

Jednak „kryzys cykoriowy” trwa, ma ważne i błahe odsłony. Wszystkie te osobności, nacjonalistyczne dumy, separatyzmy, przez które tracimy z oczu to, o co chodziło: żeby nie było już w Europie wojny. Po to rządy krajowe zgodziły się zrezygnować z kompetencji, po to integracja, wspólny rynek. Korzeniem tego wszystkiego jest determinacja i poczucie doniosłości tego zadania.

Może od czasu do czasu warto zrobić sobie rekolekcje z Europy? Cykoria czy wojna? Bo w zasadzie wciąż do tego sprowadza się nasz wybór. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

O. WACŁAW

Oszajca:
Ksiądz pracownik



Coraz częściej księża mówią: „Jak dalej tak będzie, to z czego będę żył? Dotychczas żyliśmy z kultu, ale dalej tak się nie da. Mszy coraz mniej, ślubów i pogrzebów tudzież, na razie niezły dochód daje katecheza, ale co dalej, gdy ten system padnie?”. Jakiegoś sensownego rozwiązania nie widać. Słychać natomiast narzekania na laicyzację i prześladowanie Kościoła. Tyle tylko, że biorąc skutek za przyczynę i robiąc z siebie ofiarę, byleby nie przyznać, że sami sobie jesteśmy winni, po prostu drepczemy w miejscu i popadamy w coraz czarniejszą niemoc.

Paweł Apostoł pisał do Tesaloniczan, a dzisiaj do nas: „Sami wiecie, jak trzeba nas naśladować, bo nie próżnowaliśmy u was. Chleba nie jedliśmy u nikogo za darmo, ale pracowaliśmy dniem i nocą w trudzie i znoju, aby dla nikogo z was nie być ciężarem. Nie żebyśmy nie mieli do tego prawa, ale chcieliśmy dać wam samych siebie jako przykład do naśladowania. Gdy bowiem byliśmy u was, nakazywaliśmy: Kto nie chce pracować, niech też nie je! Słyszymy bowiem, że niektórzy u was próżnują. Nie pracują, lecz udają, że pracują. Nakazujemy im i upominamy ich w Panu Jezusie Chrystusie, aby pracując spokojnie, jedli własny chleb. Wy zaś, bracia, nie zniechęcajcie się w czynieniu dobra”. Otóż to, zamiast czekać i narzekać, warto postawić sobie pytanie: czy przypadkiem nie nadarza się nam dobra okazja, by zacząć żyć na własny koszt?

Lata temu Benedykt XVI mówił polskim duchownym: „Wierni oczekują od kapłanów tylko jednego, aby byli specjalistami od spotkania człowieka z Bogiem. Nie wymaga się od księdza, by był ekspertem w sprawach ekonomii, budownictwa czy polityki. Oczekuje się od niego, by był ekspertem w dziedzinie życia duchowego”. To prawda, ale dzisiaj nie jest to już takie oczywiste. Czy jednak nie nadszedł czas, abyśmy, idąc za przykładem Pawła Apostoła, zaczęli na własne utrzymanie zarabiać własnymi rękami. Zanim więc kogoś zaczniemy uczyć odprawiania mszy, w zgodzie z apostolską tradycją, najpierw trzeba by nauczyć go konkretnego zawodu. Niech nas ludzie poznają i odróżniają nie po koloratkach i kolorach koszul, ale po sposobie życia. Skoro sam Paweł, a gdzież nam do niego, umiał połączyć wytwarzanie namiotów z duszpasterzowaniem, to znaczy, że niemożliwe jest możliwe. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Karta ekumeniczna



5 listopada podpisano nową „Kartę ekumeniczną”. A właściwie uaktualniono ją po 25 latach. Blisko 120 Kościołów europejskich wyraziło wolę trwania w jedności przez dzielenie się wiarą i wspólne działania ewangelizacyjne (bo to jest zasadnicza misja Kościoła), ale też odnoszące się do wielkich, współczesnych wyzwań, jak podziały, wojny, migracje, kryzys klimatyczny, sztuczna inteligencja itp. To niewątpliwie najważniejszy dokument ekumeniczny opisujący komunię życia i misję Kościołów w Europie dramatycznie podzielonej i dotkniętej wojną. Kościoły złożyły mocne świadectwo jedności, które ma także charakter prorocki: odczytuje rzeczywistość i bierze za nią odpowiedzialność.

Wypracowanie nowej wersji „Karty” trwało ponad dwa lata i nie było łatwe (do tekstu zgłoszono kilkaset poprawek). Prawdziwa trudność jednak dopiero przed nami – przyjęcie dokumentu. Co zatem znaczy „przyjąć Kartę Ekumeniczną”? Nie chodzi przecież tylko o to, by zapoznać się z jej treścią, a nawet się z nią zgodzić. Albo nawet podpisać ją na poziomie krajowym czy lokalnym. Przyjąć „Kartę” znaczy poddać się temu, co się za nią kryje. Poddać się Duchowi Świętemu, który szuka konkretnych sposobów budowania Jednego Ciała Chrystusa. A także otworzyć się na doświadczenie wspólnego przeżywania wiary i podejmowanej wspólnie misji.

Odnosząc się dzień później do nowej „Karty”, papież Leon XIV wskazał dwa konkretne, można rzec brzegowe wymiary tego doświadczenia. Pierwszy nazwał odwagą przeczytania historii Kościołów Europy „oczami Chrystusa”. To ważne, bo nierzadko właśnie historia stanowi trudny temat dialogu ekumenicznego. Drugi zawarł we wzajemnym powiązaniu dwóch kluczowych procesów, jakie Duch Święty dokonuje w Kościele: ekumenizmu i synodalności. „W Kościele katolickim – powiedział Ojciec Święty – synodalna droga jest ekumeniczna, tak samo jak droga ekumeniczna jest synodalna”.

Tak. Przyjąć „Kartę” znaczy tchnąć w nią życie. Lub lepiej – przyjąć życie, które się w niej wypowiedziało. „Kartę” podpisano w kościele Męczeństwa św. Pawła. Czy za jedność warto umierać? A może dążenie do jedności samo w sobie jest formą umierania? Tak. Zapewne. Jedno i drugie. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj Tygodnik Powszechny



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem. I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki



Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.

Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

Tylko w **listopadzie** do prenumeraty rocznej:

- Firmowa **torba** w **PREZENCIE***
- **Rabat** – nawet **4 zł TANIEJ** za numer niż w kiosku
- **Dostęp** do serwisu internetowego **GRATIS** na czas prenumeraty**

ZAMÓW LUB PRZEDŁUŻ PRENUMERATĘ TYGODNIKA POWSZECHNEGO W NIŻSZEJ CENIE

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10lis25** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5lis25** --> **5% zniżki**
Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10lis25p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5lis25p** --> **5% zniżki**

prenumerata.tygodnikpowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

SKORZYSTAJ, NAWET JEŚLI PRENUMERATA WYGASA W STYCZNIU 2026 r.

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075
(w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl

**Torbę wyślemy najpóźniej do 15 grudnia.*

***ABY GO AKTYWOWAĆ:*

- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na **bok@tygodnikpowszechny.pl** z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy Tygodnik

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

RAFY NA MIELIŹNIE

Koralowce przetrwały pięć wielkich ziemskich wymierań, ponieważ niektóre ich linie ewolucyjne mogły schronić się w głębinach oceanów. Tym razem będzie im trudniej.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Do opublikowanego pod koniec października w magazynie „Nature" raportu z badań dołączono zdjęcia. Ekosystemy, które nie tak dawno przypominały tętniące życiem metropolie z milionami ryb, ślimaków, rozgwiazd, jeżowców, ogórków morskich, wężowideł oraz niezliczonych rzeszy drobnych skorupiaków i wieloszczetów, teraz wyglądają jak wyblakłe cmentarzyska. Trupioblade szkielety dawnych kolonii koralowców ciągną się kilometrami.

Z przeprowadzonych przez Claudię Francescę Vagę i współpracowników badań wynika, że koralowce mają szansę przetrwać w ten sam sposób, w jaki przetrwały wcześniejszych pięć wielkich wymierań. Problem w tym, że z taką katastrofą, która nadciąga, jeszcze się nie mierzyły.

Wapienne rumowisko

Wedle najnowszych danych amerykańskiej Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery, czwarte globalne zjawisko bielenia koralowców dotknęło około 84,4 proc. raf koralowych i ta fala jest największą z dotąd obserwowanych. Na Karaibach fale morskich upałów doprowadziły do epidemii chorób, które zamieniły całe ekosystemy w wapienny pył. W regionie Indo-Pacyfiku giną najstarsze kolonie rodzaju *Acropora*, drzewiaste koralowce, które budowały podwodne „lasy".

Bielenie to jeden z najbardziej dramatycznych objawów choroby oceanu.



Gdy temperatura wody rośnie zaledwie o jeden czy dwa stopnie powyżej normy, delikatna współpraca między koralowcem a zamieszkującymi go mikroskopijnymi glonami – zooksantellami – rozpada się. Glony, które dostarczają koralowcom energii i powodują ich wybarwienie, zaczynają wytwarzać toksyczne związki, więc gospodarz je odrzuca. Pozbawiony ich wsparcia traci kolor, a przezroczyste ciało odsłania biały wapienny szkielet. Jeśli upały trwają długo, koralowiec głoduje i umiera.

Gdy znika koralowiec, znika fundament całego ekosystemu. To on budował trójwymiarową strukturę rafy – sieć szczelin, jaskiń i zakamarków, w których tysiące gatunków znajdują schronienie przed drapieżnikami i prądami morskimi. Wapienne szkielety kruszeją i zapadają się, jakby waliły się fundamenty pod morskim miastem. Niegdyś tętniąca życiem rafa zaczyna przypominać rumowisko, niezdatne do życia wielu gatunków ryb czy skorupiaków. Chętnie skolonizują je inne glony, niewspółpracujące z koralowcami – dlatego cała struktura nie może się łatwo odrodzić. To kaskada zanikania, która zaczyna się od jednego organizmu, a kończy śmiercią całego świata.

Punkt krytyczny

W październiku 160 badaczy z 23 krajów w raporcie „Global Tipping Points 2025" ogłosiło, że Ziemia przekroczyła pierwszy katastrofalny punkt krytyczny klimatu. „Nie możemy już mówić o punktach krytycznych jako o przyszłym ryzyku" – mówił wówczas prof. Tim Lenton, dyrektor Global Systems Institute. Naukowcy jako pierwsze tąpnięcie wskazali właśnie szerokie obumieranie ciepłowodnych raf.

W skład zespołu, który opublikował pod koniec października w „Nature" wyniki badań raf koralowych, wchodził prof. Jarosław Stolarski, dyrektor Instytutu Paleobiologii PAN. On i współpracownicy przeanalizowali DNA 274 gatunków, zestawiając dane molekularne żyjących dziś koralowców z gatunkami znanymi z zapisu kopalnego. Chodziło o to, by ustalić, kiedy poszczególne linie się rozdzielały. Powstałe w ten sposób ewolucyjne drzewo pokrewieństw pokazuje, jak wcześniej zwierzęta tego gatunku radziły sobie z największymi kataklizmami w historii planety.

– Stworzyliśmy w ten sposób zapis cyklów katastrof i nadziei – mówi „Tygodnikowi" prof. Stolarski.

Mechanizm przetrwania koralowców wydaje się dość prosty. Gdy dochodziło do masowych wymierań – spowodowanych ociepleniem, zakwaszeniem oceanów czy utratą tlenu – rafy położone przy wybrzeżach ginęły, ale spokrewnione z nimi populacje w głębinach zachowywały ciągłość życia.

– Gdy warunki ponownie sprzyjały rozwojowi, ich larwy mogły rozprzestrzeniać się wraz z prądami oceanicznymi i zasiedlać nowe obszary – wyjaśnia profesor. W języku naukowym nazywa się to refugiami ekologicznymi. W historii Ziemi ten schemat powtarzał się wiele razy.

Przetrwanie ma jednak swoją cenę. W pogrążonych w ciemności głębinach fotosynteza nie zajdzie, dlatego żyjące tam koralowce głębokowodne muszą zdobywać pokarm samodzielnie, bez pomocy glonów, polując na plankton i wyłapując drobną materię organiczną z wody. Za każdym razem, gdy rafy po wymarciu się odradzały, koralowce musiały na nowo wypracowywać współpracę ze światem roślin.

– Koralowce nie są gotowe do zejścia ze sceny życia, choć rafy płytkowodne w większości wymrą – mówi prof. Stolarski.

Ratunek w głębinach

„Rafy zawsze wracały, choć często zupełnie inne niż wcześniej"– stwierdza dr Claudia Francesca Vaga z National Museum of Natural History w Waszyngtonie, pierwsza autorka publikacji w „Nature". W zapisie geologicznym to odradzanie się wygląda jak puls planety.

Ponad 450 mln lat temu, w okresie geologicznym nazywanym ordowikiem – naznaczonym m.in. nieśmiałą kolonizacją lądów przez rośliny – pojawiają się pierwsze ślady prymitywnych koralowców. Potem – długo nic. Przez dziesiątki milionów lat ocean, w którym w tym czasie doszło do gwałtownego wymierania, wydaje się ich pozbawiony.

– Jedna z hipotez zakłada, że koralowce żyły głęboko, a takie osady rzadko się zachowują. Inna wskazuje, że w kwaśniejszych wodach traciły szkielety i przechodziły w formy bezszkieletowe. Mogły więc istnieć, ale bez szans na utrwalenie w zapisie kopalnym – wyjaśnia prof. Stolarski.

Dopiero w triasie, już po największym wymieraniu w dziejach Ziemi, gdy zniknęło nawet 90 proc. gatunków morskich (z powodu zakwaszenia oceanów i ocieplenia klimatu, wywołanych gwałtowną aktywnością wulkanów na Syberii – te wydarzenia miały miejsce ok. 252 mln lat temu), koralowce na dobre pojawiają się znowu. Wody wówczas były jednak ubogie w substancje organiczne i pozbawione tlenu – przypominały nieco... pustynię. To wtedy koralowcom najmocniej pomogły glony. – Ta symbioza stała się ich przepustką do życia w świetle dziennym – opisuje prof. Stolarski.

To właśnie fotosymbiotyczne linie koralowców zaczęły tworzyć pierwsze rafy nowego świata. Co ciekawe, jak wykazał zespół z prof. Stolarskim w składzie, symbioza i kolonijność pojawiały się w ewolucji koralowców wielokrotnie i niezależnie od siebie. Gdy warunki stawały się sprzyjające, koralowce ewoluowały, z czasem tworząc masywne formy kolonijne. Gdy ocean znów stawał się wrogi, płytkowodne koralowce kolonijne wymierały. Część koralowców pozostała jednak w głębi. Obojętna na kolejne fale ociepleń, zakwaszeń i niedotlenienia.

W dziejach Ziemi było co najmniej pięć wielkich wymierań. Poza wspomnianymi już sprzed 438 mln lat i 252 mln lat, miały miejsce również wymieranie dewońskie (370-360 mln lat temu), a także triasowe, które ok. 201 mln lat temu umożliwiło ekspansję dinozaurów, a w końcu wymieranie kredowe, które tę ekspansję 66 mln lat temu zakończyło. Koralowce przetrwały każde z nich. Czasem traciły szkielety, czasem zmieniały tryb życia, ale nigdy nie znikały całkowicie. Za każdym razem ich odbudowa po kataklizmach trwała miliony lat.

Prof. Stolarski powtarza, że w geologicznej skali to koralowce są normą, my tylko chwilą: – Dla nich milion lat to tylko epizod. Dla nas to horyzont niewyobrażalny. Patrzymy na przyrodę w rytmie wyborów i budżetów, a ona działa w rytmie epok geologicznych.

Bez planu C

„Global Tipping Points 2025" opisuje rafy koralowe jako pierwszy element systemu ↦

Bielenie koralowców na Lizard Island u wybrzeży Australii, w rejonie Wielkiej Rafy Koralowej, kwiecień 2024 r.

DAVID GRAY / AFP / EAST NEWS

↦ klimatycznego, który przekroczył nieodwracalny próg stabilności. Autorzy raportu wskazują, że przy obecnym tempie emisji gazów cieplarnianych w ciągu dekady przekroczymy globalny wzrost temperatury o 1,5 stopnia Celsjusza względem ery przedindustrialnej, a wtedy ciepłowodne koralowce znikną.

Według Światowego Funduszu na rzecz Przyrody (WWF) i Programu Środowiskowego Organizacji Narodów Zjednoczonych (UNEP), ponad miliard ludzi na świecie korzysta pośrednio z tzw. ekosystemowych usług raf – rafy pomagają w rybołówstwie, napędzają turystykę czy zatrzymują sztormy. W skali globalnej gospodarki te usługi wycenić można na przynajmniej setki miliardów dolarów rocznie. Ale poza tym są wartości, które znacznie trudniej zmierzyć. Rafy to największy magazyn bioróżnorodności oceanów. Szacuje się, że na ich obszarze, stanowiącym zaledwie 0,2 proc. powierzchni mórz, żyje jedna czwarta wszystkich gatunków morskich.

Według amerykańskiej Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery obecnie zachodzi **największe z odnotowanych dotąd zjawisk bielenia koralowców.** Dotknęło już ono ok. 85 proc. raf.

Z badań prof. Stolarskiego wynika, że w dziejach Ziemi największym wrogiem koralowców nie była wysoka temperatura, ale brak tlenu w oceanach, tzw. epizody anoksyczne. To w ich czasie rafy płytkowodne znikały niemal całkowicie. Głębinowe linie przetrwały, bo były do takich warunków przyzwyczajone. Dziś jednak także i one stają się bezbronne wobec działalności człowieka.

– Kiedy człowiek zabiera się do eksploatacji dna oceanicznego, niszczy to, co było schronieniem. Te głębiny, w których koralowce przeczekiwały katastrofy, są dziś miejscem, gdzie planowane jest wydobycie surowców mineralnych. A tam właśnie żyją unikatowe linie, które mogą być źródłem przyszłej odbudowy. Jeśli je stracimy, stracimy cały ewolucyjny potencjał odnowy – przestrzega prof. Stolarski.

Naukowcy coraz częściej mówią o potrzebie moratorium na górnictwo głębokowodne. Oceaniczne strefy między Hawajami a Meksykiem, gdzie planowane są pierwsze przemysłowe operacje, są jednym z największych siedlisk koralowców głębinowych. Każdy statek górniczy, poza zanieczyszczeniem hałasem i światłem, wzbudza chmurę mułu, która może dusić życie w promieniu dziesiątek kilometrów.

Dla koralowców plan B zawsze był w głębi. Dziś my nawet ten plan im odbieramy.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Problemy na szczycie

JESZCZE przed rozpoczęciem trzydziestego szczytu klimatycznego COP30 w brazylijskim Belém świat dostał przedsmak tego, jak mogą wyglądać globalne negocjacje klimatyczne. W londyńskiej siedzibie Międzynarodowej Organizacji Morskiej (IMO), gdzie omawiano wprowadzenie podatku od emisji w żegludze, amerykańscy dyplomaci – jak ujawnił „Financial Times" – mieli wzywać europejskich negocjatorów do ambasady USA i grozić im, że jeśli nie zagłosują tak, jak oczekuje Waszyngton, odwet czeka ich państwa, ich samych i ich rodziny. Głosowanie zakończyło się odroczeniem decyzji o rok.

JEŚLI na technicznym forum IMO można groźbami zablokować podatek od trucia, to co stanie się w Belém, gdzie stawką są setki miliardów dolarów i wiarygodność całego stworzonego po porozumieniu paryskim globalnego systemu klimatycznego? Pewne jest, że nowego „Paryża" w Brazylii z pewnością nie będzie. Dużo bardziej prawdopodobne, że szczyt, który ma potrwać do 21 listopada (choć poprzednie COP często przedłużano o kilka dni) stanie się testem, czy globalna machina klimatyczna potrafi wdrażać to, co już wcześniej uzgodniono.

BRAZYLIJSKA PREZYDENCJA postawiła na uporządkowanie setek inicjatyw w kilka bloków tematycznych, od energetyki po rolnictwo i miasta. Zamiast deklaracji mają się pojawić tabele, harmonogramy i rozliczenia. W Belém ma zostać ogłoszony plan dojścia do łącznych wydatków 1,3 bln dol. rocznie na działania klimatyczne do 2035 r. To rozwinięcie celu z COP29 w Baku minimum 300 mld dol. co roku dla krajów rozwijających się. Osiągnięcie tej kwoty wymaga reformy banków rozwoju, większego udziału grantów i lepszych warunków zadłużenia. Ale już tu zaczyna się spór o to, kto dopłaci brakującą resztę. Kraje Południa chcą, by ciężar spoczął na państwach bogatych, te z kolei liczą na kapitał prywatny. Organizacja śledcza Global Witness przypomina, że ponad połowa obecnych środków to pożyczki, czyli dług, który pogłębia nierówności.

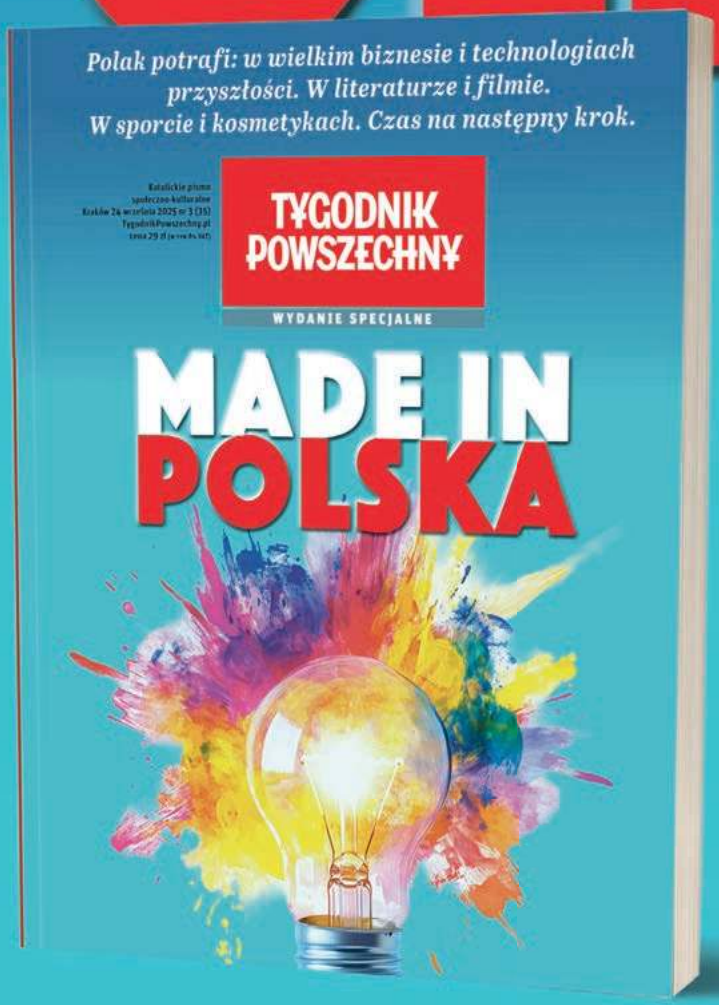
BRAZYLIA zapowiada utworzenie Tropical Forests Forever Fund: funduszu, który miałby inwestować kapitał i wypłacać premie krajom utrzymującym swoje lasy tropikalne w dobrej kondycji. Równocześnie jednak ta sama Brazylia decyduje o zwiększeniu wydobycia ropy o 20 proc. do 2030 r.

NAJBARDZIEJ konkretne decyzje COP30 mogą dotyczyć Globalnego Celu w zakresie Adaptacji (GGA). Po dwóch latach prac ekspertów wypracowano listę około 100 wskaźników, obejmujących wszystko, od opieki zdrowotnej przez dostęp do wody po infrastrukturę, które mają pozwolić porównywać postępy krajów. Jeśli zostaną przyjęte, świat zyska wreszcie wspólny język mówienia o klimatycznej odporności.

W BELÉM nie będzie fajerwerków. Będą arkusze kalkulacyjne. Bo dziś to właśnie w tabelach, wskaźnikach i budżetach rozstrzyga się, czy 1,5 st. C pozostanie celem, czy już tylko wspomnieniem.

© AK, WB

MADE IN POLSKA



„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" pokazuje Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju. Ambitną, odważną i gotową sięgać dalej – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować, szukać nowych rozwiązań i twórczo wykorzystywać własną historię.

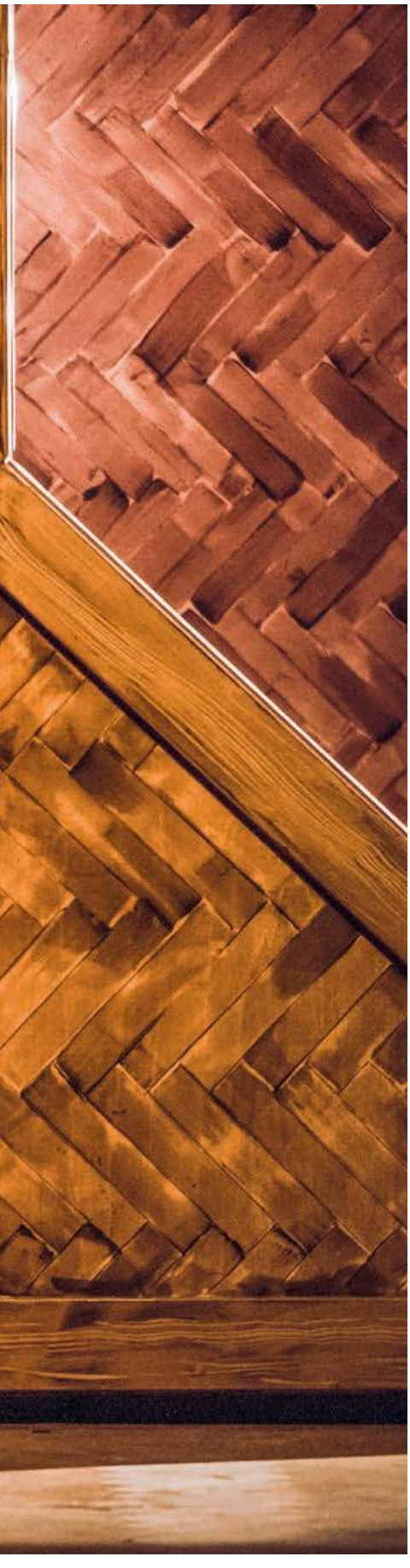
„Made in Polska" to więcej niż znak pochodzenia – to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które sprawiają, że w świecie pełnym kryzysów i niepewności wciąż możemy z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA"
dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl





KAROLINA JÓŹWIAK / TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE

NUDA ZAGŁADY

Wszyscy jesteśmy sublokatorkami – świat i historia wciąż nam o tym przypominają. Męczące przedstawienie Mai Kleczewskiej jest także o tym.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Podobało się? – zapytał niespodziewanie głośno starszy widz stojące w kolejce do szatni towarzyszki. Nie dosłyszałem, co odpowiedziały. Może nic, bo przecież pytanie było tym razem wyjątkowo kłopotliwe. Ale odsłania też pewien zasadniczy problem, jaki wiąże się z artystycznymi wypowiedziami o Zagładzie: jej ciężar sprawia, że pisanie o wywoływanym wrażeniu wydaje się nie na miejscu. Męczy cię i nudzi wysłuchiwanie słyszanych już tyle razy opowieści o strachu, cierpieniu, samotności i śmierci? Jak możesz być tak niewrażliwy? Wszyscy znamy ten szantaż. Każdy przecież brał udział w nudnej akademii ku czci poległych i gdy w końcu zaczął gadać z kolegą albo przeglądać wiadomości na komórce, usłyszał: to oni ginęli w męczarniach, a ty nawet pół godziny nie możesz poświęcić?

Grzegorz Niziołek, autor adaptacji i dramaturgii, oraz Maja Kleczewska, reżyserka „Sublokatorki" według Hanny Krall, dobrze znają to niebezpieczeństwo. Znają też wiele innych wiążących się z próbami przedstawiania nieprzedstawialnego. Niziołek jest wszak autorem znakomitej książki „Polski teatr Zagłady", w której precyzyjnie diagnozował przesunięcia, wyparcia, szantaże emocjonalne i „efekty kiczu", jakie polski teatr wytwarzał podejmując ten temat. Kleczewska mierzyła się z nim nie raz, najpełniej bodaj w trylogii obejmującej „Dybuka", „Malowanego ptaka" i „Golema". Oboje wiedzą więc, co robią, i jeśli „Sublokatorka" jest chwilami nużąca i męcząca, to nie wydaje się, by można to było po prostu uznać za błąd.

„Sublokatorka" na podstawie prozy Hanny Krall, reż. Maja Kleczewska, Teatr Powszechny w Warszawie

Niechciane rozmowy

Kleczewska wielokrotnie dowiodła, że potrafi równie mistrzowsko grać na wielu scenicznych instrumentach z wykorzystaniem różnych partytur. I dawniej, i ostatnio oskarżana (jak wszyscy mający coś do powiedzenia) o bezpardonowe i niedopuszczalne ataki na klasyczne teksty, widziana jako główna przedstawicielka mitycznego teatru „postdramatycznego", osadzana nawet w roli czarnego charakteru prawicowego mitu o kulturze śmierci i barbarzyństwa, jest rzetelną przedstawicielką współczesnej sztuki reżyserii i inscenizacji, wykorzystującą z całą swobodą wszelkie dostępne środki i strategie, także te, które niegdyś były awangardowe, prowokacyjne, a nawet bluźniercze.

Osoby chodzące do teatru rzadko lub wcale, ale za to chętnie o nim mówiące (taka nasza specyfika) czasem oburzają się i dziwią, lecz w zabiegach ↦

↦ Kleczewskiej nie ma ani prowokacji nastawionych na medialny hałas (choć ten czasem wybucha), ani radykalnych eksperymentów (choć reżyserka wykorzystuje wiele nowatorskich rozwiązań). Jest za to poszukiwanie wszelkich możliwych sposobów na stworzenie przedstawienia i doświadczenia, które wgryzie się w to, czego publiczność jeszcze nie wie o sobie i świecie. Są także rzetelna wiedza i bogactwo rzemieślniczych umiejętności. Nie oznacza to, że jej przedstawienia są wolne od błędów i pomyłek, ale na nich też się Kleczewska uczyła i uczy.

Objąwszy dyrekcję Teatru Powszechnego w Warszawie, reżyserka najwyraźniej postanowiła swoją postawangardową rzetelność i nierewolucyjność zaznaczyć, atakując w serii wywiadów „skrajną lewicę ze Zbawiksa", która rzekomo szantażowała poprzednią dyrekcję. Po ludzku mogę to nawet zrozumieć jako emocjonalną próbę odwinięcia się za osadzenie w roli superprzemocowej reżyserki, ale dezawuowanie dorobku poprzedników i sposobu ich postępowania, gdy jednocześnie deklaruje się wysoki poziom teatru, który się po nich odziedziczyło, nie brzmi ani zbyt sensownie, ani elegancko. Co gorsza, wejście na pole minowe strategii medialnych zmusiło Kleczewską do walki na nieswoim terenie, co zaowocowało aferą z udzielonym „Gazecie Wyborczej", a niezaakceptowanym przez reżyserkę do publikacji „wywiadem, którego miało nie być" i fatalnym komunikatem o artystce unikającej odpowiedzi na niewygodne pytania.

W innym udzielonym u początku swojej kadencji wywiadzie Maja Kleczewska przyznała, że ma świadomość znaczenia wyboru tematu pierwszego przedstawienia. Trudno wątpić, że inauguracyjny spektakl to deklaracja dużo więcej ważąca niż wywiadowe ataki, zawsze zagrożone niekontrolowanymi emocjami oraz zdradziecką przewrotnością słów obracających się przeciwko intencjom.

Trudne początki

Tak się złożyło, że nie mogłem obejrzeć „Sublokatorki" na premierze i pojechałem do Warszawy dopiero na koniec pierwszego cyklu prezentacji (kolejne przedstawienia w styczniu). W międzyczasie, choć nie szukałem recenzji, dotarły do mnie głosy, że spektakl jest nużący, za długi, że to powtórka z rzeczy

Opowieść o przetrwaniu jest nudna – składają się na nią te same dni, ta sama szafa, kilka powracających natrętnie historii.

Ale właśnie tacy nieciekawi jesteśmy, gdy zabrać nam życie.

znanych, przede wszystkim z „(A)pollonii" Krzysztofa Warlikowskiego, którą Niziołek uznał w swojej książce za wzór teatralnego mierzenia się z Zagładą. Są między oboma spektaklami podobieństwa, nie oznaczają one jednak naśladownictwa, ale – tak sądzę – wyjście z tego samego punktu, lecz w inną stronę.

Bo choć pierwszą, długą i męczącą część przedstawienia wypełniają opowieści o Zagładzie, których podmiotami i bohaterami są dzieci, przede wszystkim podwojona dziewczynka z „Sublokatorki" grana przez Karolinę Adamczyk i (w wersji jasnej) przez Aleksandrę Bożek, to jej tematem wydaje się coś innego, mianowicie przetrwanie. Jego podstawową strategię wykłada matka dziewczynki (Agnieszka Przepiórska), a sposoby jej realizacji i to, czym i jak się za to płaci, łącznie z pytaniem, czy warto przetrwać za każdą cenę, tworzą podstawowy temat kolejnych opowieści.

Ta z „Sublokatorki" wytycza wątek główny, ale opleciona jest wieloma innymi. Od nich zaczyna się przedstawienie, gdy na zaproszenie prowadzącego całość klowna (Michał Czachor) do opowiedzenia czegoś, z widowni wychodzą kolejne osoby aktorskie dzielące się historiami ocalenia swoich bliskich. Przypomina się też tych, którzy nie przetrwali. Gdy dwoje aktorów Teatru Żydowskiego wypowiada imiona zamordowanych, a Kaya Kołodziejczyk, tańcząc, zdaje się przywoływać ich pozasłowną (nie)obecność, uświadamiam sobie, że za chwilę już Noc Dziadów.

Powtarzane sceny

Kleczewska na łatwe emocjonalne pasaże nie pozwala. Żadnej fikcji współodczuwania. Żadnych afektywnych wspólnot cierpienia i żałoby. Żadnych Dziadów. Zamiast tego – cała seria świadomie nieatrakcyjnie przedstawianych historii, które obserwuje się z poczuciem, że zespół Powszechnego i grający gościnnie aktorki i aktorzy z Teatru Żydowskiego oraz – też gościni – Agnieszka Przepiórska nie są do końca zestrojeni, nadają jakby na innych falach, a częściowo wcale nie czują się dobrze w przyjętej formule. Działają, jakby byli zagubieni między obezwładniającą wszelką aktywność traumą a nerwowym nadmiarem zagrożonym przesadą i manierą. Z rzadka tylko z potoku słów, jakie wypowiadają, wydobywa się mocniejszy akcent emocjonalny, silniejsza i przykuwająca uwagę ekspresja, w czym celuje zwłaszcza Jerzy Walczak.

Tempo, rytm i tonacja pierwszej części wytwarzają przede wszystkim dojmujące i męczące wrażenie jednostajności. Przyczyniają się do niego szczególnie liczne powtórzenia. Opowiedziane już historie, przedstawione sytuacje i słyszane słowa wracają, najpierw jakby niepozornie, potem coraz bardziej natrętnie, by w finale pierwszej części zawładnąć dramaturgią w demonstracyjnym wręcz zapętleniu sceny na komisariacie, gdy matce i córce granatowy policjant każe wypowiedzieć modlitwę „Anioł Pański".

Tę jednostajność powtórzeń podkreśla scenografia Fabiena Lédé, zbudowana z wielkich paneli wyłożonych jakby parkietem, zamykających tył sceny i umieszczonych po jej bokach tak, że część z nich można przesuwać, zasłaniając i odsłaniając kolejne postacie i obrazy. To nawiązanie do przesuwanych drzwi szaf i innych kryjówek żydowskich dzieci walczących o przetrwanie. Ale też i dość zaskakujący akt przywrócenia tak kiedyś podstawowego narzędzia teatralnej dramaturgii jak przesłanianie i odsłanianie sceny, do czego tradycyjnie służyła kurtyna. Tę Kleczewska zresztą też przywraca, co w Powszechnym, który przez ostatnie lata stosował ją wyjątkowo, wydaje się gestem demonstracyjnym.

Jednostajność rytmu i opowieści, a także nieatrakcyjność aktorskich działań sprawiają, że pierwsza część spektaklu jest rzeczywiście wyzwaniem. Napięcie nieuchronnie spada, bo walka o przetrwanie okazuje się mało atrakcyjna. Atrakcyjna jest heroiczna śmierć

pięknej Krystyny Krahelskiej, którą jedna z postaci przywołuje z zazdrością budzącą bardzo niewygodne pytania. Uwagę przyciąga też straszliwa śmierć z głodu, a nawet śmierć tysięcy stojących w ciszy i spokoju w kolejce do rozstrzelania, bo opowiadając o niej można zapytać, czemu nic nie robili. Opowieść o przetrwaniu jest nudna – składają się na nią te same dni, ta sama szafa, kilka powracających natrętnie i niedokończonych historii.

A to właśnie tacy – zdaje się mówić Krall, a za nią Kleczewska – nudni i nieciekawi jesteśmy, gdy nam zabrać życie, jakie sobie budujemy w pokojowej fantazji. Nie ma co się łudzić, choć przecież łudzić się koniecznie trzeba – wszyscy jesteśmy sublokatorkami, choć czasem szczęśliwie i na dłużej o tym zapominamy. Dziś świat i historia intensywnie nam o tym przypominają. O tym przypomnieniu jest też to męczące przedstawienie. I o tym, co z nim można zrobić poza ucieczką w ochronną fikcję codzienności, w zapomnienie o przeszłości i niewidzenie teraźniejszości.

Rozsypane dźwięki

Druga część „Sublokatorki" jest krótsza. Składają się na nią trzy wyraziste sekwencje powojenne i pozagładowe: wspomnienia Marka Edelmana (Mateusz Łasowski) o bierności i cenie zerwania z nią, sekwencja o ósmym odcinku „Dekalogu", do którego Krall pisała scenariusz zmieniony przez Kieślowskiego na bardziej „atrakcyjny", wreszcie scena z domu dziecka w Otwocku. Wszystkie one dotyczą tego, co zrobić z doświadczeniem przetrwania Zagłady. Ocaleni są w pułapce: muszą opowiadać, a dobrze opowiadać tego się nie da. I muszą powrócić do życia innego niż nastawione na przetrwanie, choć przecież nigdy nie uwierzą już w jego realność.



KAROLINA JÓŹWIAK / TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE

MAJA KLECZEWSKA, *dyrektorka Teatru Powszechnego w Warszawie*

Twórcy „Sublokatorki" tę nierozstrzygalność wystawiają, ale też i szukają na nią odpowiedzi. W finałowej sekwencji domu dziecka, w której niemal wszyscy grający występują w standardowych dziecięcych mundurkach, tworząc ciało zbiorowe, następuje moment, który odebrałem jako kluczowy dla całego przedstawienia. Niemożliwe do opowiedzenia historie milkną, a w ich miejsce pojawiają się dziecięce i ludowe piosenki wpisywane przez nauczycielkę (Kaya Kołodziejczyk) w straumatyzowane ciała.

Narzucana na nowo społeczna dyscyplina (jej znakiem są kroki i pozycje klasycznego baletu, które dzieci niezdarnie naśladują) paradoksalnie sprawia, że poza słowami zaczyna mówić ciało. I gdy Karolina Adamczyk z Michałem Jarmickim śpiewają ludowy miłosny duet, historia ukrywającej się dziewczynki wykorzystywanej przez starszego opiekuna zyskuje pozasłowną dotkliwość, której ta opowiadana nie ma. Z chórem aktorskim zaczyna się dziać coś niezwykłego. Kolejna piosenka („Z tamtej strony jeziora") i narastająca intensywność działań. Jakby godziny stłumienia, ukrywania się wreszcie zostały przerwane. Jakby odnaleźli sposób na wyjście z węzła niemożności i konieczności.

Na finał chór niespodziewanie wykrzykuje w podziale na dwie grupy „Ptasie radio" Tuwima – gwałtownie, ale precyzyjnie. Z radością, choć wściekle. Wirtuozowski wiersz, w którym słowa rozpadają się na autonomiczne dźwięki, atakuje serią rytmicznych salw. Jest w nim niezwykła energia, o której nie umiem nic powiedzieć, choć przecież doświadczyłem jej całym sobą.

Są czasem w teatrze takie sytuacje, że bardzo długo nic się nie wydaje układać, przedstawienie ciągnie się i męczy. Aż nagle, w jednym błysku eksploduje coś, co prześwietla i unieważnia wszystko wcześniej. Kilka niezwykłych minut, dla których warto i trzeba przesiedzieć ciągnące się godziny. Gdy to się zdarza, często nie bardzo wiadomo, na czym polega i co właściwie niesie, ale też nie ma wątpliwości, że właśnie to coś zdarzyć się miało i mogło tylko tu i teraz – w teatrze.

Jeśli inauguracyjna „Sublokatorka" ma stanowić zapowiedź, że takich zdarzeń będzie się w Powszechnym szukać i że przez nie teatralnie odpowiadać się będzie nadciągającej zewsząd Apokalipsie, to choć pytanie pana spod szatni było nie na miejscu, z opóźnieniem mam mu ochotę odpowiedzieć: „Tak. I chciałbym więcej". © DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

POBYT DUCHOWO-FORMACYJNY W RZYMIE

Zapraszamy młodych mężczyzn, którzy poszukują swojej drogi duchowej,
na sześciomiesięczny pobyt formacyjny we wspólnocie Ojców Rogacjonistów w Rzymie.
To czas refleksji i rozeznania, czy życie konsekrowane może stać się Twoim powołaniem.
Zgromadzenie skierowane jest do tych, którzy odczuwają wewnętrzne pragnienie
służby kapłańskiej lub zakonnej. Koszty pobytu pokrywają Ojcowie Rogacjoniści.
Wraz z opiekunami duchowymi będziesz mógł podjąć decyzję o dalszej drodze.

Prześlij swoje CV – po jego otrzymaniu zaprosimy Cię na spotkanie.

Centrum pre duchovné povolanie otcov Rogacionistov
RKFÚ sv. Mikuláša, Hlavná 81, 080 01 Prešov, Slovakia
konkatedralapo@gmail.com, tel. +421 908 301 078



MATERIAŁY PRASOWE

Jeremy Allen White jako Bruce Springsteen w filmie „Springsteen: Ocal mnie od nicości" w reż. Scotta Coopera

Poziom mistrza

JAKUB NOWAK

BIOGRAFIA | Bard peryferii i małych ojczyzn, a jednocześnie wróg Republikanów. Milioner, pragnący być głosem Pasa Rdzy. Chłopak o starej duszy: Bruce Springsteen.

Nie da się ukryć, że muzyczny *biopic* – jak popularnie nazywa się w branży film biograficzny – jest konwencją niewdzięczną. Nawet dobrze przyjęte przez widzów obrazy takie jak „Kompletnie nieznany" (o Bobie Dylanie) czy „Bohemian Rhapsody" (o Freddiem Mercurym) to filmy sprawne, lecz pozbawione napięcia – żywoty rockowych herosów po prostu zbyt łatwo stają się hagiografią.

„Springsteen: ocal mnie od nicości" w reżyserii Scotta Coopera, który możemy właśnie zobaczyć na ekranach naszych kin, to jednak *biopic* mniej typowy. Jego fabuła zamyka się zaledwie w dwóch latach życia artysty, wiążąc temat powstania legendarnej płyty „Nebraska" oraz walki jej twórcy z depresją.

Jesteśmy w momencie szczególnym. Oto po wyczerpującej, triumfalnej trasie, towarzyszącej bestsellerowej płycie „The River" (1980), Bruce Springsteen (w tej roli Jeremy Allen White) wynajmuje dom na wsi, w którym samotnie pracuje nad nowymi piosenkami. Rejestruje je w sypialni, na amatorskim magnetofonie. Kiedy wraca do studia, utwory, nagrywane na nowo na profesjonalnym sprzęcie z zespołem, brzmią źle, fałszywie. Podczas tej samej sesji nagraniowej powstają też inne kawałki i każdy, kto je wówczas słyszy, nie ma wątpliwości, że „Born in the U.S.A." czy „Glory Days" zrobią ze Springsteena supergwiazdę.

Artysta robi jednak coś dla swojego otoczenia niezrozumiałego: odkłada hity na półkę i wraca do kasety nagranej w sypialni. Więcej: wydaje ją tak, jak została zarejestrowana – w surowej, dalekiej od doskonałości wersji. Tak właśnie rodzi się „Nebraska" (1982), album mroczny, pozbawiony przebojów, którego premierze nie towarzyszą wywiady ani single.

Nic dziwnego – otwiera go piosenka, w której Springsteen wciela się w Charlesa Starkweathera, seryjnego mordercę straconego na krześle elektrycznym w 1959 r. Pozostałe numery nie są wcale lżejsze, choć wydają się wyjątkowo szczere, jakby pochodziły z głębi duszy utkanej z cienia.

Hipis z przypadku

Filozof Roland Barthes był zdania, że popkulturowe mity zamieniają to, co historyczne, w to, co pozornie naturalne i bezdyskusyjne. „Nebraska" jest doskonałym medium dla potężnego mitu rocka – opowiada o nieprzejednanym artyście. Szczerość przeciwstawiona jest w tej historii sławie, a komercyjna kalkulacja – głosom dobiegającym z otchłani. Springsteen nie tylko jednak współtworzy mitologię rocka, to artysta, który na nawiązaniach do mitów zbudował swą potęgę.

Po debiucie („Greetings from Asbury Park, N.J.", 1973) był reklamowany jako nowy Dylan, nie czuł się jednak w tej roli zbyt dobrze. „Byłem hipisem trochę z przy-

padku", przyzna po latach w autobiografii. Przełom stylistyczny przyniosła płyta trzecia, „Born to Run" (1975). Springsteen zdefiniował się w niej na nowo: młody chłopak o starej duszy, grający raczej rock'n'rolla niż folk i nawiązujący – w tekstach, muzyce oraz wizualnej oprawie albumu – do robotniczej estetyki lat 50.

Piosenki takie jak „Thunder Road" czy „Born to Run" sięgały po na wskroś amerykański motyw drogi, łącząc romantyczne portrety zdesperowanych idealistów z gorzką społeczną diagnozą. Album przyniósł uznanie krytyki i popularność: Bruce trafił na okładki tygodników, zaszczyt zarezerwowany dotąd dla prezydentów i astronautów.

Na kolejnych albumach dał się poznać jako znakomity *storyteller*, opowiadający o ludziach pracy w czasach późnego kapitalizmu. Pisał o najbiedniejszych dzielnicach, prowincji, upadających miasteczkach z Pasa Rdzy. Został bardem peryferii i małych ojczyzn, unieśmiertelniając rodzinne New Jersey, prowincjonalne wobec sąsiedzkiego Nowego Jorku. „Jestem tu królem", mówi w filmie Coopera, kiedy włamuje się na miejscową karuzelę, by zaimponować dziewczynie.

Nieznośny palant

Springsteen jest autorem programowo nostalgicznym, a nostalgia, jak wskazuje jej badaczka Svetlana Boym, jest emocją jednocześnie indywidualną i zbiorową, umocowaną w konkretnym miejscu i czasie. Springsteen to czuje. Kiedy wraca do przeszłości, szukając osobistego domknięcia, jego spojrzenie jest szersze, wyostrzające klasowe nierówności i wynikające z nich napięcia. Godnościowe hymny w imieniu najsłabszych szybko stały się dominantą jego twórczości.

Oscara przynosi mu przebój „Streets of Philadephia" (1994), napisany w pierwszej osobie subtelny portret chorego na AIDS. Na „Wrecking Ball" (2012) nawiązuje do kryzysu finansowego i wydarzeń w Nowym Orleanie po przejściu huraganu Katrina, intonując: „We Take Care of Our Own" („poradzimy sobie sami"). Nigdy nie porzuci populistycznego zbiorowego „my", mimo że z czasem przesiądzie się z kupowanych z drugiej ręki aut do opancerzonych limuzyn i prywatnego odrzutowca.

Co ciekawe, film Coopera to kino zupełnie niepolityczne, bez ambicji kreślenia klasowych diagnoz – inaczej niż twórczość samego Springsteena. A przecież po wyborze na prezydenta USA Ronalda Reagana piosenkarz krytykował wyniki ze sceny, choć widział, że przemawia do ludzi, którzy głosowali na Republikanina. Niedawno poszedł na wymianę ciosów z Donaldem Trumpem. Prezydent nazwał go „przecenianym, nieznośnym palantem". Springsteen odpowiadał ze sceny podczas europejskiej trasy przemową o Ameryce rządzonej przez „skorumpowaną, niekompetentną i zdradziecką administrację".

Lewicowa krytyka w Stanach traktuje go z rezerwą, choć po sprzeczce z Trumpem zaczęto o nim pisać nieco cieplej. Rzeczywiście jest łatwym celem: milioner, który na scenie stawia błękitny kołnierzyk. Głos ludu dobiegający zza ogrodzenia otaczającego olbrzymią willę. No i facet, którego ksywa to nieironiczne „Boss", pisane wielką literą i poprzedzone niepozostawiającą wątpliwości partykułą „the".

Nikt tak bardzo nie wysila się, żeby inni myśleli, że jest najzwyczajniejszy – to żart, który opowiadał o sobie w jednej z piosenek już ponad 30 lat temu.

Autentyczny aktor

„Nebraska" jest albumem wspaniałym właśnie dlatego, że – w dobie produkcyjnych gwiezdnych wojen na coraz potężniejsze brzmienie – jest niedoskonała. Przemówiła do wyobraźni tysięcy dzieciaków myślących o graniu muzyki. Stała się symbolem etyki *do-it-yourself*, ikoną dla ludzi związanych ze sceną niezależną, doceniających, że to pod tą cichą płytą podpisał się gigant. Ten kontrast sprawił, że miała, mimo niepozornego charakteru i braku szerszej promocji, olbrzymi kulturowy oddźwięk. Muzycy Rage Against the Machine, Bon Iver, Iron & Wine i wielu innych wskazywało, że „Nebraska" była szokiem i zachętą. „Posłuchałem jej i przyszło mi do głowy, że też mogę grać" – miał powiedzieć Matt Berniger z The National.

Tymczasem Boss w studiu bywa przecież tyranem, dążącym do ideału, którego nie potrafił zdefiniować – jego sesje nagraniowe trwały nawet 18 miesięcy. Podczas koncertów wiele wymaga od siebie i zespołu, tak by ludzie pod sceną, zmęczeni występem, nie oczekiwali już niczego więcej.

Taki był też mój tegoroczny koncert Springsteena w Pradze: trzygodzinny, starannie wyreżyserowany spektakl dla 60 tys. ludzi. Jego 76-letni reżyser, dyrygent i główny aktor czerpał z energii publiczności, często skracając dystans, również fizycznie. Jak to wszystko pogodzić? Nick Hornby pisał w „The Guardian": „który po prostu występuje i przyznaje wprost, że występuje?". Springsteen ma tego świadomość: „w drugiej połowie XX w. autentyczność jest tym, czym ją uczynisz".

Dwa lata po „Nebrasce" Springsteen wydaje „Born in the U.S.A." (1984) i osiąga stratosferyczny sukces. Na teledysku do „Dancing in the Dark" zaprasza do tańca młodziutką Courtney Cox, a za dziewczyną do zabawy rusza cała Ameryka. Reszta jest historią, na którą składa się 21 albumów, 20 nagród Grammy, Oscar i ponad 150 milionów sprzedanych płyt. Historią, która wciąż trwa: w trakcie zakończonej w tym roku trzyletniej trasy koncertowej Springsteena słuchało niemal 5 milionów ludzi podczas 129 występów.

Dobry duch

Kilka tygodni temu premierę miał czteropłytowy dodatek „Nebraska '82: Expanded Edition", zawierający nagrania z legendarnej sesji w sypialni, ich wersje koncertowe, a także zbiór „Electric Nebraska". Ten ostatni jest najciekawszy: to piosenki zarejestrowane w profesjonalnym studiu, które ostatecznie trafiły na półkę, bo okazały się gorsze niż demo nagrane na czterośladowym kaseciaku.

Springsteen miał wystąpić w Pradze już rok temu, lecz koncert odwołano w ostatniej chwili – artysta przeziębił się, występując w deszczowym Sunderland kilka dni wcześniej. Tamtego weekendu snuliśmy się z żoną po obcym mieście, w anonimowym tłumie zawiedzionych fanów. Kiedy usłyszeliśmy muzykę Springsteena, dobiegającą z irlandzkiego pubu, weszliśmy do środka. Dostaliśmy brawa, jak każdy, przyciągnięty znajomymi piosenkami. Ludzie z całej Europy rozmawiali, pili, tańczyli. Spędziliśmy tam kilka dobrych godzin.

Tamten wieczór wydał mi się wtedy po prostu miły, lecz dziś myślę o nim nie rzadziej niż o tegorocznym koncercie. Byliśmy wtedy w pubie razem, obcy i nieoczekiwanie sobie bliscy. ©

Ustka w rytmie latino

ANNA PAJĘCKA

SZTUKA | Nadmorskie galerie stają się ważnym punktem na mapie sztuki. Nad Bałtyk przyjeżdżają dziś twórcy z różnych stron świata.

Na fasadzie usteckiego oddziału Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej od dziesięciu lat świeci neon Pawła Korbusa: „Jest fajnie, ale trochę boimy się miłości / wojny" – w którym dwa ostatnie słowa pulsują na zmianę. Wraz z aneksją Krymu, eskalacją działań wojennych w Donbasie i narastającą debatą o bezpieczeństwie energetycznym regionu, Bałtyk coraz częściej zaczęto widzieć nie tylko jako wakacyjne tło, ale korytarz infrastruktury i potencjalny teatr napięć. Morze, kojarzone z wypoczynkiem, od dawna ma więc wiele wspólnego także z wojną.

Instytucją od sierpnia ubiegłego roku kieruje Agnieszka Kilian. Zastała trzy lokalizacje (jedną w Ustce oraz dwie w Słupsku) i planuje zmiany; zwłaszcza Ustka domaga się remontu. Przyjdzie na to czas. Jest tu dopiero od czternastu miesięcy, a już przeprowadziła małą rewolucję. W praktyce: wymyśliła instytucję na nowo. Do zespołu ściągnęła dwoje kuratorów dobrze znanych w świecie sztuki: Romualda Demidenkę – wcześniej związanego m.in. z Muzeum Narodowym w Warszawie – oraz Tomka Pawłowskiego-Jarmołajewa, kuratora z Podlasia, współorganizatora białostockiego „Społem Fest" w klubach osiedlowych. Pawłowski-Jarmołajew prowadzi centrum rezydencyjne, nad Bałtyk przyjeżdżają twórcy z różnych stron świata, a efekty ich pracy trafiają do sal wystawowych.

Duch Bałtyku

Neon patrzy na wodę, a wystawa odpowiada spojrzeniem. „Koalicje wody" – otwarte pod koniec sierpnia we wszystkich trzech lokalizacjach BGSW – łączą wątki wojny, sąsiedztwa i lokalności, zawsze w odniesieniu do morza. W debatach o odkrytych złożach ropy na Bałtyku czy o aktach dywersji w związku z wojną w Ukrainie często umyka nam samo morze: nie jako wakacyjna scenaria, lecz jako medium, które organizuje wyobraźnię polityczną i realną logistykę świata. Kilian i Demidenko stawiają pytanie szerzej: czy Bałtyk jest dziś tylko areną konfliktów, czy też polem sojuszy, które układają się inaczej niż granice państw?

Kuratorka proponuje ujęcie podwójne: – Chcieliśmy wydobyć opowieść o dwóch morzach – Czarnym i Bałtyckim. Mają podobną historię geologiczną i są stosunkowo młode, półzamknięte; z systemem Atlantyku łączą się od około 12 mln lat. Ich historie polityczne również się zbliżają: to akweny o wysokiej militaryzacji, w XX i XXI w. – świadkowie wojen zastępczych. Dziś widać to w perspektywie wojny w Ukrainie – mówi Agnieszka Kilian.

„Koalicje wody" rozpinają więc mapę od plaż po kable, od portów po głębiny, od międzyludzkich relacji po infrastrukturę krytyczną. W tej perspektywie Bałtyk nie jest „miejscem na chwilę", lecz długim trwaniem, które przenika rzeczywistość społeczno-polityczną, ale i prywatne biografie.

Wystawę otwiera praca powstała w Ustce, podczas rezydencji. Anca Benera i Arnold Estefan, duet rumuńskich artystów, zrealizowali instalację „Sea of Signals" z materiałów z okolicznych plaż i portu: boi, linek rybackich, sznurów. Artyści sięgają tu do pojęcia głębokiej ekologii – dosłownie, bo interesuje ich to, co dzieje się pod powierzchnią. To opowieść o głębinowym ekstraktywizmie, procesach wyodrębniania i podziału wód, które z natury nie są podzielne.

– Mamy do czynienia z wydobyciem prowadzonym *de facto* poza społeczną kontrolą. To problem polityczny: gdy decyzje trafiają do wąskiej grupy (zwykle dużych podmiotów), reszta traci wpływ na procesy. A wiemy, że tempo eksploatacji głębin przyspieszyło; wojna tylko to spotęgowała – mówi Kilian.

Na ścianie naprzeciw – fotografia Yulii Krivich, artystki ukraińskiego pochodzenia mieszkającej od lat w Polsce. Kadr otwartego morza. Niby nic szczególnego, ale tytuł „Przeczucie" uruchamia kontekst. Praca powstała jeszcze przed aneksją Krymu przez Rosję. Krivich, jeżdżąc do rodzinnego Dniepra, fotografowała Morze Czarne w chwili, gdy cień wojny już wisiał nad Ukrainą. Tego nie widać na samym zdjęciu – ale po poznaniu historii obraz nabiera melancholii, którą łatwo „przenosimy" na Bałtyk. Paul Scraton w „Duchach Bałtyku", wędrując wzdłuż niemieckiego wybrzeża, pisał o morzu jak o cmentarzysku – może stąd ta jego szczególna tonacja. Na tych wodach, nieopodal Ustki, w styczniu 1945 r. zatonął statek Wilhelm Gustloff; metafora cmentarzyska bywa więc aż nadto dosłowna.

Ślad wodny

„Sea of Signals" nie jest jedyną pracą powstałą w relacji z lokalnością. W słupskiej pracowni sitodruku Theresa Weber – także w ramach rezydencji – przygotowała wielkoformatowe mapy, z których rozchodzą się strzałki i znaki. Gęste i wciągające, zwłaszcza dla kogoś, kto – jak ja – nie czyta swobodnie języka kartografii. Opis nie ułatwia lektury, ale kierunkuje: – Theresa pracuje z wizualnością relacji: tnie mapy, przerywa trakty, lekko je przesuwa. Pokazuje połączenia handlowe, świat relacji merkantylnych i kolonialnych – opowiada dyrektorka.

Rozmawiamy o tym z Kilian i Demidenką, którzy – choć nie są „miejscowi" – musieli szybko nauczyć się morza. Zwracają moją uwagę na obraz usteckiej malarki Elżbiety Kulki „Wyzwanie" z 1983 r., zawieszony na poddaszu. Płótno jest miejscami pęknięte – artystka wykorzystała ten ubytek, by podkreślić niestałość i kruchość. Choć Kulka wywodzi się z kręgów marynistycznych, jej malarstwo dalekie jest od pocztówkowego pejzażu. Patrzy w głąb Bałtyku; morze bywa tu jednocześnie przestrzenią przechowującą historię wojen i konfliktów oraz miejscem uzdrawiającym.

Kulka jest prezeską usteckiego oddziału Stowarzyszenia Marynistów Polskich i prowadzi ośrodek „Borowinka".

– Przyszła do mnie drugiego dnia urzędowania i powiedziała, że to miejsce – galeria – należy także do nich, marynistów



ALINA ŻEMOJDZIN / BAŁTYCKA GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

Gosia Golińska, „Ślad wodny”

– wspomina Kilian. – Cenimy współpracę ze społecznością marynistyczną. To ciekawa postawa życiowa, głęboko ekologiczna. Członkinie stowarzyszenia nie nazywają się ekolożkami, a jednak od ponad dwóch dekad dbają o wizualną reprezentację tego miejsca – dodaje.

Efekty pleneru pokazano w Ustce na wystawie „M jak morze” będącej częścią wystawy „Koalicje wody”. – Honorata Martin, artystka z Gdańska, namalowała tam swój pierwszy marynistyczny obraz – mówi Kilian.

Lokalne wątki reprezentuje też Gosia Golińska z Sopotu: jej „Ślad wodny” powraca we wszystkich lokalizacjach. Artystka wykorzystała drelichowe uniformy stoczniowców, które trafiły do jej pracowni przy ul. Elektryków w Gdańsku – w dawnej hali B81, dziś w sąsiedztwie modnych restauracji i jednego z najsilniej zgentryfikowanych fragmentów miasta. Mundury – najpewniej z Niemiec – miały dostać drugie życie, choć początkowo nikt nie wiedział, jakie. Golińska zaczęła je ciąć, zszywać i fotografować, tworząc cykl, do którego tu wraca. W Ustce, przy wejściu, wiszą uszyte z nich tkaniny.

– Tytuł „Ślad wodny” przypomina o realnych kosztach środowiskowych: zużywamy ogromne ilości wody – nie tylko przy produkcji tkanin czy chłodzeniu serwerów sztucznej inteligencji. W rzeczywistości największym konsumentem pozostaje rolnictwo – podkreśla Demidenko.

W siedzibie na Podgrodziu jest jeszcze jedno wideo – Kingi Kiełczyńskiej, częściowo wygenerowane przez AI. „Polarpunk” przełącza się między kadrami lodowców i wód zalewanych krwistą czerwienią a rozświetlonymi pejzażami przypominającymi sceny z gier. W zestawieniu z oszczędną fotografią Yulii Krivich praca Kiełczyńskiej wyostrza pytanie o realność: co dziś bardziej „prawdziwe” – kadr Morza Czarnego sfotografowany przed aneksją Krymu przez Rosję, które społeczność międzynarodowa wciąż uznaje za ukraińskie, czy syntetyczna wizja relacji człowieka z naturą stworzona przez algorytmy?

Tu się tańczy

Bałtyk jest dla wystawy punktem odbicia, ale także pretekstem do namysłu nad samą relacją z wodą. W jednej z lokalizacji mieszczącej się w Baszcie (nazywanej też Basztą Czarownic) – jednym z najstarszych budynków Słupska – pokazano cztery prace.

Na najwyższym piętrze zobaczymy „Rybę” (2024) Karoliny Breguły – jeden z najnowszych filmów artystki wykonany w technice poklatkowej, który miał polską premierę w galerii Trafo w Szczecinie. Bohaterka, prowadząca w Szwecji małą firmę rybacką, pewnego dnia uświadamia sobie, że w morzu nie ma już ryb. Wraca jednak uparcie nad zatokę. – To prosta opowieść o pracy, przyzwyczajeniu i granicach wytrzymałości ekosystemu. Akceptacja, że wszystko się zmienia w epoce kryzysu klimatycznego, przychodzi ludziom ciężko, często wypieramy rzeczywistość. Pokazanie problemu przez taką pracę wydaje mi się jednak właściwe. Pamiętam panią, która z córką obejrzała film dwukrotnie: okazało się, że jest żoną rybaka, który sprzedał kuter – mówi Romuald Demidenko.

Dwa piętra niżej oglądam pracę Ru Kim – niebinarnej osoby artystycznej z Korei Południowej. Seul łączy się tu z Bałtykiem w instalacji o pamięci wody. To półciemna przestrzeń zanurzona w bursztynowym świetle; sznur wyznacza zamknięty obieg, a dwa mikrofony zachęcają do głośnej lektury libretta. Gest jest prosty: woda, która krąży, przechowuje ślady – ludzkich głosów, historii, traum – i zarazem podsuwa ↦



ALINA ŻEMOJDZIN / BAŁTYCKA GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ X2

↦ możliwość ucieczki. Pokazuje też, jak medium, które spaja kontynenty, wpływa na pojedyncze życie. Kuratorzy mówią mi, że rozpoczynają właśnie współpracę z Gyeongnam Art Museum w Seulu, więc koreańska sztuka wejdzie głębiej w słupski krajobraz.

Już po kilku tygodniach pracy w Słupsku Kilian zauważyła znaczną obecność migrantów z Ameryki Południowej. – Wpisałam sąsiedzkość w nasz program, ale nie spodziewałam się, że będzie miała taki transkulturowy charakter – mówi. Według relacji dyrektorki w mieście mieszka kilka tysięcy osób z krajów hiszpańskojęzycznych, przyciągniętych głównie przez przemysł przetwórstwa rybnego – to migranci ekonomiczni.

Doświadczenie z berlińskiego Moabitu okazało się dla Kilian punktem zaczepienia: celem stało się ściągnięcie diaspory do instytucji – i to się udało. Na hiszpańskojęzyczne oprowadzanie po Biennale Rybie Oko przyszło około 50 osób – frekwencja porównywalna z pokazami w największych warszawskich placówkach.

Jak ich zaproszono? Dyrektorka z Sylwią Starkowską i Małgosią Różańską, prowadzącymi program Pracownia Dzielnica, stały z ulotkami na przystankach, chodziły po parkach, miejscach spotkań. Pomógł właściciel warzywniaka w przejściu podziemnym – pan Arek – pierwszy, który zaczął sprowadzać produkty dla tej społeczności. Jedzenie okazało się najlepszym łącznikiem. Pan Arek nauczył się podstaw hiszpańskiego i stał się dla instytucji wsparciem – zostawiano u niego ulotki, które przekazywał dalej.



Yulia Krivich, „Morze Czarne", z cyklu „Przeczucie"

Powyżej: Theresa Weber, „The great camouflage"; „The plant, free, silent, proud", 2025.

– Otwarcie tej przestrzeni pozwoliło ludziom naprawdę poczuć, że to także ich miejsce – mówi Kilian o sporej sali zaaranżowanej jako miejsce do budowania nowej relacji. Dziś instytucja utrzymuje stały kontakt z ponad trzydziestoma osobami. Organizowano m.in. YouTube party z „protest songami", potańcówki przed budynkiem – by zachęcić sąsiadów do wspólnej, międzykulturowej zabawy – oraz kolacje z lokalnymi potrawami.

Dowiaduję się też, że językiem, który integruje społeczności, jest taniec. Latino tańczy się i w Ustce, i w Słupsku. – Co ważne: tu niczego nie udajemy – podkreśla dyrektorka. Wierzę w to, słuchając jej i Romualda Demidenki, gdy opowiadają o codziennej pracy. Nauka języka hiszpańskiego jest organizowana nie tylko w językowych tandemach dla przychodzących do instytucji gości. Hiszpańskiego uczyli się też pracownicy.

Niebieskie fale

Historii jest wiele, a koalicje – gęste. Woda staje się pretekstem do opowieści o powrocie i o tym, że – jak powtarza Kilian – wszystko jest relacją. Na słupskiej Wyspie Młyńskiej na fasadzie budynku dawnego kompleksu przemysłowego zawieszono pracę Karoliny Bielawskiej: białą tkaninę, przez którą biegną niebieskie fale, skierowane w stronę Słupi, rzeki przecinającej miasto.

W swojej praktyce Bielawska bierze pod uwagę nie tylko ludzkie podmioty; tym gestem oddaje sprawczość Słupi, łączącej miasto z linią brzegową. Rzeka wpada do Bałtyku tuż przy usteckim oddziale BGSW. Sąsiedztwo i relacje przenikają się tu na wielu poziomach, a Słupsk staje się ważnym punktem na mapie polskiej sztuki. Mam jednak wrażenie, że dla tutejszego zespołu równie istotne pozostaje to, co najbliżej – pod domem.

© ANNA PAJĘCKA

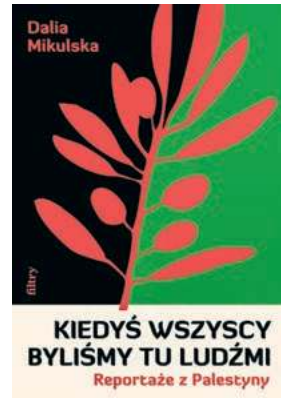


ROBERT PAŁKA / NETFLIX

■ **HEWELIUSZ**,
reżyseria Jan Holoubek,
scenariusz Kasper Bajon,
Netflix

Miniserial „Heweliusz" bezbłędnie łączy w sobie kilka filmów, rozegranych w różnych planach czasowych i różnych konwencjach. Wielkoskalowy spektakl, jakim staje się sama katastrofa, szybko zamienia się w opowieść o winie, na dodatek w znaczeniu podwójnym.
Czy kapitan Andrzej Ułasiewicz (Borys Szyc) podjął w kryzysowym momencie niewłaściwie decyzje? – to jest przedmiotem gęstego dramatu sądowego, który ma zdjąć winę z potężnego armatora.
I czy Andrzej jest bohaterem tej historii, czy może jednak antybohaterem, który co prawda sam stracił życie, lecz ma na swych rękach krew ponad pięćdziesięciu osób? Wokół tego toczy się osobisty dramat rodziny kapitana oraz innych rodzin naznaczonych powypadkową traumą.
A na to nakładają się jeszcze brudne gabinetowe rozgrywki, które mają pogrążyć Andrzeja i wygasić sprawę, oraz tajna akcja służb specjalnych.
Liczą się tu przede wszystkim interesy grubych graczy, a nie czyjeś straty, cierpienia, dylematy czy dobre imię.
Inaczej niż dla twórców „Heweliusza", którzy świetnie balansują między sensacyjnym „proceduralem" a opowieścią o żywych ludziach. Sceny katastroficzne zaiste chwytają za gardło.
Przywoływane w serialu kilkakrotnie i z różnych perspektyw (załogi, pasażerów, kapitana) powodują immersję w najdosłowniejszym znaczeniu.
Możemy doświadczyć jej z bardzo bliska, zamknięci w niesprawnych trzewiach promu czy wrzuceni w zimne bałtyckie głębiny.
© ANITA PIOTROWSKA

■ *Dalia Mikulska*,
KIEDYŚ WSZYSCY BYLIŚMY TU LUDŹMI. REPORTAŻE Z PALESTYNY, *Filtry*



Choć reportażystka Dalia Mikulska podróżuje po Izraelu i Palestynie, rozmawiając z przedstawicielami obu zwaśnionych narodów, jest to przede wszystkim historia Palestyńczyków: ich utraconej ziemi, bezskutecznej walki o jej odzyskanie i uporczywego trwania na swoim, pomimo codziennych upokorzeń. Opowieść o murze, blokpostach, wszechobecnej kontroli i pogardzie żołnierzy. I o tym, jak zachować godność w realiach okupacji. Jako że autorka nie mogła wjechać do Strefy Gazy, książka opowiada głównie o Zachodnim Brzegu. O sytuacji w enklawie dowiadujemy się z ust ocalałych – szczęśliwych posiadaczy podwójnego obywatelstwa lub zasobnego portfela, które umożliwiły im ewakuację do Europy. Narracyjną osią jest z kolei życie byłego, zresocjalizowanego bojownika Hamasu. Za wywiad z nim, opublikowany w „Dużym Formacie", spotkała Mikulską ostra krytyka, w myśl zasady, że z terrorystami się nie rozmawia. Tym, którzy twierdzą, że autorka im sprzyja, można jedynie poradzić, by zapoznali się z tą historią do końca. Choć nie brak tu trudnych wątków, wszystkie będą zrozumiałe nawet dla osób niezaznajomionych z historią konfliktu. Z kolei czytelnik, który od ponad dwóch lat słucha głównie suchych medialnych doniesień o anonimowych ofiarach izraelskiej rzezi, liczonych już w dziesiątkach tysięcy, doceni głos żywych, zarejestrowany przez autorkę.
© MACIEJ AUGUSTYN

■ *Ilona Wiśniewska*,
HJEM. NA PÓŁNOCNYCH WYSPACH, *Czarne*



„Ptasi los to nasz los" – mówi jeden z bohaterów książki „Hjem" Ilony Wiśniewskiej. I trudno powiedzieć, czy w zdaniu tym jest więcej smutku i samotności, czy wolności. Przeplatają się tu historie mew trójpalczastych, nazywanych przez Wiśniewską „krysiami" (od norweskiego określenia na mewy – *krykkje*), i migrantów, którzy w Norwegii szukają domu. Dotąd Wiśniewska odkrywała nam świat, który i dla niej był nowy. W książce „Białe" – jak pisała o swoich poprzednich reportażach przy okazji naszej rozmowy dla „Tygodnika" – opowiadała Spitsbergen także sobie. W „Hen" zebrała głosy starych Norwegów i pomyślała, że na Północy mogłaby się „cicho zestarzeć". Książka „Lud" była o Grenlandii i o ciszy na zamarzniętym morzu, a „Migot" – jej najtrudniejsza, jak przyznała, podróż reporterska, o polarnych Inuitach i ich znikającym domu. W „Hjem" po raz pierwszy pisze o miejscu, które może nazwać i swoim. Jednak z historii, które zebrała – mew i migrantów – wybrzmiewa pytanie, czy istnieją jeszcze miejsca, w których możemy czuć się bezpiecznie. Domy, siedliska, przystanie – bo to znaczy w języku norweskim tytułowy „Hjem". „Człowiek nie rozumie liczb i wykresów, ale rozumie opowieść. Ty potrafisz je snuć i musisz to robić" – to zdanie z książki „O czasie i wodzie" Wiśniewska zabiera ze sobą. I właśnie taką opowieść daje nam w „Hjem". ©℗ ANNA GOC

Słodka zemsta

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Film greckiego reżysera jest brawurową opowieścią o buncie, który wyrasta z bezsilności. Karmiony niezaleczoną traumą i spiskowymi teoriami, staje się własną parodią.



„Bugonia" to z grubsza film o pszczołach i ludziach – i nie pierwszy raz Yórgos Lánthimos znajduje niepokojące połączenia między kondycją ludzką a zwierzęcą. Te pożyteczne owady mogą być, jak wiadomo, żywym wskaźnikiem czystości naszego ekosystemu, albo, przynajmniej dla niektórych, wzorcowym przykładem etyki pracy. Chociaż bardziej w imię korporacyjnego sukcesu aniżeli wspólnego dobra. Bez pszczół ludzkość raczej nie przetrwa, ale też, naśladując ich ślepe posłuszeństwo wobec roju, skazuje siebie na półniewolnicze trwanie. Film greckiego reżysera jest brawurową opowieścią o buncie, który wyrasta z ludzkiej bezsilności, desperacji, niezgody, lecz karmiony niezaleczoną traumą i spiskowymi teoriami, staje się własną parodią.

O pszczołach w jednej ze scen rozprawia trójka głównych bohaterów: dwaj porywacze i porwana. Oni, nerwowy Teddy (Jesse Plemons) i jego mało rozgarnięty kuzyn Don (Aidan Delbis), w wymieraniu miodnego gatunku węszą międzyplanetarny spisek, którego ważnym ogniwem ma być Michelle (Emma Stone), szefowa wielkiego koncernu chemicznego. Była dotąd całkowicie bezkarna w zatruwaniu środowiska pestycydami i w ryzykownych eksperymentach farmakologicznych, aczkolwiek Teddy i Don wolą wierzyć, że przysłano ją na Ziemię z odległej galaktyki, by kontrolować ludzki gatunek.

To właśnie misja ratowania naszej planety, a pod spodem osobisty resentyment (matka Teddy'ego padła ofiarą wspomnianych testów) każe bohaterom przetrzymywać i torturować w swojej piwnicy tę elokwentną harpię – i zarazem domniemaną kosmitkę. A to dopiero początek historii, która do samego końca będzie brzmieć niczym opowieść wariata, jednak wzorem wielu innych współczesnych filmów rozrywkowych (patrz: „Jedna bitwa po drugiej") diagnozuje całkiem na serio szaleństwa tego świata. Przepowiada jego nieuchronną przyszłość już nie tylko z szatańskim śmiechem na ustach, ale i z Wergiliuszem pod pachą.

Jak prawie wszystkie filmy twórcy „Lobstera" i „Faworyty", ten również jest wariacją na temat władzy, przywileju, przemocy i dynamika tych sił tworzy chwilami bardzo gęste napięcie. Oto dwóch przegrywów, pozostawionych ze swymi niedostatkami na społecznych obrzeżach, zapatrzonych w science fiction i foliarskie witryny internetowe, bierze odwet na beneficjentce społeczno-ekonomicznego systemu, w jego najbardziej darwinistycznym wydaniu.

Nawet kobiecość Michelle może być jej przewagą. Stąd dla pewności, na czas trwania swojej misji, bohaterowie poddają się chemicznej kastracji (włosy zgolą zakładniczce z innych powodów). A film, utrzymany w absurdalnym stylu braci Coenów czy Tarantina, zamieni się w próbę sił między naładowanym agresją Teddym i jego ospałym pomocnikiem a nieprzyzwoicie uprzywilejowaną kobietą.

Zresztą bohaterka rychło zaczyna się orientować, iż jej porywacze są osobami niepełnosprytnymi i rozpoczyna z nimi własną grę, opartą na manipulacjach, blefach i kłamstwach. Przy czym cała historia opowiedziana jest tak cynicznie, że przez dłuższy czas trudno zająć sztywne stanowisko – obie strony, w zależności od tego, kto akurat znajduje się na górze, a kto na dole, potrafią budzić litość lub trwogę. Jednakże – mówi Lánthimos – to nie nasz wujek czy kuzyn foliarz jest dziś prawdziwym zagrożeniem. Już prędzej ci, którzy mając w ręku realną władzę, wszelkie zasoby, nie mówiąc o publicznej widzialności, doprowadzili do odpalenia się tych szalonych wujaszków.

Stone i Plemmons, regularnie występujący w filmach Lánthimosa, to wystrzałowy duet postaci, które swoim różnie wyrażanym okrucieństwem i obłędem nawzajem się napędzają. Tworzą razem nierozerwalny splot, co chwila burząc porządek władzy czy moralnej słuszności. Choć przecież w tej krwawej komedii nie chodzi o to, by w przededniu Wielkiego Końca wrzucać do jednego nihilistycznego wora niebezpiecznych antysystemowców i odpowiedzialnych za katastrofalny stan rzeczy. Jakkolwiek twórcy „Bugonii" bezustannie prowokują – bo co, jeśli to nie ci myślący racjonalnie mają rację? I kiedy już, już wydaje się, że znamy



PAWEŁ TYBORA / LUCKY BOB & WARNER BROS.

BUGONIA
– reż. Yórgos Lánthimos. Prod. USA/Korea Południowa/Irlandia/ /Kanada/Wielka Brytania 2025. Dystryb. UIP. W kinach.

Yórgos Lánthimos jeszcze dekadę temu był współtwórcą greckiej Nowej Fali, znanym z ekscentrycznych filmów „Kieł" czy „Alpy". Anglojęzyczny „Lobster" (2015) zapoczątkował jego międzynarodową karierę, znaczoną takimi tytułami, jak „Zabicie świętego jelenia" (2017), nominowane do Oscara „Faworyta" (2018) i „Biedne istoty" (2023), a ostatnio „Rodzaje życzliwości" (2024).

Aidan Delbis, Jesse Plemons i Emma Stone w filmie „Bugonia"

puentę tej historii, dopisują kolejną, nie stawiając ostatecznej kropki.

Yórgos Lánthimos w amerykańskim systemie produkcji nie może sobie pozwolić na taką dezynwolturę, jaką miały jego kameralne i bardzo konceptualne filmy greckie. Nie ma też w „Bugonii" orgii pomysłów na skalę „Biednych istot", a nieco późniejsze „Rodzaje życzliwości" były dowodem, że i mistrz może czasem chybić. W najnowszym filmie udaje się, na mniejszą już skalę, połączyć kreatywne szaleństwo i gatunkową dyscyplinę, ambicje i przystępność. Bez wątpienia ma w tym swoje zasługi scenarzysta Will Tracy – człowiek, który wcześniej pracował przy filmie „Menu" i serialu „Sukcesja", zaś jako producent ma także na koncie „Mountainhead" i „Eddingtona". Czyli kino zdecydowanie krytyczne wobec mechanizmów tego świata i zarazem potrafiące tę krytykę mniej lub bardziej atrakcyjnie sprzedać.

Tracy wziął tu zresztą na warsztat cudzy scenariusz, koreańskiego filmu „Save the Green Planet!" Joon-hwan Janga z 2003 r., a sam tytuł pożyczony został od starożytnych Greków i Rzymian. Według ich wierzeń bugonia oznaczała odrodzenie się pszczelego roju z ciała martwego byka – czyli mimo wszystko triumf życia ponad śmiercią. Na ile ironiczna to metafora, pozostawiam indywidualnej ocenie. Pod tą międzygatunkową zabawą (kinem zemsty, klaustrofobicznym thrillerem, psychodeliczną fantastyką) nie każdy znajdzie ostry film zaangażowany; to bardziej odhaczanie palących tematów – współczesnego technofeudalizmu, ekologicznej dewastacji, kryzysu opioidowego, porzucenia przez państwo najsłabszych obywateli, internetowej szurii...

Film raczej bawi się tymi zjawiskami w rytm przeskalowanej muzyki Jerskina Fendriksa, wyraźnie zasłuchanego w filmach Hitchcocka, acz robi to w taki sposób, że śmiech czasami zastyga w grymas przerażenia. Działa tak również kończąca film melancholijna piosenka „Where Have All the Flowers Gone?" w wykonaniu Marleny Dietrich.

Jedynie wizja finałowej bugonii, trochę jak z naszych niedawnych pandemicznych rojeń, mogłaby tu wnieść iskierkę nadziei. „Ale nie dla nas", jak pisał Franz Kafka cytowany niedawno w pewnym polskim filmie dokumentalnym. Dobrze, że i dzisiaj ktoś o tym próbuje opowiadać. ©

Lektor:
Ptaki, które odleciały



▪ *Julia Szychowiak*
WYRAZY WSPÓŁCZUCIA
Biuro Literackie, Kołobrzeg 2025, ss. 36

Wyrazy współczucia – najprostsze, najwięźlejsze i zarazem najbardziej banalne kondolencje? Tylko czy współodczuwanie może być w ogóle banalne? Może każdy wiersz jest wyrazem współczucia i równocześnie zaproszeniem do współodczuwania świata? Same pytania.

Ale też surowy minimalizm i powściągliwość wierszy Julii Szychowiak do pytań zachęcają. Wiele w nich ciemności i „nie ma kogo / zapytać / czy to // noc / wymyśliła / ciemność". „Potencjał nocy" i żywioł wody. Rzeka wzbiera, może weźmie na nas odwet za złe traktowanie. „Opowiadam / o tym, / jak pewnego / dnia // znajdziemy / na dnie / wrak / jeziora". Zaciera się granica między nami a przyrodą, może zresztą nigdy jej nie było. Żywe zwierzęta przyjdą popatrzeć na martwą naturę namalowaną na płótnie rozpiętym między drzewami. W „drzwiach bez domu" pojawia się młody jeleń bez matki.

Są i ptaki, do których tęsknimy. „Promieniste gołębie na kablach elektrycznych". Piękne, intrygujące zdjęcie Radosława Kobierskiego, też poety, z ptakami siedzącymi na drutach, buduje architekturę graficzną tej książki, koresponduje z tekstami, a zarazem przydaje jej lekkości – i melancholii. Bo niektóre ptaki już odlatują.

Jako wielbiciel cienkiego humoru autorki, który pokazała w „Całym życiu z moim ojcem", doceniłem wiersz „W dniu / zakochanych // zrobili jej / echo / serca". Tu jednak kontekst jest raczej mroczny, bo naprawdę wiele w tej książce śmierci. „Pośrodku mroku ktoś / powiesił się / na drzewie // do którego / wcześniej / się przytulił (...)". „Kot umarł, / pies umarł, / matka Józka Mazura, / bo on podobno / kilka lat wcześniej. / / I czyjaś miłość. (...)". Został „niedorzeczny / zachwyt / nad słońcem, które / za dnia płonie, / a nocą gaśnie".

No i śmierć szczególna, odejście Mistrzyni, u której Julia Szychowiak pobierała lekcje poetyckiej ascezy. „– Umarła mi moja poetka" – pisze w wierszu dedykowanym Krystynie Miłobędzkiej. „Najważniejszym dla mnie punktem odniesienia jest poezja Pani Krystyny Miłobędzkiej" – mówiła Jarosławowi Borowcowi po wydaniu w 2009 roku drugiego tomu, zatytułowanego „Wspólny język" (za wcześniejszy o dwa lata debiutancki zbiór „Po sobie" otrzymała nagrodę Silesiusa). Więc jednak „wyrazy współczucia" tradycyjnie rozumiane? Jeśli tak, to złożyć je trzeba także Autorce. I nam wszystkim. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Człowiek jest tym, czego nie je*



Jedenaście to kulawa liczba, kabaliści na pewno coś na jej temat wymyślili, ale mi przypominała tylko jedynkę rozdwojoną w pijanym widzie. Dlatego dziwiło mnie, że Karol Marks, myśliciel o parareligijnym oddechu, epickim rozmachu i spiżowym wyczuciu formy, dał światu tylko jedenaście tez o Feuerbachu. Jakby nie umiał spod palca stworzyć dwunastej, żeby to się dostojnie komponowało z gipsowym popiersiem upchniętym w kącie instytutu. Komuna powoli dopalała się jak pet po ekstra mocnym, wgnieciony w ciężką kryształową popielniczkę, ale najlepsze umysły mojego pokolenia wciąż jeszcze musiały się kiwać z nudów nad jego pismami. Ów rozpracowany w jedenastu punktach Ludwik Feuerbach do dziś przetrwał tylko jako autor zdania „człowiek jest tym, co je".

Najgłośniejsza inba tej jesieni, skądinąd przesycona nostalgią za PRL (znana wam na pewno profesorka od żywienia rzekła np. „nie było tylu kolorów, bajerów, ale była jakość"), natchnęła mnie, by uzupełnić marksowską niedoróbkę. Oto przed wami teza dwunasta: „Człowiek jest przede wszystkim tym, czego nie je".

O ile pożywienie, w sensie fizykochemicznie opisywalnych kęsów i łyków, ulega przemianie w energię i substancje niezbędne dla trwania naszej formy cielesnej wspólnej z ssakami naczelnymi, to lęki, tabu i obrzydzenia jedzeniowe tworzą czysto mentalną powłokę, jaką człowiek narzuca na swoją małpiastość. I jako takie, mówią więcej o danej kulturze i ustroju społecznym w danym miejscu i czasie niż ów „kształt architektury, rytm bębnów i piszczałek" z Herbertowskiego wiersza. To, czego jeść nie należy, nie wypada albo wręcz nie wolno, jest w każdym kontekście, jaki poznajemy z historii społecznej, jednym z najłatwiej dających się opisać narzędzi tworzenia hierarchii, wyznaczania pozycji, odróżniania lepszych od gorszych i sprawowania przez tych pierwszych władzy nad drugimi.

Ale modne teorie pana Bourdieu o dystynkcjach – w postaci np. hierarchicznej drabiny tego, jakie części zwierzęcia mogły trafić do czyjego kotła – albo religioznawcze badania nad zasadami postów to są wszystko przyjemne jak miękki fotel przy kominku zajęcia ludzi, którzy nie musieli się nigdy parać uprawą bądź zdobywaniem, a następnie obróbką i przygotowaniem pokarmu. Tu, w okolicach kuchni i spiżarni, o tym, czego człowiek nie je, decydują w równym stopniu siły mroczne i potężne, całe legiony lęków, strachów, guseł i przesądów, które swój korzeń zapuszczają w elementarnej sztuce przetrwania. Polegającej zarówno na tym, by zjeść



to, co wykarmi, jak i nie zjeść tego, co zatruje. Jakże szybko z wierzchnich warstw świadomości całkiem wyparliśmy pamięć o elementarnych jeszcze kilkadziesiąt lat temu umiejętnościach i zasadach oceny żywności sprzed technik chłodniczych, pasteryzacji i konserwacji.

Bezpieczeństwo posiłku stało od zawsze na dwóch podstawowych filarach. Pierwszy to kontrola nad procesem, czyli uprawą i hodowlą. Jadło się to, co własne ręce zasiały, zebrały, wykarmiły i zarżnęły. Własne ręce przecież nie mogą zrobić krzywdy. Drugi to doświadczenie, zmysły wyćwiczone od dziecka w rozpoznawaniu ewidentnych oznak zepsucia i toksyn. A fuj, nie rusz. Kiedy spora część europejskiej ludności przeniosła się do miast, filar kontroli – znajomości jedzenia „z pierwszej ręki" – zniknął. I kiedy jedzenie już pochodziło z drugiej, trzeciej, dziesiątej ręki, kontrola musiała przejść na poziom instytucji – o ile takowe realnie mogły ją sprawować – oraz zaufania do każdego z ogniw pośrednich.

Dziś, uśpieni przez sterylny, może aż zbyt sterylny przemysł spożywczy i higieniczną dystrybucję, nie pamiętamy, że dla naszych zurbanizowanych przodków podstawowym odruchem była jednak nieufność. W grube, żyzne pokłady lęku zawsze lubią zapuszczać korzenie główne jego pasożyty: uprzedzenia. Społeczne, religijne, polityczne. Dzieje Europy są pełne zarówno epizodów wielkiej śmiertelności związanej z zatruciami (jeszcze w 1951 r. we Francji ludzie marli jak muchy od mąki skażonej sporyszem), jak i epizodów przemocy i gwałtów wywołanych łatwopal-



RH2010 / ADOBE STOCK

nymi oskarżeniami o zatrucie wody, chleba, mięsa, owoców. Zatrucie wisiało tuż obok zarazy na horyzoncie człowieka zawsze wypatrującego z niepokojem zła przyniesionego przez innych.

W tym kluczu można wysłuchać – na przyspieszonych obrotach taśmy, bo szkoda czasu na aż takie bzdury – całego wylewu myśli owej dietetyczki od szkodliwości soi, której poszczególne nieprawdy zostały już dokładnie rozebrane na części. Jej opowieść, skądinąd inkrustowana okruchami prawd oczywistych („unikajmy przetworzonego jedzenia"), jest przede wszystkim wielkim ćwiczeniem w drażnieniu najgłębszych lęków, które są w nas bezczynne, od kiedy – nieraz przesadnie, ale o tym porozmawiajmy innym razem bez spiskowego sztafażu – ufamy datom ważności i normom, które spełniają producenci i dystrybutorzy.

Na targowiskach Francji przez wiele stuleci panował lęk przed „świńskim trądem", który objawiał się rzekomo zgrubieniami na języku zwierzęcia (zapewne to objaw wągrzycy wywoływanej przez tasiemca). Stąd istniała długo ważna funkcja *langueyeur* – inspektora świńskich języków. Dziś świnie są zdrowe i z pieczątką, ale i tak robota by się dla niego znalazła, bo zawsze lubimy się bać.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Vitello tonnato

Pod koniec XV wieku Karol VIII Walezjusz zajął Neapol, a jego wojska zaczął trapić syfilis. Istnieją podstawy, by twierdzić, że to królewscy najemnicy przynieśli chorobę ze sobą (stąd Włosi mówili na nią „francuska"), ale w szeregach okupantów panowała teoria, że złapali ją w mieście, a konkretnie jedząc tuńczyka, wówczas rybę bardzo poślednią, więc tanie źródło wiktu dla wojaków. Dobra to więc okoliczność, żeby sobie przypomnieć ten klasyk piemonckiej kuchni, w dodatku bardzo mięsny, co ucieszyłoby panią profesor od spisków sojowych.

SKŁADNIKI:
ok. 0,7 kg schabu cielęcego 2 jajka 2 fileciki anchois 2 łyżki kaparów 100 g tuńczyka w oliwie 100 ml bulionu mięsnego lub warzywnego ▪ włoszczyzna

Mięso obwiązujemy ciasno sznurkiem, wstawiamy do garnka razem z pokrojoną włoszczyzną, solimy, zalewamy wodą z odrobiną białego wina, tak by je przykryć, wstawiamy na bardzo mały ogień, kiedy zacznie lekko migotać, zdejmujemy szumowiny, przykrywamy i gotujemy dalej (0,5 h na każde 0,5 kg mięsa). Po ugotowaniu studzimy, zawijamy w folię aluminiową i wstawiamy do lodówki na parę godzin. Gotujemy jajka na twardo, obieramy, kroimy, wkładamy do miksera razem z tuńczykiem, anchois i kaparami, które opłukaliśmy z soli (są znacznie lepsze niż te z zalewy). Dolewamy nieco bulionu, zaczynamy miksować, dolewając jeszcze bulionu tak, by powstał krem o konsystencji pitnego jogurtu. Wykładamy na półmisek cieniutkie plasterki mięsa. Polewamy obficie sosem, dekorujemy garścią kaparów, chłodzimy przed podaniem.
Kilka razy użyłem tego sosu do plasterków schabu wieprzowego, ale pieczonego bez czosnku i majeranku. ©℗



OLEG KIRIENKO / ADOBE STOCK

PSYCHE

WSTYDŹ SIĘ ŚWIADOMIE

PROF. KAROLINA KRAWCZAK
BADACZKA EMOCJI SPOŁECZNYCH W JĘZYKU:

W naszej kulturze wstydzimy się rzeczy widocznych. Jeżeli osoby, na których opinii nam zależy, nie wiedzą, cośmy nabroili, raczej po nas to spłynie.

MARCIN TUSIŃSKI: Czego Ty się wstydzisz?

PROF. KAROLINA KRAWCZAK: Zawsze stresuję się przed wystąpieniami publicznymi, mimo że mam sporo lat doświadczenia. Boję się, że nie wypadnę tak dobrze, jak bym chciała. Przeżywam wstyd antycypacyjny. Przygotowuję się bardziej niż to konieczne, żeby uniknąć utraty twarzy.

Prywatnie wstydzę się kwestii związanych z wyglądem. Nie założyłabym krótkiej spódniczki, bo wstydziłabym się, że nie mam idealnych nóg. Chciałabym być przynajmniej o kilka kilogramów szczuplejsza. Myślę, że czułabym się z tym lepiej. To takie konkretne, prozaiczne kwestie.

Z czego wynika odczucie wstydu w obu tych przypadkach?

Wstyd jest kategorią poznawczą, którą tworzymy zupełnie podświadomie, żeby nie powiedzieć: nieświadomie, poprzez nasze osobiste doświadczenie, ale w kontekście społeczno-kulturowych oczekiwań, norm, standardów. Kiedy w subiektywnym poczuciu od nich odstajemy, może pojawić się poczucie niezadowolenia z własnej osoby, a w konsekwencji możemy zacząć odczuwać emocje negatywnej samooceny.

Wstyd należy do kategorii emocji negatywnej samooceny, określanych również mianem emocji społecznych, do których zaliczają się także: zażenowanie, poczucie winy albo dumy – to ostatnie jest oczywiście pozytywnym przejawem emocji społecznych. Wstyd może wiązać się także ze smutkiem, złością, lękiem, strachem przed odrzuceniem lub utratą twarzy. Tego ostatniego obawiamy się szczególnie silnie w bezpośredniej grupie, na której nam zależy. Wiele z tych emocji ze sobą współwystępuje. Wstyd jest najbardziej negatywnie nacechowany, bo często może się wiązać z chęcią wycofania się, schowania, zniknięcia.



ADOBE STOCK

To emocja, która w literaturze psychologicznej rozpoznawana jest jako ta, która rzutuje na postrzeganie całościowej tożsamości jednostki. W odróżnieniu od np. poczucia winy czy zażenowania, które nie rzutują na całościowe postrzeganie siebie, tylko na konkretne sytuacje.

W jaki sposób wstyd wpływa na kształtowanie naszej tożsamości?

Znany (emerytowany już) profesor socjologii z University of California, Thomas Scheff, napisał w 1988 r. na łamach czasopisma „American Sociological Review", że żyjemy w permanentnym poczuciu wstydu albo dumy. Jesteśmy tak ukształtowani normami, oczekiwaniami, założeniami, regułami społeczno-kulturowymi, że zawsze jesteśmy albo z siebie zadowoleni i dumni, albo popadamy w różne odcienie wstydu.

To brzmi tak, jakbyśmy nie mieli wyboru.

W pewnym sensie tak jest, choć to niekoniecznie takie złe. Wstyd działa w odniesieniu do grupy – rodziny, rówieśników, kolegów i koleżanek w pracy... Określany jest mianem *self regulatory emotion*, pozwala regulować własne zachowanie w celu uniknięcia ewentualnej negatywnej samooceny lub złej oceny



od innych. I w tym sensie pełni także pozytywną rolę w społeczeństwie jako mechanizm samokontroli.

Potrzeba przynależenia i tego, abyśmy wypadli dobrze w naszych działaniach, jest na tyle silna, że zupełne uwolnienie od myślenia w tych kategoriach byłoby bardzo trudne. Aczkolwiek, z moich badań nad wyrażaniem emocji społecznych w kontekście prozy amerykańskiej, brytyjskiej, francuskiej i polskiej wynika, że istnieją w tej kwestii różnice kulturowe. A to oznacza, że emocje społeczne nie są czysto biologicznymi reakcjami, lecz zależą także od tego, jak interpretuje się je w kontekście różnych kultur i grup społecznych. Poza tym są między nami też różnice indywidualne. Jedni są wrażliwi na konwenanse, inni czują się bardziej wolni od oczekiwań społecznych.

Psychologowie społeczni podzielili kultury na kolektywne i indywidualistyczne. Sposób odczuwania emocji społecznych jest zależny od tego, w której z nich żyjemy. Kultury kolektywne, do których należą kultury Wschodu – a Polska jest bardziej kolektywna niż indywidualistyczna – uznają przynależność do grupy za szalenie ważną, bo ich postrzeganie siebie jest często rozszerzone właśnie o grupę. Odczuwanie wstydu zależnego, który wynika z tego, że ktoś bliski robi coś, co wywołuje poczucie negatywnej samooceny, występuje częściej w kulturach kolektywnych.

W kulturach indywidualistycznych – Ameryka oczywiście wiedzie tu prym, a Wielka Brytania jej nie ustępuje – postrzeganie siebie jest węższe. Tam odczuwanie wstydu nawet w odniesieniu do np. rodziców-alkoholików czy rodziny w ogóle może nie być aż tak powszechne, co nie znaczy, że nie występuje wcale. Jednostki skupiają się na swoich celach osobistych, niekoniecznie narzuconych przez innych, np. rodziców.

Nie można tu oczywiście generalizować, mówimy o tendencjach i prawdopodobieństwie ich wystąpienia. Ja podchodzę do zagadnienia różnic kulturowych z perspektywy językowej. Ustalone przeze mnie wzorce wynikają z badań współczesnej literatury wspomnianych społeczności. Badałam, jak ludzie rozumieją te emocje, jakich używają słów do ich wyrażenia oraz w jakich sytuacjach to robią.

W moich badaniach nad wstydem skupiałam się na przymiotnikach występujących w literaturze, takich jak *zażenowany*, *zakłopotany*, *zawstydzony* czy *winny* w języku polskim, i ich odpowiednikach w pozostałych badanych przeze mnie językach. Analizowałam setki użyć tych wyrażeń dla różnych cech kontekstualnych, takich jak źródło emocji, obecność ↦

↦ świadków, czas ich trwania... Wychodziłam z założeń językoznawstwa kognitywnego, które opiera się na tzw. *usage-based models of language*, czyli rozumieniu języka w oparciu o użycie. Oznacza to, że poprzez analizę użycia języka możemy uzyskać wgląd w leżącą u jego podstaw strukturę konceptualną, dzięki której interpretujemy otaczającą nas rzeczywistość.

Czego więc wstydzą się Polacy?

Wyszło na to, że my w Europie Środkowej, wśród Słowian, używamy terminów kojarzonych ze wstydem znacznie częściej w kontekście sytuacyjnym. Odczuwamy tę emocję i wyrażamy ją w kontekście tu i teraz. Na przykład: „Ach, kwiaty! – zawołała. – Niech pan tutaj złoży – wskazała na szklany stolik. Położył kwiaty, zawstydzony ich mizerią". albo: „Chłopak się zaczepił obcasem o szczebel i spadł do sieni, szczęściem na siennik. Zerwał się zawstydzony". Psychologia mówi nam, że wstyd jest emocją rzutującą na całościowe postrzeganie siebie. Normalnie powinien zatem odnosić się do lęku przed ostracyzmem, ważnych kwestii związanych z tożsamością. W języku polskim odnosi się natomiast do odczuć wywołanych określoną sytuacją, w obecności innych.

Jeżeli osoby, na których opinii nam zależy, nie są świadome tego, cośmy nabroili, to prawdopodobieństwo, że to po nas „spłynie" – rośnie. Wstydzimy się rzeczy widocznych. Ja np. nie noszę drogich strojów. I czasami zdarza się, że głupio mi przed sąsiadką, która ubiera się bardzo elegancko. Wstydzimy się też, kiedy ktoś nas publicznie źle potraktuje. Utrata twarzy jest dla nas bardzo istotna.

Niedawno pewna bardzo zaawansowana wiekiem kobieta znalazła się w szpitalu, ponieważ, bez konsultacji z lekarzem, przyjmowała leki na odwodnienie. Utrata elektrolitów mogła kosztować ją życie. Nikomu w rodzinie nie przyznała się do „samowoli", która wywołała kryzys. Czy to dlatego?

Myślę, że ta sytuacja wywołała w niej poczucie winy, wstyd, że wykazała się nieodpowiedzialnością. Byłoby jej zwyczajnie „głupio", co jest często wykorzystywanym, potocznym wyrażeniem oznaczającym wstyd. Nie chciałaby zapewne, aby rodzina robiła jej wyrzuty. W tym przypadku niewiedza rodziny na temat jej błędu jest ważną kwestią, bo dzięki temu nie straci twarzy. W Polsce pojęcie wstydu zdaje się zbliżać w potocznym rozumieniu do pojęcia znacznie lżejszego i mniej obciążającego osobę odczuwającą, tj. zażenowania. Słów związanych z kategorią wstydu używa się zarówno w sytuacjach, kiedy powody emocji są poważne, jak i wtedy, gdy są błahe.

Czym od wstydu po polsku różni się wstyd po angielsku czy francusku?

Słów należących do kategorii „wstyd" (np. *ashamed*) używa się tam w sytuacjach poważniejszych i ta emocja towarzyszy danej osobie znacznie dłużej niż w naszym „sytuacyjnym" kontekście wstydu. Tam wstydzą się bardziej różnych słabości, hipokryzji, ale też tego, że kogoś zawiedli. Odczucie wstydu wynika częściej z celów jednostki, a nie grupy. Odczuwają wstyd ze względu na swoją samotność i nie potrzebują świadków, aby ta emocja się pojawiła. Chodzi o niespełnienie oczekiwań własnych, co wystarczy do zaniżenia samooceny. Powody do wstydu są tam zatem często poważniejsze niż w naszym kręgu kulturowym, co znajduje także odzwierciedlenie w literaturze psychologicznej. W porównaniu do nas, jest o wiele mniej prawdopodobne, aby Anglik poczuł się zawstydzony przyniesieniem nieco zwiędłych kwiatów. Użyłby tu raczej wyrażeń z grupy „zażenowania / zakłopotania".

Kolega tłumaczył mi kiedyś w Anglii, czym się różni klasa średnia od wyższej: przed domem jednych i drugich stoi taki sam range rover, tylko że u klasy średniej jest wypolerowany na wysoki połysk, u wyższej – uwalony błotem. Czy wstyd jest zróżnicowany klasowo?

Sytuacja klasowa i społeczna na pewno wywiera wpływ na to, jak interpretujemy swoje zachowania oraz na poziom pewności siebie. Im wyżej stoimy w hierarchii społecznej, ale też ekonomicznej, tym bardziej pewni siebie jesteśmy. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na to, jakie samochody najczęściej parkują ostentacyjnie w zakazanych miejscach. Bywam świadkiem takich sytuacji u siebie na ulicy i najczęściej są to samochody luksusowe.

W mercedesie prościej łamie się zakazy?

Można tak pomyśleć. Sądzę, że tzw. elity mogą sobie pozwolić na wstyd bardziej abstrakcyjny, na przykład związany z tym, jak Polska jest postrzegana na arenie międzynarodowej, bo mają mniej obaw bardziej przyziemnych. Niestety, czasami może to prowadzić do arogancji, jak choćby z tym parkowaniem.

Obawy o swój wygląd, ubiór, standard domu, posiadany samochód, mogą być podstawą do odczuwania negatywnej samooceny u każdego, ale pewnie częściej występują wśród ludzi niżej usytuowanych społecznie czy ekonomicznie.

Wyobrażam sobie, że łatwo tę wiedzę wykorzystać do manipulacji.

POŻEGNANIE

Z żalem przyjęliśmy wiadomość,
że 31 października w wieku 92 lat zmarł

Ś.†P.

Jan Turnau

– redaktor, publicysta, teolog, działacz na rzecz jedności chrześcijan,
nasz Przyjaciel, człowiek mądry i dobry.
Hojnie dzielił się z nami owocami swych przemyśleń i obdarzał nas życzliwością.
Będzie nam Go bardzo brakowało.

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Przyjaciele z Grupy Wydawniczej ZNAK



DYLAN GLYNN / ARCHIWUM PRYWATNE

KAROLINA KRAWCZAK jest profesorką uczelni na Wydziale Anglistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jej badania dotyczą m.in. zastosowania ilościowych metod korpusowych do analizy użycia wyrażeń oznaczających negatywne emocje społeczne w różnych językach. Odbyła staże zagraniczne na uniwersytetach w Belgii, Francji i Szwajcarii.

Ludzie posiadają coś, czego w świecie zwierząt nie ma, tzw. teorię umysłu, czyli zdolność wejścia w czyjeś emocjonalne, mentalne buty. Potrafimy zrozumieć, czego druga jednostka lub grupa ludzi może pragnąć lub bardzo nie chcieć. Weźmy grupę, która nie chce odczuwać wstydu ze względu na ubóstwo. Oferowanie im konkretnej formy pomocy socjalnej zadziała – ponieważ obiecuje coś, co może częściowo uleczyć ich wstyd. Świadomość tego, że ludzie za wszelką cenę pragną uniknąć wstydu, a doświadczać poczucia dumy, jest istotnym mechanizmem manipulacyjnym.

Czym jest bezwstydność?

Bezwstydność jest dosyć trudną „umiejętnością", występującą, gdy jesteśmy aż nadto wyzwoleni od odczuwania możliwych konsekwencji łamania reguł społecznych, kulturowych i oczekiwań innych.

Jak odnaleźć złoty środek pomiędzy odczuwaniem wstydu, który nas paraliżuje, a bezwstydnością?

Wstyd, który kogoś paraliżuje, to już emocja, która pewnie wymaga porady terapeutycznej, bo nie powinno tak być. „Zdrowy" wstyd to emocja, która pozwala nam lepiej współistnieć w świecie społecznym. Myślę, że bardzo istotne jest, żeby jednak spróbować nie być zbyt wymagającym względem siebie. Pozwolić sobie na to, że nie zawsze jest się perfekcjonistą czy perfekcjonistką, i oddzielić to, co wzbudza w nas wstyd, od tego, kim jesteśmy. Problem rodzi się wtedy, gdy pozwalamy, żeby wstyd stał się sposobem odbioru całego siebie.

Badania psycholog klinicznej Brené Brown wykazały, że radzenie sobie ze wstydem jest kluczowym czynnikiem determinującym szczęśliwe lub nieszczęśliwe życie w rodzinie. Okazuje się, że rodziny nieobawiające się wstydzić przed sobą nawzajem i stawać w prawdzie przed innymi bez ryzyka odrzucenia – są szczęśliwsze niż te, które ukrywają prawdę i udają przed sobą, kończąc w sieci niedomówień.

Moje badania dotyczą konceptualizacji czy rozumienia wstydu i wyrażania go w języku. Niemniej, jestem przekonana, że świadome dążenie do samoakceptacji jest podstawą poczucia bezpieczeństwa i harmonii wewnętrznej. O wiele łatwiej osiągnąć to w bezpiecznym środowisku. Dlatego tak ważna jest możliwość bycia sobą przed innymi.

Istotne jest, żeby uświadomić sobie przyczyny własnego wstydu. Choćby poprzez rozmowy z bliskimi. Jeżeli jest to coś, co można skontrolować lub sprawić, żeby aż tak nie rzutowało na nasz dobrobyt emocjonalny, to super. Nie zawsze tak jest. Czasem wstyd rodzi się z czegoś, nad czym nie mamy kontroli. Na przykład z niepełnosprawności. Powodu nie da się zapewne wyeliminować, ale warto sobie uświadomić, skąd ta emocja się bierze.

Można nauczyć się z tym żyć?

Myślę, że dobrze byłoby zatrzymać się na chwilę, żeby uświadomić sobie, co się tak naprawdę odczuwa. Przed czym uciekamy. A potem pozwolić sobie na odrobinę dobroci dla samego siebie, współczucia, zrozumienia.

W jaki sposób badania pomogły Tobie? Czy łatwiej Ci teraz występować publicznie, żyć z lekką nadwagą lub nie przejmować tym, że sąsiadka jest lepiej ubrana?

Badania emocji związanych z negatywną samooceną pozwoliły mi lepiej zrozumieć ich mechanizm i uwarunkowania. Co do wystąpień publicznych, wieloletnie doświadczenie dziesiątek wykładów pomogło mi bardziej niż same badania. Z nadwagą mam do czynienia dopiero od paru lat i negatywne uczucie samooceny jest związane z dwiema kwestiami: świadomością, że nawet niewielka nadwaga nie sprzyja zdrowiu, a zatem czuję się winna, że najwyraźniej nie prowadzę najzdrowszego trybu życia, a chciałabym taki mieć, i oczekiwaniem tego, jak chciałabym wyglądać. Świadomość tego mechanizmu pomaga mi zmotywować się do zmian. Przed sąsiadką nie odczuwam wstydu, odkąd uświadomiłam sobie, że jesteśmy z innych bajek. Ona zawsze wygląda, jakby szła na kolację przy świecach, a ja cenię sobie wygodę, choć staram się przy tym wyglądać dobrze.

Zawsze działamy reaktywnie – rozdarci pomiędzy wstydem a dumą? Czy kiedy uświadamiamy sobie rzeczy, które nas blokują, możemy żyć pomimo wstydu?

W normalnych warunkach, kiedy wstyd nie wymyka się spod naszej kontroli i zdajemy sobie z niego sprawę, możemy z niego korzystać jako z narzędzia. Uznać, że ma pozytywny wpływ, bo sprawia, że np. sprawdzimy tekst dwa razy, zanim go wyślemy. Wstyd antycypacyjny, czyli pojawiający się w obliczu czegoś, co ma się dopiero wydarzyć, działa zapobiegawczo – żeby do tego nie doszło. I to może mieć pozytywny efekt na nasze życie. Należy przy tym pamiętać, że mogę się potknąć i to wcale nie zmienia tego, kim jestem, nie znaczy, że jestem skreślony/skreślona zawodowo czy osobiście.

Myślę, że ważne jest, żeby uśmiechać się do siebie, okazać sobie trochę życzliwości, zrozumienia, przyzwolenia na trudniejsze dni, tygodnie, a nawet lata w życiu. Wszyscy wiemy, że powinniśmy być życzliwi dla innych, ale może należałoby zacząć od siebie?

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Nauka, pseudonauka, polifonia*



Bez wątpienia Bogdan Rymanowski powinien był zaprosić do tej rozmowy jeszcze jednego gościa. Zdolnego skomentować prezentowane przez prof. Grażynę Cichosz sądy, które nie znajdują oparcia w dowodach. Od strony standardów dziennikarskich sprawa jest bowiem prosta. Jeśli naukowiec głosi przekonania sprzeczne z dominującym w danej dziedzinie stanowiskiem, trzeba zderzyć jego wywód z ekspertem reprezentującym naukowy konsensus. Dziennikarz nie musi dysponować specjalistyczną wiedzą – naukowców zaś legitymizuje akademia nadająca im tytuły, a nie obecność na łamach – niemniej jego obowiązkiem jest rozeznanie w temacie i odpowiedni dobór gości. Owszem, nauka to, wbrew stereotypowi, obszar dynamiczny; właśnie dlatego się rozwija, że nieustannie pojawiają się w niej wątpliwości i wyzwania rzucane obowiązującym teoriom. W sferze medialnej trzeba jednak zachowywać ostrożność, żeby nie stać się tubą dla rozmaitych zgorzkniałych kontrarian, których w świecie akademickim przecież nie brakuje.

Tak to powinno wyglądać w idealnym modelu. W rzeczywistości natomiast poglądy głoszone przez prof. Cichosz – oraz wiele podobnych – znajdują uznanie coraz większych rzesz. Wystarczy pobieżnie przejrzeć popularne publikacje, blogi, kanały na YouTube albo konta na X. I właśnie dlatego nie wolno ich ignorować albo zbywać pogardliwym prychaniem. Czasy, w których powołane do tego instytucje nadawały ton debacie publicznej i w miarę efektywnie filtrowały szum informacyjny – oddzielając naukę od pseudonauki, myślenie spiskowe od wiarygodnych hipotez, paranoję od zasadnych podejrzeń – bezpowrotnie minęły, widać to gołym okiem.

Dowodzi tego również całkowita nieskuteczność i jałowość gremialnego oburzenia na Rymanowskiego – skądinąd jednego z najlepszych dziennikarzy politycznych w Polsce, który wciąż stara się oddzielać własne sympatie od pracy i rozmawiać w sposób równie dociekliwy z przedstawicielami wszystkich opcji. Mam wrażenie, że jeśli cokolwiek z tego wiru wynika dla niego samego, to jedynie wzmocnienie jego pozycji wśród rosnącej grupy osób, które odnoszą się podejrzliwie do „mainstreamowej narracji". A także skokowe zwiększenie oglądalności zarówno inkryminowanej rozmowy (gdy piszę, licznik pokazuje 2,2 mln wyświetleń), jak i samego kanału.

Zamiast więc pogrążać się w afekcie, warto byłoby wykorzystać tę okazję do przedstawienia szerokiemu gronu odbiorców realnej wiedzy. Zorganizować dyskusję innego naukowca z prof. Cichosz, opisać wspomniane w programie Rymanowskiego kwestie. Słowem: spokojnie odeprzeć problematyczne tezy, nie zaś nakręcać kolejne pospolite ruszenie, które zresztą, jak zwykle, układa się po linii politycznej polaryzacji.

Jakoś tak się bowiem składa, że piętnuje Rymanowskiego głównie opcja liberalno-lewicowa, czyli z grubsza antypisowska, broni natomiast – prawicowa. W ten sposób gruntuje się istniejący od dawna i fatalny w skutkach proces „utożsamościowienia" przekonań. Jego głównym wyznacznikiem jest identyfikacja z określonymi poglądami wyłącznie w celu zademonstrowania przynależności do określonej grupy czy obozu. Nie idzie z tym w parze faktyczne rozumienie poszczególnych zjawisk, lecz odruch potakiwania w sytuacji, kiedy wszyscy wokół mówią to samo. Pamiętacie odcinek „Przyjaciół", w którym obwoźny sprzedawca encyklopedii pyta Joeya, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się ochoczo kiwać głową w towarzystwie, mimo że nie pojmował, z czym się zgadza? Obecnie mamy z tym do czynienia na skalę globalną.

Cała sfera publiczna radykalnie się bowiem przeobraziła. Odbudowywanie zaufania do instytucji, przeciwdziałanie rozprzestrzenianiu się pseudonauki i teorii spiskowych nie może polegać na autorytarnym uciszaniu, piętnowaniu i nakręcaniu wirtualnych histerii. Zwłaszcza kiedy przyłączają się do tego media lub osoby, które wielokrotnie sprzeniewierzały się regułom (nie tylko naukowej) rzetelności, publikując skrajnie naciągane teksty czy zmanipulowane wypowiedzi i poświęcając uczciwość na ołtarzu rozszalałej polaryzacji. Przypomnę: żadne, najgłośniejsze nawet oburzenia ani trochę nie zaszkodziły amerykańskiemu podkasterowi Joemu Roganowi, kiedy w trakcie pandemii zaprosił do programu dwóch antyszczepionkowych lekarzy, Petera McCullougha i Roberta W. Malone'a. Poskutkowały jedynie wzrostem rozpoznawalności obu panów, ich opowieści oraz samego Rogana.

Wygląda więc na to, że w wirtualnych realiach, w polifonii, której nie da się już ograniczyć – bo wszak każdemu wolno zapraszać do swoich kanałów kogo tylko chce – najważniejszym zadaniem naukowców i wiarygodnych mediów powinno być prezentowanie racjonalnego punktu widzenia w sposób maksymalnie atrakcyjny i z szacunkiem dla każdego potencjalnego odbiorcy. Jeśli zamiast tego ludzie słyszeć będą tylko wyższościowy ton, pouczanie, inwektywy, krzyk i udawanie, że w każdej sprawie istnieje stuprocentowo pewne i niezmienne „naukowe stanowisko", a kto ma wątpliwości, ten jest „szurem" – cóż, wówczas popularność najdziwaczniejszych poglądów i ekstremizmów będzie tylko rosnąć. Tak, jak to się już dzieje na naszych oczach. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl

EMOCJE

które łączą

REKLAMY

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl

LUDZIE

których chce się słuchać

REKLAMA

Albatros travel





Indie – skarby kultury i wielkie Religie

Zobacz 3 największe atrakcje Indii – zachwycający Tadż Mahal, Złotą Świątynię w Amritsarze i Waranasi - święte miasto nad Gangesem.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Delhi i zwiedzanie miasta, w tym przejażdżka rikszą rowerową. **Dz. 3** Delhi – Varanasi. Przejazd pociągiem i wieczorny rytuał pudża. **Dz. 4** Waranasi. Rejs po Gangesie, świątynia Bharat Mata i wycieczka do Sarnath. **Dz. 5** Varanasi – Agra. Czas wolny, wyroby z jedwabiu i pociąg do Agry. **Dz. 6** Agra. Taj Mahal i Fort w Agrze. **Dz. 7** Agra – Delhi – Amritsar. Zakupy i przejazd do Amritsar. Złota Świątynia nocą. **Dz. 8** Amritsar. Złota Świątynia i przejście graniczne Wagah. **Dz. 9** Amritsar – Delhi. Przelot do Delhi, muzeum Gandhiego, kolacja pożegnalna. **Dz. 10** Przelot Delhi – Warszawa.

10 dni | Wylot z Warszawy
13/03 2026

8.998,-



Włoska Riwiera, Monako i Éze

Wyjątkowa podróż od Nicei aż po Genuę przez piękne wybrzeże Ligurii z bazą wypadową w urokliwym miasteczku Diano Marina.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Nicei, krótkie zwiedzanie miasta i przejazd do Diano Marina we Włoszech. **Dz. 2** Spacer po Diano Marina. **Dz. 3** Muzeum Oliwy w Imperii. Nadmorskie miasteczko Alassio i Finale Ligure. **Dz. 4** Relaks i wypoczynek w Diano Marina. **Dz. 5** Wycieczka do Val Nervia. Wizyta w Pignie i Dolceacqua z degustacją wina oraz krótka wizyta w San Remo. **Dz. 6** Wycieczka do Monako i średniowiecznego Èze. **Dz. 7** Zwiedzanie Genui. **Dz. 8** Przejazd z Diano Marino do Nicei i powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy
14/05, 21/05 2026

5.498,-



Stambuł – brama do Orientu

Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy
28/05, 07/09, 18/09, 29/09
11/10 2026

od 4.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP03**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe